

ADAM MATUSIAK

nie
zabijaj
nas
tato



Adam Matusiak

Nie zabijaj nas tato

© Copyright by Adam Matusiak

Projekt okładki: Michał Kozakiewicz

ISBN 978-83-941446-0-9

W tekście wykorzystano fragmenty utworów:

PEARL JAM:

- Garden
- Crazy Mary
- Black
- Yellow Ledbetter

ALICE IN CHAINS:

- Would

THREE FISH:

- Hummingbird

Wydawca: self-publishing

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2015

Konwersja do epub [A3M Agencja Internetowa](#)

Zwłoki huśtają się niemrawo na długiej linie. To wiatr nimi porusza, choć wiatruje raczej umiarkowanie. A w nich, cóż, w nich samych nie ma już ruchu. Krew w nich wystygła. Pętla sznura niknie pomiędzy zwisającą bezwładnie głową, a torsem mężczyzny. Bo to jest, a właściwie był mężczyzna. Ma na sobie eleganckie szare spodnie, skórzane półbuty, białą koszulę i granatową marynarkę. Nie widzimy jego twarzy. Jest skierowana ku ziemi, jakby kłaniał się nam po udanym, rześście oklaskiwanym przedstawieniu. Bravo! Bravo! Fryzura mężczyzny jest starannie utrzymana, połyskująca żelem, sztywna. Widać na niej krople wody, deszczowało nie tak dawno.

To mógłby być ktoś z tak zwaną klasą, może nawet rzeczywiście był, a może tylko takiego udawał; wygląda na udawacza, fałszerza uczuć. Cóż, pewnie z czasem się tego dowiemy. Po to tu w końcu jesteśmy, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o nim. Prześledzić jego życie wstecz; od tego straszliwego momentu, kiedy to zdecydował się skoczyć z gałęzi, która teraz utrzymuje jego sztywne ciało, aż do pewnej chwili w jego życiu, mogącej być, nie możemy mieć co do tego pewności - ale być może się dowiemy - początkiem końca.

Jest z nami syn mężczyzny. On nas tu ściągnął. Uznał, że musi poznać prawdę. Chce ją poznać od razu. Czekanie nie jest jego mocną stroną.

Kładę rękę na ramieniu syna i przez chwilę stoimy w milczeniu, przypatrując się temu smutnemu widokowi. To jest smutny widok, obaj tak uważamy. Patrzymy w milczeniu i jednocześnie w ogromnym napięciu. Obaj jesteśmy smutni. Z różnych powodów. On, bo kochał wisielca, ja - bo to ja sam nim jestem.

Mój smutek nie jest czymś rzeczywistym, trudno go zdefiniować jako uczucie, bowiem w zasadzie w tej chwili jestem wolny od uczuć. Czym więc jest ten smutek? Myślą,

instynktem, resztką ze stołu zakończonego życia. A może to wyobraźnia?

- Dlaczego to zrobiłeś, tato? - Łzawi oczami, kochany chłopak, choć nie chce tego pokazywać. Wstydzi się. Jego drobne ciało przechodzi mocny dreszcz.

- To długa historia. Trudna.

- Zbyt trudna dla mnie? - Pyta złamanym głosem

- Myślałem o sobie - odpowiadam szybko.

Za szybko. Znowu pomyślałem o sobie, jak zawsze. Muszę coś dodać, wiem o tym.

- Ale... Tak, to całkiem możliwe, ona i dla ciebie będzie zbyt trudna.

Kiwa głową. Chyłkiem wyciera łzę.

Ja rozumiem, dlaczego tu się znalazłem. Nie chcę tego, ale rozumiem. Kazano mi, coś mi rozkazało, wytłumaczyć własnemu synowi, z jakiego powodu to zrobiłem. Rozumiem, że trzeba to wytłumaczyć, on powinien wiedzieć. Rozumiem to patrząc z mojego punktu widzenia i w zasadzie zgadzam się, co jest nieco dziwne, jeżeli weźmie się pod uwagę, że za życia w zasadzie z niczym nie chciałem się pogodzić, ani z nikim zgodzić.

Ale ważniejszy jest on.

Z jego punktu widzenia na pewno wszystko wygląda zupełnie inaczej. Boję się go zapytać, czy ma ochotę przez to wszystko przebrnąć akurat teraz, kiedy jest jeszcze młody, wielu rzeczy może nie zrozumieć, zbyt wiele pamięta.

Jego punkt widzenia.

Kiedyś niewiele zważałem na jego punkt widzenia.

Kiedyś.

Jakże źle wspominam to - kiedyś. Ze względu na niego, przede wszystkim. On potrzebował mnie, potrzebował zainteresowania jego sprawami, potrzebował się wygadać. A ja nie umiałem go wysłuchać, uciekając najczęściej w głąb swego szaleństwa i potrafiąc pozostać tam na długi czas. Jestem trochę zły na siłę kładącą mi teraz przez to

wszystko przechodzić. Po co teraz? Dlaczego on nie może się wszystkiego dowiedzieć z listu, jaki dla niego zostawiłem? Tam jest wszystko, cała, najszczęśliwsza prawda. To długi list, najdłuższy jaki kiedykolwiek napisałem, ma ponad dwadzieścia stron. Nawet do żony nie pisałem tak długich listów, to znaczy kiedy jeszcze nie była żoną, kiedy dużo słów chciało się do niej mówić i pisać. List do syna pisałem ponad trzy tygodnie, bez pośpiechu, dobrze ważąc słowa, długo szukając odpowiedniego rytmu i stylu, na pewno niczego nie przemilczałem. To powinno wystarczyć, ale zdecydowano inaczej. Tylko nie wiem kto, ani dlaczego. Wyobraźnia?

Jest też list pożegnalny do żony, dużo krótszy, lakoniczny, zawiera mnóstwo skrótów i uproszczeń. Nie potrafiłem napisać tak szczerze, jak do syna. Ale i tak lepsze to, niżbym miał jej powiedzieć, powiadomić o swoich zamiarach.

Nie potrafię za dużo gadać, trudno mi doszukać się w zbyt długim gadaniu jakiejś podniety. Zawsze tak było. To dlatego teraz czuję się bardzo niepewnie. To jest uczucie podobne do tego, jakie mnie ogarnęło tuż przed skokiem z gałęzi. Ten sam stan niepewności i strachu. Nigdy nie spodziewałbym się, iż będę potrafił odebrać sobie życie, choć często o tym myślałem, bardzo często. Tak często, że właściwie stała się ta myśl zachętą do, o ironio, dalszego życia. Ale nie na długo, jak się okazało. Czas nie wyleczył ran, czas tylko przynosił coraz to nowe rozczarowania.

Nowe rozczarowania, nowe zachęty ku ostatecznemu działaniu.

Nareszcie się zdecydowałem, a właściwie to nie tak, chodzi o to, że nie potrafiłem odmówić własnemu wewnętrznemu głosowi, ten głos jest ponad wszystko, to wyrocznia.

Może nigdy nie byłem tchórzem, lecz zawsze bałem się śmierci, najbardziej zaś samego momentu umierania, tej chwili, kiedy człowiek zaczyna być świadomy

nadchodzącego końca. Zapewne jest tak ze wszystkimi ludźmi, musi tak być. Pod tym względem jesteście wszyscy tacy sami.

Tak, jest mi trudno wyobrazić sobie, jakim to sposobem będę synowi opowiadał o swoim życiu, o wydarzeniach i uczuciach, których miałem już tak dosyć, że aż postanowiłem przestać być pod jego ręką właśnie teraz, kiedy mnie najbardziej potrzebuje. Ja będę opowiadał, ja – milczek.

- Poczekasz na mamę? – Mój syn patrzy mi w oczy.
- Jej tu nie będzie.
- Mylisz się – mówi z przekonaniem.
- Nie mylę.

Tak naprawdę to nie mam pojęcia czy jej tu nie będzie, czy może już tu jest, ale nie chce się jeszcze ujawniać. Może woli słuchać z boku. Nie wiem też, czy chciałbym jej obecności. Jej obecność często bywała dla mnie ciężarem, nie potrafiłem go unieść, sił nie starczało. A przecież chciałem dobrze, próbowałem, wmawiając sobie, że następnego dnia zrobię co trzeba, zmuszę się, żeby z nią porozmawiać, wziąć za rękę i poprowadzić na spacer, pocałować. Jutro to zrobię, jutro, jutro.

Nie zrobiłem, nigdy. Nie wiem dlaczego. Nic nie wiem.

A najbardziej nie wiem tego, dlaczego w ogóle dzieje się to, co się dzieje, cokolwiek to jest, jakkolwiek to nazwać. Niewiedza to okropny przeciwnik.

Moje ciało, wciąż wiatrowane, kiwa się powoli. A ja stoję tu, z synem u boku. Wiem co muszę zrobić, dostałem znak przyzwolenia. Rozglądam się wokół, ale nic nie widać, wszędzie zalega mgła, tylko wisielec jest wyraźny.

- Zaczynaj już, tato.

- Kiedy stałem na gałęzi, starałem się nie myśleć. Przyszło mi to łatwo, zawsze potrafiłem nie myśleć. Wystarczy wyłączyć ciekawość świata. Kiedy nic cię nie cieszy, ciekawość świata nie istnieje. Byłem wyprany z emocji, jak kamień. Poza tym wypięłem trochę, nie za dużo,

ot, butelkę wina. Po butelce wina zawsze wszystko wydawało się prostsze, a ja zawsze uważałem, że życie powinno być prostsze. Trudność życia powodowała u mnie straszne stany. Nie zawsze pomagała na nie butelka wina. Nieraz trzeba było iść po jeszcze jedną.

- Chciałeś zawrócić, nie skoczyć?

- Ani przez chwilę.

- Nawet przez wzgląd na nas, mnie i mamę?

- W takim stanie, w jakim ja się wtedy znajdowałem, nie możesz myśleć o nikim innym, tylko o sobie. Nic się liczy. Poczekaj...

Nagle coś poczułem. Zmienia się perspektywa. Już nie stoję z synem. Teraz wiszę nad ziemią. Widzę syna. Stoi nieopodal, ja stoję obok niego. Obie postacie mają twarze skierowane w moją stronę. Są zbyt daleko, żeby można było coś w tych twarzy wyczytać. Po prostu stoją i patrzą.

Wiem, że wiszę na gałęzi, a moją szyję ściska sznur. Nie czuję bólu. Tamten rozdział jest już zamknięty, stało się, pętla zacisnęła się na mojej szyi, popękały kręgi, już bolało, już umarłem. Teraz jestem tu z innego powodu. Mam do spełnienia nieprzyjemny obowiązek. Będę widział wstecz i tłumaczył się z powziętych decyzji. Takie zadanie.

Nagle wlatuję do góry, prędko, aż mi oddechu brakuje. Już stoję na gałęzi, znowu żyję, a z ziemi wlatuje pet i ląduje między moimi palcami, za chwilę wokół mej głowy rodzi się dym, by zaraz zniknąć w moich ustach.

Teraz znowu stoję obok syna. Pokazuje w stronę stojącego na gałęzi mężczyzny, który pali papierosa.

- Zapaliłeś sobie przed skokiem, całkiem jak więzień przed wykonaniem wyroku śmierci.

Trafił sedno, nie ma co, a przecież ma dopiero trzynaście lat. Ale on nie zdaje sobie sprawy, że naprawdę byłem więźniem. Więźniem własnych lęków, swojego własnego nie przekonania o sensie istnienia, sensie czynienia czegokolwiek, więźniem, tak, ale zarazem sędzią i katem, facetem o ponurej minie, który sam wydał na siebie wyrok i

sam go na sobie wykonał. Zdawałem sobie sprawę, że zdążyłem z tym na czas, bo inaczej mógłbym zrobić coś strasznego, skrzywdzić kogoś jeszcze. I wtedy ktoś inny wydawałby i wykonywał wyrok, a tego nie chciałem. Czasami myślałem, że zabiję. Tak, było aż tak źle. Ale do tego jeszcze wrócę, nie chcę mu teraz o tym mówić.

- A ty, czy już próbowałeś palić? - pytam.

- Nie będę palił.

Zawsze to powtarza, odkąd tylko zaczął co nieco z tego świata rozumieć. Może mu się uda, nie wiem. Jedno jest pewne, ja mu nie pomogę.

Patrzemy w stronę gałęzi. Stoję tam i palę. Mija dużo czasu. Jeszcze trzy papierosy unoszą się z ziemi i ich dym znika w moim wnętrzu. Mój syn kiwa głową, chyba ma ochotę jakoś to skomentować, lecz nic nie mówi. Czeka. Ja też czekam. Zastanawiam się, jakim to sposobem wylazłem na tak wysoką gałąź, i to po butelce wina. Nigdy przecież nie byłem wysportowany, nawet nie wspinałem się na drzewa w dzieciństwie. Jakoś nie było okazji. Wolałem robić inne rzeczy, być z dala od ludzi. A przecież nie byłem taki od zawsze. Dopiero od tamtego dnia. Dobrze pamiętam. I chociaż nigdy nikomu o tym nie mówiłem, to teraz chyba nie będę miał innego wyjścia. Cholera jasna, trafiła mi się przyjemność. Nie dosyć parszywego życia, to jeszcze jakieś głupoty teraz. Po jaką cholere pisalem list, tam wszystko jest.

Robi się coraz ciemniej, co oznacza, że zrobiłem to o poranku. W zasadzie nie ma się co dziwić, przez ostatnie lata życia wolałem poranki od wieczorów, całkiem odwrotnie niż za młodu. Zresztą wiele różnic mógłbym wskazać pomiędzy moimi młodzięcymi zapatrywaniami, a tymi poprzedzającymi samobójczą śmierć. I do tego pewnie jeszcze wrócę.

Mam nadzieję, że oszczędzono mi przypominania sobie naprawdę wszystkiego, że nie muszę stać przed moim synem piorąc wszelkie wspomnienia, starając się

przypominać sobie każdą myśl. Po co? Wystarczy kilka najważniejszych faktów, garść zdarzeń mających największy wpływ na losy mojego umysłu. Niby będę miał wszystko przed oczyma, niby razem będziemy oglądać moje życie, od teraz do samego urodzenia, to jednak nie bardzo chcę żeby to było za bardzo szczegółowe, żeby nie trzeba było dotykać na przykład tych kilku momentów dobrych, szczęśliwych. Wyjątki się nie liczą, ważna jest tylko cała reszta, to ona kształtuje, ona, nie wyjątki. Jeżeli nie nastąpi nic nieoczekiwanego postaram się o szczęśliwych momentach życia nie mówić, bo nie są ważne, bo ich istnienie i tak nic nie pomogło w ostatecznym rozrachunku. Były niczym żyjące jeden dzień motyle, może i piękne, dodające kolorytu, ale nieważne ostatecznie.

Może na tym to polega? Żebym pokazał tylko złe rzeczy, najgorsze, wyrzucić ze swego wnętrza największe gówna, odpowiedzieć na wszelkie niewygodne pytania z tym związane, żeby on potrafił chociaż w połowie zrozumieć, z jakiego powodu jego ojciec skoczył z gałęzi, zawiązując sobie uprzednio linę na szyi.

Nie wiem, nic nie wiem. Jestem tak samo zagubiony jak on. Przynajmniej uważam, że jest zagubiony, musi takim być, mając świadomość samobójczego zejścia swego ojca.

- Patrz! - krzyczy, łapiąc moją rękę.

Nie czuję tego dotyku. Widzę go tylko kątem oka.

Krzyk wydobył się z jego ust na widok mnie zdejmującego linę z szyi, robiącego to niezdarnie, może nawet trzęsącymi się dłońmi. Niepodobna tego ocenić z tej odległości.

- Podejdźmy bliżej, tato.

Podchodzimy całkiem blisko, pod samo drzewo.

- Popatrz, ty płaczesz.

Rzeczywiście. Ja na drzewie cofam się bardzo powoli w stronę pnia drzewa i płaczę. Zanoszę się dosłownie. Próbuje sobie przypomnieć co wtedy czułem, ale nie bardzo to idzie. Zastanawiam się, ile czasu minęło od tamtej chwili, nie wiem tego. Nie potrafię też odgadnąć. Co mogłem czuć?

Myślę, że żal. To dlatego te łzy. Z jednej strony musiałem odczuwać podniecenie, radość, że nareszcie skończą się moje męki, to życie było przecież tylko męką. Z drugiej zaś strony, mimo wszystko, musiałem także odczuwać żal, bo nie potrafiłem przewyciężyć słabości, bo zostawiałem syna, zostawiałem żonę, z którą, z niewyjaśnionych powodów nie potrafiłem za nic w świecie się dogadać, chociaż wciąż sobie powtarzałem – jutro, jutro... I patrzyłem na nią, ukradkiem, żeby nie mogła tego zauważyć, niczym szpieg albo podglądacz bezwstydnym, patrzyłem, zastanawiając się, dlaczego ona i ja nie możemy znaleźć nici porozumienia, która przecież przez jakiś czas wisiała nad naszymi głowami. Zdezorientowany patrzę i dumam, szukam, co i gdzie się popieprzyło.

Mówię o tym synowi.

Milczy. Pewnie zastanawia się nad tym, co przed chwilą usłyszał, może próbuje te słowa zestawić z jakimiś swoimi obserwacjami. Wiadomo, że dzieci są dobrymi obserwatorami, potrafią wyciągać wnioski, chociaż może są owe wnioski jeszcze surowe i nie do końca ukształtowane, co nie znaczy, iż można je lekceważyć.

Zostawiam go tak i wnikam w ciało na drzewie. Tym razem zrobiłem to z własnej woli, co dosyć mnie ucieszyło, bo zdałem sobie sprawę z pozostawienia mi własnego zdania odnośnie perspektywy z której akurat mam ochotę prowadzić całą sprawę. Mogę wyskoczyć na chwilę do tamtego ciała, zobaczyć co i jak, przypominać sobie, by wrócić z bagażem świeżych informacji. Zawsze potrzebowałem wszystko robić po swojemu, toteż to odkrycie wprowadza mnie w dobry nastrój.

Cofam się pod sam pień. Okazuje się, że nie myliłem się do uczuć mną wstrząsających, co do powodu płaczu. Wszystko jest tak, jak to przed momentem wymyśliłem. Ku swemu zdumieniu bez problemów schodzę po pniu, ani razu nie tracąc równowagi, ani razu nie czując, że nie dam rady. No tak, ale ja przecież schodzę w dół, a nie wspinam się do

góry. To łatwizna, chociaż ręce trochę się ścierają. Zaraz, zaraz, niech się zastanowię. No tak, przecież łatwiej zleźć z drzewa, niż na nie wleźć. Co za odkrycie!

Uderza mnie pewna myśl, powodująca przypływ uczucia ulgi. Jeżeli do tej pory mocno obawiałem się postawionego przede mną zadania, to teraz nieco inaczej na nie spoglądam. Może cała ta podróż wstecz, cała ta cholerna wycieczka poprzez stare i starsze winy będzie niczym innym, tylko takim właśnie zsuwaniem się z drzewa, czymś łatwym, co nie nastęcza trudności. Całkiem możliwe. Teraz i tak już nie ma odwrotu. Potraktuję to jak zabawę.

Staję na ziemi i tyłem, jak rak, ruszam w stronę miasta.

Zostawiam siebie idącego tyłem, by wrócić do siebie stojącego obok syna. Zaczyna mi się ta zabawa podobać. Jestem niczym cholerny latający batman – bohater. A właściwie sama świadomość. Tak właśnie, to tylko świadomość, bez ciała. Tak sobie latam. To tu, to tam, gdzie tylko jest coś do załatwienia, do uratowania.

Syn stoi przyglądając się tamtemu ja, który zlazł z drzewa.

- Tak tyłem będzie szedł?

- Niech idzie, co za różnica. To nie ma znaczenia.

- Pamiętam, że ostatnio dla ciebie nic nie miało znaczenia.

Drgnąłem. Skąd mu to przyszło do głowy?

- Nieprawda – mówię automatycznie.

Na te słowa mój syn łapie się za brzuch, po sekundzie pada na kolana, krzyczy, z jego ust wycieka piana. Zupełnie dziwny przypadek, absolutnie nagły i niespodziewany. Przestraszyłem się.

- Nie możesz kłamać! - Krzyczy w bólu. - To przez twoje kłamstwo.

Padam obok niego na kolana. Staram się jakoś pomóc, głaskam go po głowie, ale to nie pomaga.

- Powiedz prawdę! - krzyczy.

- To prawda! - wrzeszczę. - Nic dla mnie nie miało znaczenia!

Wstaje. Piana znika.

- Już więcej nie kłam, to naprawdę okropny ból.

- Przepraszam, syneczku.

Obiecuję sobie już mu nie kłamać. Nie będzie to łatwe. Gorzej, to będzie mordęga tak raz po raz odkrywać siebie, pokazywać stan umysłu, używać słów, które za życia nie mogły przejść przez gardło. To był przecież jeden z powodów ciągłych nieporozumień z żoną - nie potrafiłem z nią gadać, nie umiałem za pomocą mowy przekazywać jej swoich uczuć, choćby były jak najlepsze, a bywały takie, bywały. Nie dziwota, że i te najgorsze również pozostawały przemilczane.

Śledzimy mnie ciągnącego się na wstecznym w stronę miasta. To niezbyt daleka droga, zaledwie kilometr z kawałkiem.

- O czym on myśli w tej chwili? - pyta mój syn.

Wiem to dobrze. Jeżeli jeszcze nie tak dawno nie potrafiłem należycie wczuć się w myśli mnie poruszającego się wstecz, teraz potrafię to wybornie.

- Myślałem o tym, żeby już się nie cofnąć. Jeżelibym stchórzył, nie potrafiłbym spojrzeć na własne odbicie w lustrze, nie umiałbym żyć pod jednym dachem z nikim. Myślę, że w jakiś sposób musiałbym dać upust toczącej me wewnątrz nienawiści do wszystkiego i wszystkich, stałbym się prawdopodobnie bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

- Jak to jest nienawidzić?

Milczę dłuższą chwilę, szukam słów. Cholernie miłe zadanie mi się trafiło. Ciekawe komu mam za to dziękować. Tak, wiem, pewnie sobie samemu. Mówię. Muszę mówić, to jest silniejsze ode mnie. Na dodatek muszę posługiwać się najprawdziwszą prawdą. Myślę, że to kara.

- Budzisz się rano i nie wiesz, co chcesz robić. To znaczy, najchętniej nie robiłbyś nic. Ale to nie jest lenistwo, to coś znacznie gorszego. Lenie nie robią nic, bo to sprawia, że

czują się dobrze, mogą zająć się przyjemnościami, robić rzeczy które wprawiają ich w dobry nastrój. Inna sprawa, że to nie działa na dłuższą metę, wpadają w kłopoty, społeczeństwo musi płacić ich długi i tak dalej. To zupełnie inna sprawa. Jak wiesz, ja zawsze coś robiłem, pracowałem. Ale nie było w tym radości, pasji. Możesz tego nie wiedzieć, lecz zwykle dostawałem w życiu to, czego chciałem. Praktycznie nigdy nie musiałem pracować bardzo ciężko, zwykle sam sobie byłem szefem. Raz czy dwa wpadłem w kłopoty finansowe, ale to było dawno, w młodych latach, kiedy jeszcze myślałem innymi kategoriami. Zawsze jednak spadałem na cztery łapy, bez melodramatycznych wydarzeń z tym związanych. Miałem rodzinę, poboczne zainteresowania, znajomych, mogłem być zadowolony. Ale od bardzo dawna nie byłem. Miałem, co chciałem, ale nie potrafiłem się tym cieszyć. To trudne do wytłumaczenia, to może zrozumieć tylko ktoś, kto czuje tak samo.

- Wiesz, zauważyłem to.

- Na pewno. Pod koniec już nie chciało mi się nawet udawać. Ale wracając do twojego poprzedniego pytania, tego dotyczącego nienawiści. Jak już mówiłem, od rana nie masz ochoty na działanie. Wszystko cię denerwuje, och, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo wszystko wokół cię denerwuje. Chce ci się rzygać na każdą rzecz, na którą padnie twój wzrok. Nienawidzisz zbyt mocnych promieni słonecznych, cholernego wiatru, zdejmowania piżamy, mycia zębów. A potem jest tylko gorzej. Synu, potem jest już tylko gorzej. Najgorsze jest jednak to, że nie możesz wrócić do łóżka i przespać tego wszystkiego. Nienawidzisz samą tę myśl. Masz w sobie nieodpartą potrzebę wykorzystania każdej chwili swojego życia, chciałbyś zrobić coś naprawdę wielkiego, wyrazić siebie, obojętnie w jaki sposób. Nie możesz. A powodów jest wiele. Nienawidzisz ludzi, a bez ludzi nie możesz zrobić nic. Jesteś w błędnym kole. To tak, jakby w twoim ciele walczyło ze sobą kilka umysłów i jeden blokował działania drugiego, czy

trzeciego. I jeżeli jeden dojdzie do głosu, to tylko na krótko, zaraz na pierwszy plan wydostaje się inny, który nienawidzi jeszcze bardziej. To dlatego zachowywałem się co jakiś czas inaczej.

- I to zauważyłem.

- Wiem. Zauważyłem, że zauważyłeś. A twoja mama zauważyła to dużo wcześniej.

- Powiedziała ci to?

- Nigdy wprost. Jak wiesz, przeważnie nie rozmawialiśmy ze sobą. Kiedy jednak od czasu do czasu napięcie między nami opadało rzucała aluzjami, ale nic na to nie odpowiadałem, wolałem milczeć. Wciąż milczeć. Czy potrafisz sobie wyobrazić sobie, że był czas, kiedy nie rozmawialiśmy ze sobą przez trzy miesiące.

Patrzę na syna, tylko kiwa głową. Nie wiem czy to ma być potwierdzenie, czy po prostu to kiwanie głową jest tylko wyrazem zdumienia. Jak na razie mężnie przyjmuje wszystkie te rewelacje. Widać, że naprawdę chce wiedzieć, chłonie każde słowo.

- Zobacz, on dochodzi do domu.

Ja, idący tyłem, dochodzę do drzwi wejściowych małego domku i siadam na progu, trzy kamienne stopnie. Z ziemi wlatuje pet i wpada do mojej ręki. Po chwili z krzaków wlatuje butelka wina i ląduje w mojej drugiej ręce. Ręka prowadzi ją do ust. Przystajemy i obserwujemy tę scenę. Mam ochotę dostać się do siedzącego na progu mnie, ale coś mnie powstrzymuje. Nie walczę.

On wstaje, podchodzi do jednego z okien, tego od sypialni i zagląda. Dłuższy czas popija wino. Potem znowu siada na progu. Teraz wstaje i wraca do domu, delikatnie zamykając i otwierając drzwi.

Wchodzimy z synem za nim.

Jest cicho. Patrzę na zegar ścienny, odchodzi piąta rano. Ten drugi ja na palcach podchodzi do drzwi sypialni syna, otwiera je i stoi długo, wpatrując się w delikatną twarz śpiącego. Po twarzy stojącego płyną łzy, od brody prosto do

oczu. Potem cofa się do kuchni, umieszcza butelkę wina w lodówce i rozbiera się w łazience, myje także zęby. Potem cofa się do łóżka i patrząc ostatni raz na na śpiącą żonę, kładzie się obok niej. Jego oczy zamykają się. Wraca noc.

Nie wiemy, co ze sobą począć. Noc wróciła ciemna i milcząca. Jest taka spokojna, wymarzona noc poprzedzająca samobójstwo.

I w tej chwili obaj sięgamy po leżące na półce z książkami pudełko z klockami domino. Często grywaliśmy razem. Zagramy i teraz. Musimy jakoś przeczekać noc. Ale zanim dokłócamy się kto ma rozłożyć klocki nastaje wieczór, za oknem widać czerwone barwy zachodzącego słońca.

Z sypialni wychodzi moja żona, jest w spodniach piżamowych i lekkiej koszulce. Myje ręce w łazience, sika, znów myje ręce, potem szoruje zęby, jak zwykle z otwartą buzią, przez co hałas trącej o zęby szczotki rozchodzi się po całym mieszkaniu, co zawsze doprowadzało mnie do szału. Już sam ten dźwięk doprowadzał mnie do myśli samobójczych. Po chwili wchodzi w dżinsach i koszuli w małe kwiatki do pokoju i siada na sofie. Włącza się telewizor.

- Nie widzi nas - stwierdza mój syn.

- Nie.

To dziwne, że tylko on dostał szansę prześledzenia mojego życia, szansę poznania splotu zdarzeń i myśli prowadzących do żalostnego końca. Wróc - nie uważam takiego końca za żalostny, zupełnie nie wiem skąd się owo określenie wzięło, to raczej moje życie stało się w końcu żalostne. Ona pewnie chciałaby dołączyć do nas, tak sędzę. No ale jest, jak jest. Nic na to nie poradzę. Patrzę na nią.

Jest bez wątpienia atrakcyjna, zawsze taka była. Pierwszorzędna figura, wysokiej klasy atrybuty kobiece z przodu, trochę może tylko zbyt poddane działaniu grawitacji, nazywała je w żartach - zwisami, dalej interesująca twarz o dużych, zawsze jakby zdumionych oczach. Twarz jest smutna, od dawna już taka jest. Myślę,

że to moja wina. Nie miała ze mną łatwego życia. Ale i na wzajem, muszę przyznać. Tak się jakoś porobiło.

- Tato, dlaczego tak się porobiło? - Z zamyślenia wyrywa mnie głos syna.

Co jest, zna moje myśli? A może tak tylko strześli?

- Nie wiem.

Kiwa głową.

Milczymy przez chwilę.

Moja żona bezmyślnie przerzuca kanałami, nawet nie sprawdzając co na nich akurat leci, zwyczajnie wciska guzik w równych odstępach czasu, jakby została zaprogramowana. Jej twarz jest pusta i dziwnie nieobecna. Może domyśla się, co się stanie? Biorąc pod uwagę ostatnie tygodnie uważam, iż to jest całkiem możliwe. I może nawet będzie jej to na rękę. Naprawdę nie potrafię wiele o niej powiedzieć biorąc pod uwagę, jak mało ostatnio z nią rozmawiałem. Tylko brakuje, żeby mój syn zadał jakieś pytanie na ten temat.

Oczywiście zadaje.

- Co o niej myślisz?

Nie jestem pewien, czy powinienem odpowiadać na to pytanie. Wiem, że nie mogę kłamać, widziałem, tam pod drzewem, do czego doprowadzają moje kłamstwa. Ale z drugiej strony, nie jestem chyba gotów mówić mu, co myślę o swojej żonie, o jego matce. Przecież on jest jeszcze taki młody. Niby nie mam do powiedzenia niczego złego, niczego, co mógłby uznać za obrażanie jej, ale i tak czuję się tym pytaniem zażenowany. Patrzę na jej twarz. Mogę to robić bez skrępowania, skoro ona mnie nie widzi, nie wyczuwa nawet mej obecności. Ani drgnie, jest jak kamień. To piątkowy wieczór, kilka godzin temu wróciła z pracy, a jeszcze musiała zrobić całotygodniowe prasowanie. Na pewno jest zmęczona. Co ja o niej myślę?

Gdybym teraz poszedł do sypialni i obudził mnie, który już śpi, pewnie tamten powiedziałbym, że myśli o niej niezbyt dobrze. Z wielu powodów. Bo, na ten przykład, jej

uparta natura nie pozwala nam się porozumieć. To niesprawiedliwe, bo sam jestem przynajmniej tak samo uparty, jeżeli nie w jeszcze większym stopniu, ale w taki właśnie sposób myślałem. Albo dlatego, bo robi mi na złość, czyniąc pewne rzeczy w sposób, o jakich wie, że doprowadzają mnie do szału. Wiele było takich rzeczy i mówiłem jej o tym bez skrępowania. A jednak, mając tę wiedzę, o którą tak często się dopominała, postępowała po prostu złośliwie.

Ale zostawię mnie śpiącego samotnie w tę ostatnią noc w życiu i postaram się odpowiedzieć synowi na pytanie.

- Żal mi jej. Popatrz na nią. Wygląda tak niewinnie, aż łapie za serce. Jest taka samotna. Ty możesz tego nie widzieć, ale tak jest. Kiedyś, jak sobie trochę wypła, zapytała mnie dlaczego ją tak rzadko obejmuję, dlaczego nie pocałuję od czasu do czasu, żeby wiedziała, że jestem z nią naprawdę, nie tylko na papierze. Popatrz, ignorowałem takie proste, a jednak wyraźne znaki, jakże byłem ślepy. Myślę, że ją skrzywdziłem. Wiesz, wszyscy uważają ją za bardzo pogodną, miłą, uczynną dziewczynę. A wiesz, co ja czasem myślałem, kiedy słyszałem podobne o niej komentarze, wiesz?

- Nie. Ale wiem, że mi powiesz.

- Powiem, chociaż uważam to za zbyt ekshibicjonizm. Myślałem, że dana osoba, wyrażająca podobne pochlebne komentarze, powinna sobie z moją żoną trochę pomieszkać.

- Tato...

Wiem, zapędziłem się, nic na to nie poradzę. Zawsze uważałem, że ludzie mówią serio, kiedy pochwalają szczerść. Rany, jakże się myliłem.

- Sam tego chciałeś, synu. Zresztą, skoro to ty zostałeś wybrany do tak dziwnego poznania mojego listu pożegnalnego, to musisz być dzielny. Sporo jeszcze usłyszysz gorzkich słów.

Ona się porusza. Chyba idzie wziąć sobie jogurt albo szklanekę mleka. Przy okazji zagląda do pokoju syna i gasi

mu światło. Do mnie nie zagląda. Mnie nie lubi. Wraca na sofę. Robi się coraz widniej. My wciąż siedzimy na podłodze i obserwujemy.

Naraz do pokoju wchodzi syn, który daje swojej mamie całusa i siada obok niej.

Obserwujemy to z uśmiechami na twarzach. On mnie łapie za rękę.

- Nie widzą nas, co?

- Pewnie, że nie. Powinieneś już to wiedzieć.

Patrzę na nich, siedzących obok siebie na sofie, podczas gdy ja jestem w łóżku, zamiast być tu z nimi.

- Tato - pyta mnie syn siedzący obok mnie na podłodze - dlaczego tak szybko chodziłeś spać, dlaczego nie siedziałeś trochę z nami.

- Czasem siedziałem.

- Ale tylko czasem, ale i tak nic nie mówiłeś. Ciągle tylko wszystkich uciszałeś.

Ma rację. Zawsze wszystkich uciszałem. Przeszkadzało mi ich gadanie o niczym, śmiechy, szepty, to, w jaki sposób komentowali programy w telewizji, nawet muzyka, jakiej słuchali.

- Masz rację, synu, jest tak, jak mówisz, zawsze was uciszałem.

- Ale dlaczego? Wiedziałeś, dlaczego?

- Nie wiedziałem?

- A teraz wiesz?

Milczę dłuższą chwilę.

- Nie wiem, ale teraz łatwiej mi o tym myśleć, mam więcej czasu.

- No to pomyśl i mi odpowiedz.

Zamknąłem oczy, przenosząc się w przeszłość. Nie wiem, czy zrobiłem to jako ja, czy jako ten drugi, który leży w pokoju. Nieważne. Najważniejsze było teraz skupić myśli, bym mógł odnaleźć odpowiedź na zapytanie syna.

Zobaczyłem naszą trójkę, jak siedzimy w dużym pokoju, przed telewizorem. Ja na jednej sofie, a syn z matką na

drugiej. Wiem, że tracę czas. Mijają minuty a ja coraz bardziej nienawidzę siebie samego za brak jakiegokolwiek działania. Moja żona pierdzi. Ja drę się na nią, że to jest obrzydliwe, że człowiek nie powinien takich rzeczy robić w towarzystwie. Mówi, że tu nikogo nie ma. Jasne, ja i syn to nikt, a jak. Sami swoi. Można na nas nasrać. Nie mówię nic więcej, tylko jeszcze bardziej chowam się w sobie, tam, gdzie nikt nie może dotrzeć, gdzie moje myśli czują się najbezpieczniej.

W tym momencie nie tylko o tamtej scenie myślę, teraz także od razu przekazuję każdą myśl o niej synowi. Kiwa głową na znak, że słucha, chociaż po wyrazie jego twarzy widać, iż jest zdruzgotany tym, co dochodzi do jego uszu. A ja wyłuszczam najgłębsze myśli, spadam na dno naczynia ze wspomnieniami niczym myszołów na swą ofiarę, by połamać jej kark samym tylko spadnięciem na nią, zabić samą tylko chęcią zabicia.

- I tak siedzieliśmy bez specjalnego celu, nie zmęczeni zanadto, bo czym przecież? Żadne z nas nie wysilało się za bardzo. Pozwalaliśmy, żeby życie przeciekało między naszymi palcami. Ja tak nie chciałem. Ale, z drugiej znowu strony, nie potrafiłem się zmobilizować do wstania z tej sofy i zabrania się do roboty. Obojętne, myślałem, jakiej roboty. Tak to było, synu.

- Dlaczego więc tego nie zrobiłeś? Dlaczego nie zająłeś się czymś, tylko siedziałeś obok nas, kiedy aż tak bardzo denerwowało cię wszystko co robiliśmy? - pyta.

- Bo nie chciałem, żebyście siedzieli sami, nie potrafiłem wytłumaczyć samemu sobie, że to wasze siedzenie to całkiem normalna sprawa. Każdy musi dać odpocząć swoim myślom, pomilczeć trochę, odreagować, teraz zaczynam to pojmować. A ja co? Ja stałem nad wami, jak jakiś strażnik i to tylko pogarszało sprawę. Staralem się mówić coś, cokolwiek, byle tylko nie panowało milczenie, wiesz, nie uważałem milczenia za normalne zachowanie rodzinne. Rodzina powinna rozmawiać, omawiać, dzielić się

pomysłami, opowiadać dzień. Tak myślę, tak myślałem wtedy. A wy co? Siedzieliście i gapiliście się w telewizor. Więc gapilem się i ja. Nagle któreś zaczęło coś gadać. Nie da się porządnie oglądać telewizora, kiedy ktoś obok miele ozorem. Więc musiałem wam zwracać uwagę.

- Czy ty aby sam sobie nie zaprzeczasz?

- Tak myślisz?

- Tak, tato. Niby chcesz rozmawiać, ale jak ktoś otworzy usta, to zaraz go uciszasz. Wiesz co? Ty chyba naprawdę potrzebowałeś pomocy.

Widzę, że ugryzł się w język. Nie zamierzał tego powiedzieć. Słowa o pomocy nie mogą pochodzić z jego młodej głowy. Ludzie w tym wieku może i są dobrymi obserwatorami, ale wątpię czy potrafią wpadać na takie pomysły.

- Czy to mama tak mówiła? - pytam, chociaż i tak znam odpowiedź.

Ona raz czy dwa namawiała mnie na wizytę u specjalisty, prawdę mówiąc chciała żeby cała nasza trójka się tam udała, taka rodzinna kuracja przeciw pierdolcowi. Nie posłuchałem. Jakoś nie było mi po drodze z pomysłem zwierzenia się z moich najgłębszych myśli obcemu facetowi. To nie leżało w mojej naturze.

- Tak mówiła. Ale nie myśl sobie o niej źle, ona chciała ci pomóc, chciała nam wszystkim pomóc.

Cóż, przynajmniej dowiaduję się teraz, jakie to rozmowy toczyli między sobą pod moją nieobecność. Zwykle nie bywałem informowany o tych rozmowach, raz tylko żona powiedziała, że on jej mówi o wielu rzeczach, o tym, co myśli, co czuje. Ja z synem rozmawiać nie potrafiłem. Ale ja nie potrafiłem rozmawiać z nikim. Sprawy innych ludzi nie interesowały mnie w najmniejszym stopniu. Och, chciałem rozmawiać z synem, jasna sprawa, nawet próbowałem, codziennie. Z żoną już później nie, z nią dałem spokój, nie widziałem nadziei, ona także nie. Ale z synem tak, chciałem z nim rozmawiać. Niestety, nie szło. Jak bym nie zaczął,

jakiego tematu nie dotknął, o co nie zapytał, po kilku luźnych zdaniach jeden z nas milknął, temat skończony. Każdy temat potrafiliśmy zakończyć po pięciu minutach.

- Twoja mama chciała dobrze.

Nawet w liście pożegnalnym do niego tak napisałem. Ona chciała dobrze. Niestety, nie przyjąłem jej pomocy. Może po prostu nie byłem już w stanie?

- Tato, co teraz będzie?

- Jakoś dacie sobie radę. Wasze życie trwa. Potrzebujecie tylko trochę czasu na poukładanie pewnych spraw. Zobaczysz, za pół roku się przyzwyczaisz do mojej nieobecności.

- Nie o to mi chodzi.

- A o co?

- O to, co teraz zobaczymy.

- Wygląda na to, że wrócimy do dnia. Popatrz, mama zaraz wstanie i zniknie w kuchni. Pamiętasz, szykowała jedzenie na drugi dzień. Zawsze tak robiliśmy, żeby ułatwić sobie dzień następny. Od lat tak było.

- Wiem, wiem. Ale... Chyba nie będziemy cofać się tak dzień po dniu, godzina po godzinie?

- Naprawdę nie wiem. Nie wydaje mi się. To byłoby nudne. Przecież takie oglądanie wstecz naszego życia rodzinnego nie przyda ci się chyba do zrozumienia powodu podjęcia przeze mnie decyzji o opuszczeniu tego świata. Chyba nie o to chodzi. Wiesz, co myślę?

- Co?

- To nawet nie jest myślenie, ja po prostu wiem po co to wszystko przelatuje przed naszymi oczami. To ma być podpowiedź dla mnie, żebym mógł łatwiej tłumaczyć. Wiesz, rzut oka na kolejną scenę i zaraz łatwiej skomentować dane zachowanie. A i dla ciebie to jest podpowiedź. Na tych przykładach będziesz mógł pojąć błędy, które popełniliśmy. Może nie będziesz ich potem popełniał w swoim własnym życiu, z własną rodziną. To bardzo ważne. Masz przed oczami życie prowadzone źle,

przez człowieka, który nie potrafił poradzić sobie z samym sobą, z własną rodziną. Po prostu słuchaj, patrz i wyciągaj wnioski.

- Powiedz, tato, czy już od rana wiedziałeś, jak skończy się ten dzień?

Zastanawiam się chwilę, patrząc na krzątającą się po kuchni żonę. Stoi nad zlewem. Strumień wody wraca do kranu, a nad makaronem pojawia się para.

Nie muszę czekać, aż cofniemy się do poranka, zresztą, wcale nie potrzebujemy. Chciałbym to wszystko przyspieszyć. Czas zdecydowanie za wolno się cofa. Ja chciałbym tłumaczyć synowi powody, wyjaśniać błędy, ale hamuje mnie czas. Mam w głowie treść listu pożegnalnego, na jego podstawie mógłbym załatwić sprawę szybko i bez zbędnych ceregieli. Wtedy on będzie mógł wrócić do życia, a ja nareszcie zniknąć na zawsze.

Wpadam na pomysł.

Jeżeli skupię myśli, to może cała rzecz odbędzie się szybciej. Może dano mi tę umiejętność? Zaraz sprawdzę. No, jedziemy, raz, dwa i do tyłu, szybciej, prędzej, cofaj się życie, wracaj, niech załatwię zadanie teraz, od razu.

Nic się nie dzieje. Wciąż siedzę z synem na podłodze, tam gdzie zasiedliśmy zaraz po powrocie do domu. Syn, ten żywy, wciąż siedzi na sofie, żona wciąż w kuchni, a żywy ja leżę w sypialni, czytając głupawą gazetę. Cofanie nie przyspieszyło. Zanudzimy się na śmierć, jeżeli tak już zostanie. Na co nam oglądać takie szczegóły, jak to cholerne gotowanie makaronu, albo jak siedzą na sofie i się nie odzywają, podczas gdy tamten ja leżę osobno w sypialni. To już zobaczyliśmy, wyjaśniłem synowi powody. Trzeba ruszać się dalej, ale prędzej, prędzej.

Jest jeszcze jedna nadzieja. Że też o tym nie pomyślałem.

- Słuchaj synu, czy nie możesz sprawić, żebyśmy to nasze życie cofało się trochę szybciej? Ja już próbowałem coś z tym zrobić, ale nic z tego nie wyszło.

- To znaczy, co mam konkretnie zrobić?

- No... nie wiem. Może po prostu zacznij chcieć, żeby tak się stało. Może samo to wystarczy?

Kręci głową.

- Wszyscy wokół mówią, że wystarczy mocno chcieć i na pewno wszystko pójdzie po twojej myśli. Mam tego dosyć.

Uśmiecham się pod nosem.

- Chyba bierzesz to zbyt dosłownie. Same chęci są bardzo ważne, bez wątpienia, ale trzeba jeszcze ruszyć dupę.

- Tato!

- Co, tato? Jestem tu, żebyś poznał powód mojego przedwczesnego zejścia, no to słuchaj i ucz się. Same chęci można potłuc o kant dupy, jeżeli nie zrobisz czegoś w tym konkretnym kierunku. Zrozum to.

- Ale teraz chcesz, żebym samymi chęciami przyśpieszył cofanie się czasu tamtych trojga.

- To inna sprawa. Nie po to się zabiłem, żeby teraz błąkać się tu z powrotem i oglądać całe życie na powrót. Słuchaj, ja ci chętnie wszystko wytłumaczę i tak dalej, ale nie może to trwać tyle, co moje życie. Żadna przyjemność. Chcę tylko, żebyś sprawdził, czy możesz coś tu pomóc. Ja nie wiem dlaczego się tu znalazłem. Nikt mnie o niczym nie powiadomił. Rozumiem, że uznano za wskazane, nie wiem kto, ani jakim sposobem, żebym ci w miarę możliwości wytłumaczył powody prowadzące do mojej samobójczej śmierci. Rozumiem to i zgadzam się spełnić owo trudne zadanie. Ale, do cholery, chcę załatwić sprawę w miarę możliwości szybko.

Patrzy na mnie smutnymi oczami.

Co ja mogę tu poradzić? Mówię prawdę. Tak jest uczciwie. Zawsze tak uważałem i nie widzę powodu, żeby to teraz zmieniać.

- No i? Spróbujesz?

- Nie muszę?

- Jak to?

- Zwyczajnie. Nie muszę niczego próbować. Ja potrafię to zrobić, potrafię przyśpieszyć, mogę nawet sprawić, żeby

rozebrać tamto życie na wyrywki, mogę wszystko. To ja cię tu ściągnąłem. Ja, rozumiesz? Chcę zrozumieć dlaczego to zrobiłeś.

No tak. W sumie to jest sensowne wytłumaczenie. On jest tak samo uparty, jak ja byłem. Chce wiedzieć i potrafił doprowadzić do zaistniałej sytuacji. Widocznie dysponuje talentem do dokonywania rzeczy niemożliwych. Talent, o którym ja zawsze marzyłem.

- Widzisz - kontynuuje - ja wyczuwałem co się stanie. Nie wiedziałem kiedy, jak, ale wiedziałem, że to zrobisz. Nie chciałem cię powstrzymywać, nie potrafiłbym. Poznałem cię przez te kilkanaście lat dosyć dobrze i zdawałem sobie sprawę z twojego upartego charakteru. Ileż to razy wiedziałem, jak twardo przeprowadzasz to, co sobie zaplanowałeś. Podziwiałem cię za to.

Milknie.

I ja nie mówię słowa. Tu nie pasowałoby żadne słowo. Mogę być tylko dumny z tego, w jaki sposób na mnie patrzył, co o mnie myślał.

- I co? Wierzysz mi?

- Wierzę, synu, wierzę. Jednak... napisałem list. Tam wszystko...

- List, który miałem otrzymać po ukończeniu osiemnastego roku życia. Nie chcę tak długo czekać, poza tym, nie lubię czytać. Czytanie wydaje mi się stratą czasu.

- Zgoła idiotyczne podejście.

- Nic na to nie poradzę. Taki jestem.

Taki jest. To prawda.

- To dziwne, jakie rzeczy ludzie uważają za stratę czasu. Ty na przykład nie uważałeś za stratę czasu siedzenie na sofie i gapienie się na kretyństwa w telewizorze. Czy to nie dziwne?

- Jestem jeszcze młody, dopiero uczę się podejmowania życiowych decyzji. Mam czas, może nie bardzo dużo czasu, ale jeszcze nie muszę latać jak poparzony, szukać na siłę.

Mogę spokojnie uczyć się i podglądać, słuchać ludzi, przebierać w pomysłach.

- Może i masz rację. W pomysłach to ty przebierałeś.

Wiem, że ma czas. A co ja robiłem? Pchałem go na siłę, mówiłem - Rób coś sensownego, szkoda czasu. Nie siedź tak, znajdź sobie pasję. I nie dawałem spokoju, głupich pięciu minut na spokojny odpoczynek.

- To teraz już nie jest ważne. Wybrałeś pozostawienie mnie samego w moich życiowych wyborach. Nie mam już ojca, który byłby w stanie pomóc mi podjąć dobrą decyzję. Swoją drogą, czy nie mam tego po tobie? Czy i ty nie miałeś zbyt wielu pomysłów, czy nie przeskakiwałeś z kwiatka na kwiatek zamiast robić to, w czym czułeś się dobry, co dawało ci radość? Potrafiłeś tak pięknie narzekać na moje zachowanie, łajac za łapanie się zbyt wielu rzeczy na raz, a robiłeś dokładnie to samo. Myślisz, że to nie miało wpływu na mnie, na moje postrzeganie świata?

- Miało, co?

- Tak, miało. I tylko nie wiem czy to dobrze czy źle, jeszcze nie potrafię sobie na to pytanie odpowiedzieć. Może kiedyś będę umiał, teraz jeszcze nie. Teraz jednak będzie mi dużo trudniej, zostawiłeś mnie samego.

- Masz jeszcze matkę.

- Wiem, wiem. Ale ciebie też potrzebowałem, potrzebuję nadal. Teraz będzie mi tylko trudniej. Nie powinieneś mnie, nas tak zostawiać. Jeżeli nie odpowiadało ci życie, jakie prowadziłeś mogłeś się wyprowadzić, zmienić otoczenie. Ale być gdzieś tam, żebym mógł zadzwonić, przyjechać na parę dni, pogadać.

- Nie potrafiliśmy rozmawiać - przypominam mu.

- Może dlatego, bo byliśmy z sobą na co dzień, tylko z sobą, nikt nie przychodził do naszego domu. Ty nie lubiłeś gości. Męczyli cię, tak mówiłeś mamie. Przecież to nie jest normalne, ludzie potrzebują towarzystwa od czasu do czasu. A jak już ktoś przyszedł, to miałeś naburmuszoną minę i odpowiadałeś półsłówkami. Ale z ciebie był psychol,

niech mnie pokręci. A pamiętasz, jak czasem wyjeżdżałeś na kilka dni? Albo jak ja wyjeżdżałem z mamą? Potem przez kilka dni było o czym gadać, nawet dobrze to szło. Ale żeby mieć o czym rozmawiać, trzeba mieć jakieś przeżycia, coś nowego zobaczyć, poznać ciekawych ludzi, wtedy jest dużo łatwiej. Ty tak nie umiałeś. Może to był kierunek dla nas, to co mówiłem wcześniej, może powinniśmy zamieszkać osobno?

On ma trzynaście lat, a mówi mi takie rzeczy. Niby to ja mam tłumaczyć się mu z samobójstwa, ale jak na razie to on daje mi naukę, wytyka błędy, poucza. Zdumiewające jak dużo rozumie z sytuacji panującej w naszym domu. To co mówi nie jest głupie, trzeba przyznać. Przecież rozważałem wyprowadzkę, nawet raz czy dwa było blisko. Żona także tego chciała. Ale oboje nie potrafiliśmy przekroczyć tej ostatniej granicy. Tłumaczyliśmy to sobie troską o dziecko. Teraz myślę, że oboje byliśmy tchórzami. Żadne z nas nie wierzyło w możliwość naprawienia tego beznadziejnego związku. Trwaliśmy w nim, skazując się na męczarnie i, co często podkreślałem w rozmowach z żoną na ten temat, niepotrzebną stratę czasu, który bezlitośnie upływał, znacząc nasze twarze coraz to nowymi bliznami starzenia.

Patrzemy sobie w oczy. Obok nas nasza rodzina wraca od swoich zajęć, zasiadają przy kuchennym stole. Będzie obiad. Od czasu do czasu zdarzało się, że siadaliśmy wspólnie przy stole. Chcieliśmy utrzymywać pozory, zgrywać się, udawać. To tylko pokazuje, jakimi byliśmy tchórzami.

- Popatrz na nich - mówi syn - wyglądają na zadowolonych.

A tak, dobrze graliśmy. Zastanawiam się, czy i on grał. Ja sam nie pamiętam, czy w jego wieku już nauczyłem się tego fałszu, który charakteryzuje ludzi dorosłych, nie pamiętam w jakim wieku odbywa się ta zmiana, kiedy to człowiek otrzymuje do dyspozycji nową broń - umiejętność udawania. Być może dokonuje się to już w przedszkolu,

może później. Albo rodzimy się z tym przekleństwem, może śpi zapisane w genach a ujawnia się dopiero później?

Siedzą przy stole, nie patrząc na siebie. Jedzą, nie pokazując żadnych emocji. Jak roboty – łyżka na dół, łyżka do góry. I to ciężkie milczenie. Ciężkie jak ostrze gilotyny.

- Wiesz, tato, po przemyśleniu to rzeczywiście nie wygląda optymistycznie.

- Bo tu nie było optymizmu, przynajmniej we mnie. W moim świecie to słowo nie istniało. Zostało wykreślone dawno temu. Albo w ogóle go tu nie było. W moim prywatnym słowniku na tym miejscu widniało tylko wolne miejsce, jakby ktoś przez pomyłkę zapomniał go tu wstawić.

- Trzeba było samemu je tam wstawić.

- Jakiś ty mądry – odpowiadam szorstko. Kiwam głową. - A czy ty myślisz, że co przez całe życie usiłowałem zrobić, co?

- Dlaczego chciałeś zrobić to sam, dlaczego byłeś taki uparty?

Wciąż wraca do tego samego, wytrwale, niczym morskie fale niezmiennie wracające do brzegu.

- Raz jeszcze ci powtarzam, nie umiałem inaczej. Sam sobie byłem problemem i sam sobie chciałem być lekarzem.

- Ale...

- Ale byłem za słaby.

- Nigdy tego nie zrozumiem. - Wzrusza ramionami w geście poddania się.

- I tu masz rację, tego nie można zrozumieć. Musiałbyś być taki jak ja. A mam nadzieję, że nigdy taki nie będziesz.

To chyba najgorsze, co można powiedzieć własnemu synowi – żeby nigdy nie był taki, jak jego ojciec. Ufam, że pojmuję jak bardzo otwieram się przed nim, jak szczerzy jestem. Pewnie obaj teraz żałujemy, iż nie pogadaliśmy w ten sposób wcześniej, za mojego życia. Ale wtedy ja nie potrafiłem, teraz zaś jestem tylko zwykłym komentatorem, w słowach, które wypowiadam nie ma nic osobistego, zwyczajnie odczytuję zaprogramowane wyrazy, nie

wczuwając się w ich sens, nie traktując ich jako moje własne.

Milczymy. Nie wiem, o czym on myśli, ale na pewno bije się z czymś ważnym, bo minę ma skupioną, o lekko zaciętym odcieniu. Może próbuje zapanować nad emocjami? Widzę, że obserwuje scenę przy stole. Nie dzieje się tam nic interesującego. Jedzą, każdy ucieka wzrokiem na boki. Ja, ten przy stole, rozpościeram przed sobą gazetę, żona drapie się po czole, jakby to miało uchronić ją przed popatrzeniem w moim kierunku, i tylko dzieciak rzuca od czasu do czasu jakieś zdanie, które natychmiast zostaje bezpardonowo stratowane przez krótki wybuch któregoś z jego rodziców.

Zwykle jest to uwaga typu - nie rozmawia się przy jedzeniu. Czasem zwykle wzruszenie ramion, czasem przekleństwo. Tak, ci przy stole nie mają ochoty siedzieć obok siebie, każde wolało by być teraz gdzie indziej, to aż rzuca się w oczy. I tylko ten biedny dzieciak ich tu trzyma.

Wstają. Ojciec, ja sam, bierze puste talerze i zabiera się do ich mycia. Ona siedzi jeszcze chwilę, po czym wstaje i nastawia czajnik. On mówi do syna, żeby szybciej kończył, bo on nie ma zamiaru stać przy tym zlewie następne pół godziny. Ona pyta, kto chce kawę. A ileż tu ludzi ona widzi? Ja i ona. Niewielki wybór. Dwie kawy, jak zwykle.

Patrzę na to wszystko i teraz dopiero widzę, jakie to było beznadziejne, jakim pełnym niechęci tonem rozmawialiśmy ze sobą, bez cienia szacunku, bez najmniejszej intencji porozumienia, jak byśmy nigdy nie mieli ze sobą niczego wspólnego. Uważam, że to straszne.

- Tato - słyszę głos syna, tego, który jest obok mnie, nie zaś tego przy stole - przecież to był dzień poprzedzający twoją śmierć, dlaczego nawet wtedy zachowywałeś się tak beznadziejnie. Czy nie przyszło ci do głowy chociaż pożegnać nas jakimś dobrym słowem? Pamiętasz późniejsze sceny? Od razu po kolacji zniknąłeś w sypialni, a przecież wiedziałeś, że to nasz ostatni wspólny wieczór.

- To tylko powinno ukazać ci, w jakim paskudnym byłem stanie. Już ci mówiłem, ja już potrafiłem myśleć tylko o sobie, nic innego mnie nie interesowało, nie potrafiłem wskazać sobie nowego celu, nawet wy nie mogliście nic tu pomóc. Wtedy zjeżdżałem już po równi pochyłej, nie było czego się uchwycić. Dlatego wolałem zniknąć, jak co wieczór zresztą i szybko usnąć, nie pozwolić sobie na głębsze refleksje.

- Nie wmówisz mi, że mogłeś tak po prostu sobie usnąć - parska mój syn - mając świadomość tego co ma wkrótce nastąpić.

- Nie było łatwo, ale się przecież udało. Jak wiesz, ja od lat nie usypiam sam na sam ze sobą, że tak powiem.

- Wiem, zawsze śpisz ze słuchawkami na uszach. Pamiętasz, często pytałem dlaczego to robisz?

- I co ci na to odpowiadałem?

- Że tak lubisz - stwierdza z nutą wyrzutu w głosie.

Uśmiecham się. Raczej do siebie niż do niego.

- Podobało ci się to wyjaśnienie?

- Nie. Jasne, że nie. Ale nie chciałeś mówić nic więcej. Zawsze byłeś taki cholernie tajemniczy, aż nieraz zastanawiałem się czy jesteś normalny.

- Wiem, przepraszam.

- Dlaczego nigdy nie chciałeś nic mi powiedzieć? Dlaczego wszystko trzymałeś dla siebie, swoje uczucia, swoje myśli, swoje lęki?

Rany, jakie trudne to wszystko, jakie cholernie trudne. Wymyślił sobie, że będę mu się tłumaczył, jakimś sposobem jego pomysł się zmaterializował, a ja teraz siedzę tu i uginam się pod ciężarem własnych win, nie potrafiąc po męsku ponieść odpowiedzialności za własny czyn i objaśnić chłopaka, jak sobie tego życzy.

Jestem mu to winien. Jestem winien to jego mamie, jestem to winien samemu sobie wreszcie.

- Pytałeś, dlaczego zakładałem słuchawki kładąc się spać. Dobrze, odpowiem ci teraz jak się należy, całą prawdę.

Otóż, jak pewnie pamiętasz, nie tak dawno mówiłem ci o strachu przed stratą każdej chwili na niepotrzebne działania. Może strach nie jest tu odpowiednim słowem, może lepiej powiedzieć, że nie uważałem za właściwe tracić czasu na pierdoły, tak, to nie był strach, tylko przekonanie o konieczności ciągłego pracowania nad sobą, nieprzerwanej walki o rozwijanie swojej wyobraźni. Jeżeliby to miało zależeć ode mnie, to spałbym po trzy godziny na dobę, żeby tylko móc więcej czasu przeznaczyć na interesujące mnie rzeczy. Tak przynajmniej było za mojej młodości. Widzisz, ja uwielbiałem słuchać radia po nocach, wtedy nadawano najlepsze audycje, och, ileż można było się dowiedzieć, ile nauczyć. Zanim nadszedł sen, miało się tę odskocznię od problemów dnia codziennego, miało się dokąd uciekać.

- Dlaczego chciałeś uciekać? Co cię goniło?

- Goniły mnie moje własne myśli. Oto odpowiedź na twoje pytanie.

- Jakie myśli, tato?

- Jakie? Wyobraź sobie wielkiego psa. Nie goni cię, leży tylko, powiedzmy na trawie. Jego oczy są wielkie, błyskają razem. Boisz się, lecz z drugiej znowu strony czujesz ciekawość. Jest to kocia ciekawość. Ciekawość, która może źle się skończyć, ona często zabija koty. Podchodzisz do tego psa, idziesz twardo krok po kroku, bez oglądania się na boki, lecz wewnątrz aż się trzęsiesz ze strachu, zęby ci walą o siebie, pod pachami spływa ci pot, pot zalewa oczy, drżysz na całym ciele, ale idziesz. Ciągle idziesz. Musisz. Pies podnosi nieco łeb, jest zdziwiony, że jeszcze się nie zatrzymałeś, pewnie myśli, że jesteś niespełna rozumu. Z jego pyska wypływa obrzydliwa pieniąca się ślina, jej fragmenty odpadają od pyska i lądują na trawie, ale to już nie jest teraz trawa, to rzeka śliny. Twoje buty nurzą się w niej, ciężko zrobić choćby jeden krok. Z psiego pyska wydostaje się więcej śliny, płynie szybkim strumieniem, niczym lawa po zboczu wulkanu. Sięga ci teraz pasa.

Patrzysz na psa, który leży na drewnianej tratwie, obok niego stoi maszt z czarną flagą. Psisko uśmiecha się, jego oczy są teraz czarne jak smoła. A ty wciąż się boisz, ale idziesz. Już niedaleko. Poniedziałek, wtorek, jeszcze dwa metry, czwartek. Ktoś za tobą krzyczy. Kulisz się w sobie, rzeka śliny sięga już twoich ust. Potwornie śmierdzi. Chcesz zatkać nos, lecz nie sposób wydostać ręki z klejącej się flegmy. Robi ci się czarno przed oczami, za sobą słyszy kolejne krzyki, do tego dochodzi odgłos maszerujących butów. Nie możesz się odwrócić, jesteś bezsilny. Obrzydliwa psia ślina dusi cię, masz jej pełne usta. Psisko staje na tylnych łapach przednie opierając o maszt. Jest teraz dwa razy wyższy od ciebie. Nie boisz się jednak psa, boisz się śmierci, nie możesz złapać oddechu. Toniesz. Kroki z tyłu nagle oddalają się, każdy kolejny jest coraz cichszy, jeszcze cichszy... cisza. Nagle słychać strzał pioruna, błysnęło się, z nieba wali ci się na głowę ulewa, o mało nie tracisz równowagi, ale wytrzymujesz to. Deszcz roztopia flegmę, działa na nią jak wrzątek na masło, po kilku sekundach stoisz po kolana w rwącej rzece. Obok biegnie chodnik. Wskakujesz na niego i biegniesz jak oszalały. Już nie chcesz podejść do psa. Chcesz od niego uciec i robisz to, uciekasz. Po chodniku biegnie się łatwo, mkniesz po gładkiej tafli kamiennych płyt i czujesz odprężenie. Tutaj masz jakieś szanse. Odwracasz głowę. Pies biegnie za tobą, już nie ma czarnych oczu ani flegmy wokół pyska. Merda ogonem, jakby chciał się bawić, ale ty wiesz, że to tylko taka zagrywka. Jeżeli zwolnisz, on cię dogoni i zje. Ten pies ma na ciebie ochotę, chociaż tak pięknie udaje przyjaciela. Fałszywa bestia. Pojawiają się pierwsze domy, sklepy. Rozpoznajesz okolicę, to skrawek twojego rodzinnego miasta. Czujesz się tu dobrze, znasz drogę do domu. Teraz twoje szanse na ucieczkę urosły stokrotnie. Za parkingiem skręcasz w jedną z bram, często chowałeś się tam podczas zabawy w chowanego. Pies dał się nabrać i pobiegł prosto, lecz zaraz się połapał i precyzyjnie wyhamował. Ale ty już

masz przewagę. Mijasz garaże i skręcasz w prawo, jesteś już za trzepakiem, kiedy on dopiero wynurza się z za garaży. Biegnie szybko, ale nie dość szybko. Jest tak zdziwiony twoją przewagą, że omal nie wali łbem w stoją obok trzepaka śmietnik. Słysząc ludzkie śmiechy. To dzieciaki stojący na jednym z balkonów. Obserwują cię. Mają niezłą uciechę. Ty nie masz czasu na nich spojrzeć, skręcasz teraz w lewo i już prawie jesteś bezpieczny. Mijasz sklep z artykułami domowymi i dopadasz drzwi na klatkę schodową, gdzie, na samej górze, znajduje się twoje mieszkanie. Pies zaczyna szczekać, jakby wzywał pomoc. Jego naiwne zachowanie doprowadza cię do śmiechu, ale nie masz na to czasu. Zamykasz za sobą drzwi i już masz dawać krok na schody, kiedy twoje oko pada na otwarte drzwi prowadzące do piwnic. Dopiero teraz uświadamiasz sobie, jak bardzo jesteś zmęczony, padasz z nóg po szaleńczej ucieczce, na dodatek masz trudności z oddychaniem. Wspinaczka na ostatnie piętro mogłaby się nie udać. Tymczasem psisko napadło całym swoim ciężarem na drzwi, szczeka i warczy jak oszalałe. Nie masz wyjścia, skaczesz po kilka stopni i jesteś piwnicy. Zapalasz światło i... pies leży przed tobą. Jest taki malutki i puszysty. Kiedy cię widzi, merda ogonem. Pisk, jaki wydobywa się z jego pyszczka rozśmiesza cię, ale i tak masz ochotę go udusić. Kiedy opiera swoje przednie łapki na twoich kolanach, bierzesz go za szyję i ukręcasz kark. Nastaje piękny dzień.

Mój syn milczy dłuższą chwilę. Patrzy na matkę, która właśnie znika za drzwiami, za nią idzie on sam, ubrany z szkolny garnitur, na plecach ma swój szkolny niebieski plecak. A więc jeszcze nie zdecydował się na odpuszczenie z całym tym oglądaniem mojego życia wstecz, tamci ciągle walą całą wstecz, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Nie wiem dlaczego mu tak na tym może zależeć. Przecież dałem mu słowo, że się mu wypowiadam, usłyszy całą prawdę. Trzeba dać mu trochę czasu. Zresztą nie

wierzę, żebyśmy mieli jechać za nim i jego mamą do szkoły czy do pracy. To jest ta pora dnia, podczas której nie przebywaliśmy przecież ze sobą. Nie wiem, czy on to przewidział. Jestem ciekaw, co teraz się stanie. Nie możemy być w trzech miejscach na raz. Zobaczymy jak jego podświadomość, bo dochodzę do przekonania, że to ona mnie tu ściągnęła, poradzi sobie z tym problemem. Zobaczymy.

- Więc jeden sen z dzieciństwa, niezbyt zresztą przerażający, kazał ci przez całą resztę życia spać ze słuchawkami na uszach? - pyta znienacka.

- Ależ nie, tu nie chodzi o to.

- To o co?

- To było tylko wspomnienie, nic szczególnego. Na pewno ten sen przyczynił się trochę do tego, że słuchałem po nocach radia, ale głównie chodziło mi o to, żeby czuć się częścią świata, brać udział w ważnych wydarzeniach, wiesz, robić to, czego nie potrafiłem robić w dzień. Raczej to uważam za główny powód. Za młodu marzyłem, jak chyba każdy, żeby być kimś, robić użyteczne rzeczy, mieć swoje zdanie, i żeby inni się z tym zdaniem liczyli, żeby się ode mnie uczyli. To byłoby coś. Od dziecka wiedziałem, że mam duszę artysty, że nie będę nigdy szczęśliwy, jeżeli będę musiał robić coś, co jest niezgodne z moją naturą. Wiedziałem, że nie będzie to łatwe. I nie było. Nie mam pojęcia gdzie zrobiłem błąd, ale od początku wiedziałem, że podążam złą drogą. Dopiero później uświadomiłem sobie gdzie może tkwić błąd, ja po prostu byłem wyrazicielem stylu życia, którego nikt nie chciał zaakceptować. Moje opinie, które miały według moich marzeń być podchwytywane i powtarzane przez innych, okazały nieatrakcyjne, moje zdanie na różne tematy - wytykane palcami i wyśmiewane. Jak widzisz, każdemu trudno by było przejść nad czymś takim do porządku dziennego. Mnie było bardzo trudno, chyba byłem zbyt słabej budowy psychicznej.

- Powiedziałaś, że nie mogłeś tego wszystkiego robić za dnia, że nie potrafiłeś brać udziału w życiu świata. Co to dokładnie oznacza?

Zastanawiam się przez moment, żeby wyłuszczyć to tak prosto, jak tylko mogę, żeby jego młody, za młody może nawet na takie zwierzenia umysł był w stanie coś niecoś z tego zrozumieć. Potrzebna mi ta chwila zastanowienia, bo przecież ja sam przez długi czas nie umiałem znaleźć odpowiedzi. A może takiej odpowiedzi w ogóle nie ma, może jest to jedna z tajemnic natury, która jednych faworyzuje kosztem innych i nikt nie ma na to wpływu. To chyba nie do końca prawda, bo przecież są ludzie, sam takich spotykałem, którzy potrafią odwrócić swój los, umieją wykrzesać z siebie tę iskrę, będącą zacynkami do wielkiego pożaru, a z kolei ten pożar niszczy wszystko to, co było dla nich przekleństwem i przeszkadzało w dobrym życiu. Cóż, mnie się to nie udało.

Zaczynam po dłuższej chwili.

- Zacznijmy może od tego, że po tysiącu prób nabrałem przekonania o własnej niemożności bycia częścią jakiegokolwiek towarzystwa. Grupa ludzi działała paraliżująco. Tylko kiedy byłem sam, potrafiłem czuć się naprawdę dobrze. Chociaż, żeby być całkiem szczerym, bywały chwile, podczas których czułem się bezpiecznie a wokół znajdowali się ludzie. Od czasu do czasu szedłem sobie do centrum miasta, oczywiście ze słuchawkami na uszach, i siadałem na ławeczce.

- Myślałem, że zakładałaś te słuchawki tylko na noc.

- Ależ nie, przyszedł czas, że nie potrafiłem się z nimi rozstać.

- To dziwne, żeś się w nich nie powiesił - wypala nagle syn zmienionym głosem.

- Czyż to nie dziwne? - pytam. I nie wiem tylko czy to pytanie adresuję do niego czy do samego siebie.

- Mów dalej, siadałaś na tej ławeczce i co?

- I siedziałem sobie. Mogłem patrzeć na ludzi, zastanawiać się, dokąd idą, dlaczego na mnie nie patrzą, z jakiego powodu mają takie sztywne miny. Wszystkie te pytania przychodziły same, nie musiałem nadweręzać głowy. W takich chwilach czułem się dobrze, nie było strachu. Albo jeszcze inne miejsce - knajpa. Tam także czułem się dobrze, ale to już inna historia, bo związana z alkoholem. Jeszcze do tego wątku wrócimy.

- Nie byłeś pijakiem - stwierdza krótko syn.

- Nie. A przynajmniej nie w takim znaczeniu, w jakim ludzie to rozumieją. Ale lubiłem pójść do knajpy i wypić kilka kufli, to odprężało, dodawało siły. I tam było zwykle pełno ludzi. Nie przeszkadzali mi tam, chociaż nie można było nie zauważyć ich obecności.

- Czyli, że co, normalnie ludzie ci przeszkadzali?

- Niestety taka jest prawda. Nie mylisz się, ludzie mi przeszkadzali. Nie lubiłem, kiedy do mnie mówili, nie lubiłem być nigdzie zapraszany, co zresztą z czasem przestało się zdarzać. Zrobiłem się dzikusiem. Nawet ty musiałeś to zauważyć.

- Zauważyłem. Tylko... Zawsze myślałem, że jesteś zbyt zajęty i dlatego nie lubisz jak nas ktoś odwiedza.

- To też poniekąd prawda. Nie do końca, ale coś w tym było. Znowu wracamy do tego, że nie lubiłem tracić czasu na pierdoły.

- Ale przecież nic konkretnego nie robiłeś, prawda? Nigdy nie widziałem, żebyś w domu czymś się zajmował.

- Dziękuję ci bardzo.

- No, ale to prawda. Zwykle siedziałeś z nami na sofach i milczałeś.

- Wtedy odpoczywałem, tak samo jak i wy.

- Ale jak ja trochę się zasiedziałem to zaraz mówiłeś, żebym nie tracił czasu na pierdoły. To nie było sprawiedliwe.

To gówniarz jeden. A ja myślałem, że jest za młody tę wycieczkę w przeszłość. A tu proszę bardzo, jeszcze

uzurpuje sobie prawo do oceniania mnie.

- Widzisz - mówię - to nie jest łatwo wytłumaczyć, ja tego nie potrafię. To pewnie dlatego skończyłem tak, jak skończyłem. Bo nie potrafiłem należycie ocenić zmieniających się warunków, nie miałem w sobie równowagi, wszystko musiało być albo czarne albo białe. A to już jest niebezpieczne, czego zresztą dowodzi moja historia. Według ciebie nie zajmowałem się niczym szczególnym, a przecież nie widywałeś mnie przez cały dzień, tylko wieczorami.

- No dobrze, a jak ci się układało z ludźmi, z którymi pracowałeś?

- I pod tym względem wszystko zorganizowałem tak, żeby nie mieć z nimi zbyt wiele do czynienia. Nie było to łatwe, ale udało się. Tylko zaraz po szkole miałem regularną pracę, jedną czy dwie, i to właśnie wtedy nabrałem obrzydzenia do bycia częścią załogi, do wykonywania pracy pod nadzorem. Nabrałem przekonania, że jestem stworzony do pracy na własny rachunek. I tak sobie później wszystko organizowałem, żeby sam sobie być panem.

- Ale i wtedy musiałeś stykać się z ludźmi.

- Tak, tak, lecz to już było dużo łatwiejsze. Nie wymagało obcowania z nimi przez osiem czy dziesięć godzin.

Widzę, że syn trawi wszystkie te informacje, od czasu do czasu kręcąc głową. Na pewno trudno mu w to wszystko uwierzyć, ja sam także w pewnym momencie swego życia poczułem się jak jakiś cholerny dziwak, jak ktoś odtrącony z wielkiej ludzkiej zabawy, święta życia. Dla mnie nie było czasu na świętowanie, ja musiałem się ukrywać i cierpieć. Patrząc wstecz widzę tylko ból i cierpienie. Czy muszę mu to wszystko powiedzieć, z drobnymi szczegółami? Chyba tak. Skoro już mnie przywołał, pokazał determinację i zawzięcie, to ja teraz muszę mu to wynagrodzić. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że to co już słyszy i to co usłyszy w dalszym ciągu naszego duchowego spotkania stanie się dla

niego dobrą lekcją i uchroni przed przeżywaniem życia w taki parszywy sposób, w jaki ja go przeżywałem.

Patrzę na syna. Jego twarz jest smutna, pod oczami ma cienie. Żal ściska mi serce, bo wiem, że go skrzywdziłem, zostawiłem na pastwę losu. Od razu jednak pojawia się druga strona medalu. Jeżeli bym nie uciekł od życia, jeżeli bym nadal pozostawał w jego otoczeniu to z wielkim prawdopodobieństwem naraziłbym bym go na podzielenie mojego losu. Stawałem się coraz bardziej ordynarny, chamski. Moje komentarze pod adresem ludzi, wydarzeń, splotów wypadków, dosłownie wszystkiego, stały się doprawdy tak idiotyczne, tak mocno parowała z nich nienawiść, że zaczęły być niebezpieczne dla otoczenia. A dzieciaki w jego wieku chłoną jak gąbki, są niczym wielki magnes przyciągający przykłady z całego otoczenia, w szczególności od ojca. A przykłady od takiego ojca, jakim ja byłem na nic nie mogły mu się przydać. Były złe. To było zło w swej najczystszej postaci. Przykłady zachowań podawane przeze mnie stały by się dla niego przekleństwem. To kolejny powód, dla którego musiałem zniknąć z jego życia.

Zamykam oczy i mówię mu to wszystko. Zamykam oczy, bo nie chcę patrzeć na ten ból. Czuję się jak ostatni skurwysyn. Gdybym miał czym, to bym płakał, ale ja już nie mam łez, wyschłem, tam na gałęzi. Ostatnia łza znieruchomiała dotknięta mrozem nieistnienia.

Syn wstaje. Głowę ma uniesioną wysoko. Widać po nim, że zdecydował się stawić czoła wyzwaniu, jakie sam przed sobą postawił. Nie znałem w nim takiego twardziela. Szczerze mówiąc często bolałem nad jego skłonnością do zbyt łatwego poddawania się. Tak, tak zaczął przypominać mnie samego. Teraz ma szansę wyrwania się ze szponów beznadziejnego przykładu, jakim dla niego bez wątpienia byłem.

- Nie minęło pół godziny, odkąd skoczyłeś z gałęzi, a ja już tyle się dowiedziałem - mówi nagle. - Nie spodziewałem

się takiej dawki zwierzeń, tato. Nie tak od razu. Trochę mnie to zatkało, za dużo na raz.

- To łatwo wytłumaczyć, synu. Ponieważ wybrałeś taki, a nie inny sposób sprowadzenia mnie tutaj, ponieważ zachciało ci się ruszyć z moim życiem wstecz, to siłą rzeczy dostajesz emocje, które przeżywałem ostatniego dnia, w ostatnich godzinach przed samobójczą śmiercią. Nie dziwię się, że czujesz się zagubiony, dostałeś na początek potężną dawkę emocji, masz podane na tacy wszystko to, co drażyło moje sumienie podczas ostatnich chwil na tej ziemi. Wierz mi, nie było to przyjemne. Chciałem po prostu przestać istnieć, nic nie czuć, niczego się nie bać.

- Popatrz, jak wiele spraw przypomniało ci się tego ostatniego dnia - zauważa przytomnie - czy to nie dziwne?

- Dlaczego dziwne? Podczas podejmowania tak ekstremalnie ostatecznej decyzji myśli się o wielu sprawach, przemyśla się za i przeciw. Człowiek się boi. Pamiętaj, że popełnienie samobójstwa to długi i złożony proces. Przynajmniej taki był w moim przypadku. To nie było tak, że wstałem rano i powiedziałem sobie „dzisiaj się zabijam”. Musiałem się przygotować. Nie działałem w desperacji. Wszystko zostało po stokroć przemyślane. Do tego nawet stopnia, że miałem zapisaną nazwę wina, jakie wypiję przed odejściem. Tak że nie dziw się, jeżeli teraz wszystko wydaje ci się zbyt stłoczone, informacje nakładają się na siebie, plątają i czujesz przesyt. Sam tak wybrałeś. Może należało zacząć od początku, od dnia moich narodzin, pomyślałeś o tym?

- Nie. Do głowy mi to nie przyszło. Ale takie rozwiązanie nie miałyby sensu. Przecież zaraz po urodzeniu nie mogłeś wiedzieć jak potoczy się twoje życie, a już na pewno nie jak zakończy.

- Może masz rację. Cóż, pozostaje ci tylko brać rzeczy takimi, jakie są i robić z nich użytek. Pamiętaj, że cokolwiek się niedługo stanie, w jaki sposób zakończymy nasze niepodziewane spotkanie, ja zawsze w ciebie wierzę. Może

nie brzmi to szczerze, biorąc pod uwagę, w jaki sposób cię zostawiłem, ale niebawem wszystko co słyszysz ułoży się w twojej głowie i może zaczniesz mnie rozumieć, może nawet kiedyś wybaczysz. Pamiętaj także, że cię kocham.

- Nigdy mi tego nie powiedziałaś za życia.

- Co tylko pokazuje jakim byłem człowiekiem.

- Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś?

- To jedna z tych rzeczy, których nie potrafię wytłumaczyć. To nie tak, że cię nie kochałem. Dziecko, nawet nie myśl o czymś takim, pamiętaj. Prawda jest taka - podobne słowa nie mogły mi przejść przez gardło. Tworzyły się tam kolce, powstawała blokada. Nazwij to jak chcesz. Nie byłem w stanie. Za nic.

- To nie jest łatwe, zrozumieć ciebie.

- Na pewno nie, ale nic innego ci nie pozostaje, jak wierzyć mi na słowo.

- Więc jakim sposobem mogłeś powiedzieć mi to teraz.

- Teraz już nie jestem tamtym sobą, on umarł i razem z nim umarły te wszystkie granice, zniknęły lęki. Masz przed sobą tylko i wyłącznie moją pokręconą duszę. Jestem już tylko samą prawdą, kłamstwa wiszą na gałęzi. Tu nie ma miejsca na kłamstwa. Zresztą, za życia także starałem się nie kłamać, ale wtedy uczucia trzymałem tylko i wyłącznie dla siebie. Teraz jestem tu tylko po to, że by się otworzyć, zrobić to, czego nie umiałem uczynić, kiedy byłem pośród was. Tak przynajmniej rozumiem twoje wezwanie. Czy nie mam racji?

- Masz, tato.

Jest taki poważny, kiedy to mówi. Nie musi przyznawać mi racji, a jednak robi to. Uważam to za mój mały sukces, jego reakcja każe wierzyć, że dobrze robię co do mnie należy. I jeżeli bolą go moje słowa, to wkrótce doceni tę szczerłość, nauczy się wyciągać z niej odpowiednie wnioski.

- Synu - pytam nagle, zupełnie nieświadomie - co chcesz zrobić teraz?

Patrzy mi w oczy. Jego oczy mrugają szybko, nerwowo. To także dziedzictwo po mnie. W jego wieku tak samo mrugałem, co stało się powodem do odwiedzania różnych specjalistów. Żaden nic nie pomógł. Zapewne były to efekty nerwicy. Bo jak inaczej można to wytłumaczyć. On ma teraz to samo.

- Cóż, chyba cofniemy się trochę. Chcę lepiej cię poznać, chcę popatrzeć z boku na różne wydarzenia z naszego życia i zrozumieć, czy można było inaczej, spokojniej, chcę dotrzeć do początku tego wszystkiego, co skłoniło cię do podjęcia ostatecznej decyzji.

- Dobrze, zrobię co będę mógł. Ale to twoje przedstawienie, ty tu jesteś reżyserem, więc prowadź nas, pytaj. I o jedno tylko proszę - niech to nie trwa zbyt długo. Moja dusza potrzebuje odpoczynku... wiecznego odpoczynku.

- Postaram się, tato.

Naraz wszystko się odsuwa; meble odjeżdżają na boki, podłoga się zapada, znikają ściany, sufit odlatuje.

Widzę moją żonę. Jedzie samochodem w kierunku swego miejsca pracy. Jest wyraźnie rozluźniona, w samochodzie rozbrzmiewa muzyka. Moja żona śpiewem wtóruje muzyce, fałszując niemiłosiernie, ale jej to nie przeszkadza, nie przeszkadza też siedzącemu obok niej synowi. Nagle i on zaczyna śpiewać, fałszuje jeszcze bardziej niż ona. Ale nie zdaje się to psuć im humoru. Są wyraźnie, raz jeszcze murze to podkreślić, rozluźnieni, jakby wypuszczono ich z klatki. Kiedy piosenka się kończy, oboje wybuchają głośnym śmiechem. Przesłanie tej sceny jest dla mnie zupełnie jasne. Syn, ten obok mnie, patrzy w moją stronę, jakby chciał sprawdzić, czy wyciągam odpowiednie wnioski, najwyraźniej chce to osiągnąć studiując wyraz mojej twarzy. Na pewno widzi tam to, co spodziewał się znaleźć. W tym stanie ducha nie potrafię ukrywać uczuć, można czytać z mojej twarzy jak z otwartej księgi, na dodatek potrafię uczucia nazywać i nie wstydzę się tego robić.

- Więc tak to wyglądało - mówię bezwiednie, raczej do siebie niż do niego. - Czuliście ulgę, kiedy zostawialiście sami.

- Nie możesz nas za to winić. W twojej obecności trudno było być sobą, nie dało się wyrazić radości. Pamiętasz to na pewno. Ciągle nas uspakajałeś, nie można było się odezwać, włączyć muzyki, pośpiewać. Zaraz musiałem się wtrącić, pamiętasz?

Pamiętam, pamiętam.

- Uważasz, że nie miałem racji?

- Pewnie, że nie. Nikt normalny się tak nie zachowuje. Nie miałeś prawa ciągle nas uciszać, nie mieszkałeś w domu sam, my też mieliśmy prawo się odezwać, dać upust swoim myślom, uczuciom. I powiem ci coś jeszcze, powinienes się cieszyć, że chcieliśmy się tym wszystkim z tobą dzielić, powinienes to docenić. Kurde, ale był z ciebie dupek. Duppek i ponurak.

Wali we mnie jak w worek treningowy. Widać, że sporo nad tym wszystkim myślał.

- Nie potrafiłem - mówię - nie umiałem. Ja nie dawałem się do życia w stadzie. Zresztą jak umiałem, unikałem tego. Ze stada zrobiło nas troje.

- Ale i to było za dużo, co?

- Za dużo, o wiele za dużo.

Jego oczy mrugają teraz o wiele za szybko, gdyby tylko miały siłę skrzydeł, na pewno uniosłyby go w powietrze.

- Boże, przecież można być samotnikiem, a mimo wszystko jakoś się dostosować do życia z innymi ludźmi. Byliśmy twoją rodziną. Ty powołałeś tę rodzinę do życia. Czy kiedy to czyniłeś, nie potrafiłeś należycie ocenić samego siebie?

Próbuję sobie przypomnieć tamte czasy. Patrzę żonę, która tymczasem podjeżdża samochodem pod szkołę. Syn wychodzi i macha do niej, podczas gdy ona odjeżdża, również mu machając. Rozsiada się wygodniej i podgłaśnia muzykę. Żałuję, że nie potrafię wnikać w jej myśli.

- Dlaczego chcesz wniknąć w jej myśli? - pada zaskakujące pytanie.

- To byłoby pouczające - odpowiadam.

- Trzeba było ją zapytać, wtedy byś wiedział.

- Teraz to wiem.

Samochód znika za zakrętem. Wiem, że jeżeli tylko bym chciał, potrafiłbym podążyć za nim i obserwować ją dalej. Ale z jakiegoś powodu zaniechałem tego. Wciąż wisiało nad moją głową pytanie, na które jeszcze synowi nie odpowiedziałem. Czy kiedy zakładałem rodzinę, nie potrafiłem należycie ocenić samego siebie? Skąd on bierze takie słowa? Nie pamiętam, że by takich słów kiedykolwiek używał.

- Nie pamiętasz, bo w ogóle ze mną nie rozmawiałaś. Oto powód. Przecież ty mnie w ogóle nie znasz.

- Nie, chyba nie.

- Więc jak to było z zakładaniem rodziny?

- Chyba wtedy jeszcze nie było ze mną tak źle. Pamiętaj, że zakochany człowiek, to człowiek zamroczony.

- Nie gadaj bzdur. Miliony ludzi podejmuje podobne decyzje każdego dnia.

- I cóż z tego? Każdy człowiek jest inny. Nie można wszystkich oceniać jedną miarą. Jesteś jeszcze zbyt młody, żeby to rozumieć. Teraz dla ciebie wszystko jest proste, ale z czasem ujrzysz coraz więcej przeszkód na swojej drodze, coraz wyżej będziesz musiał unosić nogi, żeby te przeszkody przekroczyć. Ale wracając do twojego pytania. Jedyne, co mogę powiedzieć to to, że w tamtych czasach musiałem stać jeszcze po tamtej stronie granicy, że potrafiłem wymyślać coraz to nowe powody, dla których życie miało sens. Umiałem marzyć.

Staram się wrócić myślami w tamte czasy, próbuję myśleć tamtymi kategoriami. Nie idzie jednak to dobrze.

- Czy chcesz, żebym ci pomógł?

- Co masz na myśli, synu?

- Możemy cofnąć się do tamtych czasów. Czy chcesz, żebym to zrobił. Wskaż tylko jakieś konkretne zdarzenie, które szczególnie utkwilo ci w pamięci, jakiś wyjątkowo pamiętny dzień, a będziesz mógł go zobaczyć raz jeszcze, przypomnieć sobie uczucia.

- To nie będzie potrzebne - odpowiadam.

I naprawdę tak uważam. Niechaj tamte sceny ukaza mi się tylko jako wytwory mojej własnej pamięci, przynajmniej dopóki nie uznam, że naprawdę nie potrafię nic sobie przypomnieć. Nie chcę pokazywać synowi, że rzucę się na wszelkie ułatwienia, jakie mi podstawi pod nos.

- Jak chcesz.

Rzucam tylko okiem na żonę, która tymczasem zaczęła swoją pracę. Jest skupiona i zamyślona, ale wciąż wyraźnie rozluźniona. Moja nieobecność naprawdę działa na nią wskrzeszając.

- Założyłem rodzinę, bo kochałem, bo bycie z twoją mamą dawało nadzieję na dobre życie, to było silniejsze niż cokolwiek przeżywałem wcześniej. Jakże łatwo było wyobrazić sobie przyszłość, nasz wspólny dom, marzyć, dzielić się tymi marzeniami i bez trudu znajdować rozwiązania dla każdego pojawiającego się problemu. Problem - jakże małe to było słowo, jak niewiele znaczyło. Wystarczyło tylko dmuchnąć i już zniknęło. O tak, w tamtych czasach miało się tę moc - jedno dmuchnięcie i już, po problemie. Wiesz co teraz myślę?

- Potrafię czytać twoje myśli.

- Naprawdę?

- Tak. Jest jednak jedno ale.

- No...

- Potrafię czytać tylko te, jakby to powiedzieć... aktualne, które w tej konkretnej chwili chodzą ci po głowie. Nie umiem natomiast wnikać w myśli już przebrzmiałe albo te, które się dopiero narodzą.

- Więc o czym myślę?

- Myślisz o tej mocy, która ułatwiała zdmuchiwanie problemów oraz o tym, z jakiego powodu tę moc utraciłeś.

- Masz rację. To mnie teraz nurtuje. I nie potrafię odszukać momentu, kiedy moc zniknęła. Błądzą pamięcią w przeszłości, zaglądam w jej najciemniejsze zakamarki, ale nic tam nie ma, nic, co mogłoby podać jakąś odpowiedź.

- Mógłbym ci pomóc - mówi syn.

- Wiem. Ale... jeszcze nie teraz. To byłoby z mojej strony pójście na łatwiznę. Daj mi się trochę pomęczyć, niech powalczę.

- Dobrze, będzie po twojemu. Znów po twojemu.

- Dlaczego to powiedziałeś?

- Jesteśmy tu, żeby mówić sobie wyłącznie prawdę. To dotyczy nie tylko ciebie. Także mnie. A prawda jest taka, że zawsze wszystko musiało być po twojemu. Tak to pamiętam.

- Dobrze pamiętasz. Ale weź pod uwagę, że ty także chciałeś żeby wszystko było po twojemu, mało tego, twoja mama chciała, żeby wszystko było jak ona chce. Te nasze dążenia do podporządkowania sobie pozostałych, do narzucenia swojego zdania nie mogły trwać wiecznie. Ktoś nareszcie musiał się wyłamać, powiedzieć - dosyć.

- I często robiliśmy to w tym samym momencie. Nie było wtedy miło, atmosfera robiła się duszna, pamiętasz?

Zaczynamy się nagle śmiać, zupełnie nieświadomie, bez uprzedniego wyznaczenia odpowiedniego momentu. Jest to głośny śmiech, nic go nie krępuje. Trzęsie nami, jakbyśmy zostali porażeni prądem. Mamy do tego powód. Właśnie uświadomiliśmy sobie, jak bardzo ważnego odkrycia dokonaliśmy. To jest to, prosta prawda - każde z nas chciało zawsze postawić na swoim. Brakowało w tej rodzinie równowagi, nikt nie chciał ustąpić.

- Ależ to było głupie - cieszy się mój syn.

Teraz rzeczywiście wydaje się to głupie, jednak jeszcze wczoraj owa chęć postawienia na swoim była podstawowym wyznacznikiem życia każdego z nas.

Teraz łatwiej mi się myśli, porażony prądem nagłej radości, doznałem jakiegoś osobliwego odblokowania, łatwiej mi nazywać własne wady, mogę patrzeć na nie z przymrużeniem oka. To dosyć budujące uczucie.

Zostawiam na chwilę bieżącą sytuację i patrzę co robi moja żona. Zbliżyłem się do niej na wyciągnięcie ręki, mogę słyszeć jej oddech. Zapach jej perfum zalega w mym mózgu, niczym gęsta mgła.

Chciałbym powiedzieć jej o tym naszym małym odkryciu, zaprosić tam do nas, żeby także mogła posłuchać tej mojej swoistej, wymuszonej przez syna spowiedzi, a przede wszystkim pośmiać się razem z nami, bo w tej chwili zdarzył się cud i jest powód do śmiechu. Kiedyś rzadko nam się to zdarzało, raczej nie umieliśmy śmiać się z tych samych rzeczy. Byliśmy każde innego poczucia humoru. Żeby być szczerym, to ja w którymś momencie pozbyłem się go w ogóle. Może nie miałem dosyć siły, żeby dźwigać ze sobą aż tak ciężkie poczucie humoru, jak to moje. Może to dlatego dostałem w końcu przepukliny i wylądowałem w szpitalu?

Za dużo tych pytań.

I wcale nie wygląda na to, żeby miało być ich mniej. Kolejne już czekają w kolejce.

Może niesłusznie nie wziąłem żony pod uwagę podczas przygotowań do odejścia? Może gdybym i do niej napisał list pożegnalny, tak jak do syna, to wtedy i ona mogłaby tam siedzieć z nami?

Wstydzę się zapytać syna, czy on może coś tu pomóc. Wiem, że on potrafi czytać moje myśli, ale teraz zostawiłem go tam, siedzi ze mną i dalej się śmiejemy.

Dręczy mnie kolejne pytanie – Jak to wszystko będzie się rozwijało? Nie pojąłem jeszcze reguł tej gry, choć gram w nią od jakiegoś czasu. Tylko mój syn wie, dokąd to wszystko podąża, jest tutaj szefem.

Jestem obok żony, ale ona nie ma tej mocy co mój syn. Ona nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności. Nie ona

mnie tu zaprosiła; ona chciała tylko dobrze żyć, nie bacząc na to, czy ja wciąż jestem tam dla niej, czy jestem tylko obok, tak jak teraz.

Ona wciąż marzyła, często także za nas dwoje, i starała się te marzenia spełniać, nie obca jej była ciężka praca, od czasu do czasu zerknęła w moja stronę, czekała aż dołączę do tego jej kroczenia ku wyznaczonym celom, ale mnie coraz trudniej się szło, coraz ciężiej było stawiać kroki. Wielka to szkoda, bo przecież tyle tych celi jeszcze było do zdobycia, tyle marzeń do spełnienia.

Teraz będzie musiała szukać sobie nowych, może z kimś innym obok, kimś, kto będzie dla niej prawdziwym oparciem, komu będzie potrafiła zaufać i kto pomoże wymyślać nowe cele, marzyć wspólne marzenia.

Widząc, że żona mnie nie czuje, że pracuje uczciwie i nie zawraca sobie głowy bzdurami, zostawiam ją i wracam do syna. Już przestał się śmiać. Nie wiem, czy zna moje ostatnie myśli, nie zamierzam podnosić tego tematu. Myślę, że powinien uszanować moja chęć pobycia z żoną, którą przecież także skrzywdziłem, czy, biorąc pod uwagę punkt w jakim się znajdujemy, wczuwając się w jej perspektywę, mam zamiar skrzywdzić.

Odpozywamy dłuższą chwilę. Obaj tego potrzebujemy.

Chyba nadszedł czas na zwolnienie. Przynajmniej ja tak uważam. Zbyt szybko wszystko się dzieje. Nawet jeżeli tak być musi, bo w ostatni dzień przed skokiem nałożyły się na siebie jeden powód na drugi, trzeci na czwarty i tak dalej. Dużo emocji w krótkim czasie, jak podczas pierwszego pocałunku. Dla niego jednak za szybko.

Widzę, że się zmęczył.

W tym tempie nie da się dłużej. Wiem to z doświadczenia. Zawsze wszystko robiłem w zbyt dużym tempie, śpiesząc się, gnając na oślep. A kto gna na oślep, ten owszem, czasem dociera do celu, ale przeważnie w strasznym stanie, bowiem w swym pędzie nie potrafi omijać przeszkód, wali w nie bokami, czołem, łamie nogi w błocie, wpada do rzeki.

Nic dziwnego, że do mety przybiega, jeżeli w ogóle przybiega, już tylko cień człowieka.

Czy ze mną było inaczej? Ależ nie.

Dotarłem do mety poobijany i z połamanymi kończynami, a przede wszystkim z wyczerpanym zbyt szybkim tempem mózgiem.

Teraz zauważam podobny pęd u syna. Przypomina mnie pod tym względem. Też chce wszystkiego naraz i to najlepiej teraz. Nie potrafi czekać. Czekanie to śmierć, to znaczy jeżeli nie umie się czekać. Wtedy śmierć czai się tuż za rogiem. Chciałbym uchronić go od tego, ale przecież nie będę w stanie tego zrobić, uciekłem jak tchórz, zostawiając go tylko z matką. A ona potrafiła czekać. Może więc zrobiłem najlepszą rzecz jaką mogłem? Uwolniłem go od złego wzoru do naśladowania. Byłem przecież jak najgorszym wzorem dla młodego człowieka. A szczególnie dla młodego człowieka, który miał okazję oglądać mnie codziennie. Dla młodego człowieka, który oczekiwał ode mnie podpowiedzi na każde pojawiające się w jego głowie pytanie.

- Jak widzisz - mówię do niego - tam, pośród nas, dzień chyli się ku początkowi. Zaraz będzie rano, znów wszyscy będziemy w domu, siądziemy do śniadania, milczącego śniadania albo zakończonego kłótnią. Tylko my najpierw dostaniemy dostaniemy kłótnię, a dopiero potem cofniemy się do jej przyczyny, jakiegoś niepotrzebnie zadanego pytania przez któreś z nas, do momentu aż ty zaczniesz walić palcami w stół, albo gdy matka zacznie śpiewać, a ja ją zacznę uciszać. Ona mi odszczeknie. Wtrącisz się ty. Wtedy będziemy wiedzieli, że oto zaczął się kolejny dzień.

Syn uśmiecha się.

- Tak się zaczynał niemal każdy dzień, prawda?

- Większość z nich.

Kiwa głową.

- Pamiętam to dobrze.

Wpadam na pewien pomysł.

- No i powiedz, czy to jest mniej więcej to, czego się spodziewałeś sprowadzając mnie tutaj? Jesteś zadowolony?

- Tak - odpowiada bez zastanowienia - to jest właśnie to, tego chciałem i zaczynam widzieć nasze życie takim, jakim było naprawdę.

Dziwne. Czyżby do tej pory uważał, że nasze życie było normalne, podobne do życia rodzinnego jego kolegów? Czyżby pozostawał ślepy na każdy nowy dowód odmienności mojego zachowania, jego zachowania czy jego matki? Trudno w to uwierzyć. Co więc ma na myśli mówiąc, iż zaczyna widzieć nasze życie takim, jakim było naprawdę? Trudno mi teraz myśleć.

- Wiesz, chcę coś zaproponować.

- Tak?

- Co powiesz, żebyśmy na razie się rozstali i powrócili do rozmowy za jakiś czas, kiedy obrazki z naszego rodzinnego życia przebędą kolejną noc? Odpoczniesz sobie, oczyścisz umysł. A i ja będę miał trochę czasu na przypomnienie sobie większej ilości wspomnień. Poza tym... ja się zabiłem, a nawet nie wiem co to znaczy. Niemal natychmiast po skoku musiałem wracać do ciebie.

- Może masz rację. Chyba nie powinienem robić tego tak od razu, powinienem trochę odczekać.. Ale nie potrafiłem inaczej, jak tylko poczułem, że stało się coś strasznego, działałem bez zastanowienia...

To do niego podobne. Działanie bez zastanowienia leży w jego naturze, to jest to o czym już wcześniej myślałem. Oczywiście po kimś to ma. Aż wstyd przyznać po kim.

-... Jest tylko jeden problem. - Przez chwilę krzywi wargi, jakby trudność wyrażenia myśli miała zniknąć po ich przygryzieniu - w momencie, kiedy cię zostawię nie będziesz istniał. Znikniesz, tak jak tego chciałeś.

Nie pomyślałem o tym. On ma rację. Przywołał mnie tu i utrzymuje w swej przerażonej mym samobójstwem wyobraźni, rozmawiamy, ukazuje nam obrazki z przeszłości. Wszystko to dzieje się głównie przy jego udziale, on kieruje

całością. Kiedy się rozłączymy, może być problem z ponownym, że tak powiem, połączeniem. Pytam go, co o tym sądzi. Najwyraźniej ma zaufanie do samego siebie, bo nie boi się rozłąki. Dobrze go widzieć takim stanowczym, pewnym siebie. To podnosi na duchu. I ja od czasu do czasu potrafiłem tak postępować. Pozostaje się cieszyć, że przejął ode mnie nie tylko te złe nawyki. Czuję ulgę.

- Mam nadzieję, że będziesz potrafił postępować tak przez całe życie, synu.

- Co masz na myśli?

- No, że będziesz miał do siebie zaufanie, że będziesz mówił to w co wierzysz, o czym wiesz, że jesteś w stanie wykonać. Pamiętaj, życie potrafi robić na złość ludziom, którzy potrafią tylko gadać co im ślina na język przyniesie, dawać nie przemyślane obietnice.

- Mówiłeś mi o tym dosyć często.

- A jednak nie zawsze tak postępowałem.

- W pewnym momencie zacząłem to dostrzegać - odpowiada z nutą pogardy w głosie.

- Naprawdę?

- Nie bierz mi tego za złe, ale z czasem zacząłem widzieć cię takim, jakim byłeś naprawdę. Chyba byłeś zbyt zapatrzony w siebie, a może nie starczyło ci inteligencji żeby zauważyć, że ja dorastam, że zaczynam widzieć i rozumieć wszystko, co się wokół dzieje.

- Nie zauważyłem?

Moje zdumienie nie jest udawane. Mało tego, to zdumienie przemienia się teraz w szok. Nie spodziewałem się tak ostrych słów.

- Cóż, sprawiałeś wrażenie małego, zagubionego i ograniczonego człowieka, nie potrafiącego przyjąć do wiadomości różnych faktów, klapki na oczach i gacie pełne strachu. Według mnie przestałeś się w którymś momencie rozwijać. Stanąłeś w miejscu i bałeś się ruszyć do przodu. Boże, ty nawet bałeś się zbyt głośno roześmiać.

Ale mi dokłada. Nie ma co. I każde słowo jest celne, trafia w czuły punkt za każdym razem, aż kulę się w sobie. Ale to moja wina, chciałem szczerości to ją dostaję. Dosłownie pływam w oceanie szczerości i tylko szkoda, że nie potrafię złapać oddechu. Zalewa mi usta i uszy. Ślepnę.

- A teraz uczynię zadość twojej prośbie. Damy sobie trochę czasu na odpoczynek. A potem przywołam cię raz jeszcze, po raz ostatni. I uwierz mi, że wcale nie będzie łatwiej. Chcę się dowiedzieć o tobie jak najwięcej i dowiem się. A potem możesz zniknąć, tak jak sobie to w swojej egoistycznej głowie wymyśliłeś.

- Tato, jesteś tu?

Słowa. Znam te słowa, znam ten głos. Dudni mi w uszach. Na dźwięk tego głosu dostawałem nieraz szału. Szczególnie, kiedy nie chciał ani na chwilę zamilknąć, kiedy pragnąłem być sam, kiedy pożądałem ciszy. Świadomość rodzi się w bólach, rozumiem dlaczego tu jest, przypominam sobie, chociaż z niechęcią. Nie istniałem, wiem, że nie istniałem. To dziwne uczucie, ale tak bardzo teraz za tym tęsknię.

- Tato, tato.

Znowu to samo. Tym razem pozwalam sobie na widzenie, chociaż widzenie już mi się nie podoba. W ciemności siła, w ciemności moja droga. Znowu ten głos. Teraz już nie tylko głos. Widzę go. To mój syn. Nie potrzebuję zbyt długo szukać w pamięci. Wiem dokładnie i czysto. Pamiętam, że rozstaliśmy się jakiś czas temu. Nie wiem jednak kiedy. Tam gdzie przebywałem, nie wie się niczego, nie czuje i w ogóle nic nie trzeba. Nicość jako jedyna jakość. Nicość jako spełnienie marzeń.

- Weź się już obudź, tu bądź, ze mną. Czekam bardzo długo. Popatrz tam, na dół. Ładny widok, co?

Jaki widok? O cierpię dołą!

Ale widok!

Siedzimy z synem wysoko, jak na jakimś drapaczu chmur. Widoki zapierają oddech, do tego panuje piękna pogoda i

jest tak przyjemnie. Nie da się tego porównać z nicością. Jest bardzo inne. Do tego stopnia inne, że można zacząć mieć wątpliwości.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Wzrusza ramionami.

- Z góry będzie lepiej widać. Zerknij w tamtą stronę - wskazuje palcem na lewo.

Widzę całą naszą trójkę. Siedzimy na ławce w jakimś parku. Nikt nic nie mówi, miny mamy byle jakie, smutne, skrzywione. Moja żona pochyliła głowę i palcami prawej ręki przybliżyła sobie do oczu końcówki włosów. Przygląda się im, jakby szukała tam odpowiedzi na jakieś pytania. Nie myśli o tym. Jest po prostu zła i wykonują się ruchy bezwarunkowe. Mój syn też schylił głowę, milczy. Bardzo chciałbym wiedzieć co teraz czuje, ale nie potrafię wniknąć w jego umysł. Nie chcę także pytać tego syna obok mnie, nie wierzę żeby potrafił odpowiedzieć. Teraz ja sam. Siedzę wyprostowany, głowa do góry. A mina taka, że tylko uciekać. Każdy kto na mnie spojrzy, a ludzi spaceruje wokół nas sporo, zaraz ucieka wzrokiem w drugą stronę, jakby zobaczył na mojej twarzy coś strasznego. Ale ja wiem, że to ten wzrok, ta mina. Mógłbym takim wyrazem twarzy zabijać. Tak wygląda zło, jeżeli w ogóle zło ma jakiś wygląd.

- Często tak siedzieliśmy, pamiętasz?

- O tak, często tak siedzieliśmy.

- Każdy zły na wszystkich pozostałych, a jednak ciągle razem.

- To właśnie najlepsze określenie tamtego chorego stanu rzeczy.

- I kto był najbardziej winien? - syn kładzie mi rękę na kolanie.

- Zawsze uważałem, że ja - odpowiadam zgodnie z prawdą.

Kręci głową.

- Nieprawda, tato. Wszyscy byliśmy winni w jednakowy sposób. Po prostu tak się złożyło. Moja krzywda jest taka,

że zostałem zaprogramowany na wasze podobieństwo. Nasza trójka nie powinna w ogóle się spotkać. Nie pasowaliśmy do siebie.

Bardzo celnie, bardzo sprytnie. Oto cała prawda o naszej trójce. Nie powinniśmy się nigdy spotkać. Bolesne, ale jakże dokładnie opisujące stan rzeczy.

Chcę zmienić temat.

Tak zaskoczyło mnie odkrycie syna, że potrzebuję zastanowić się nad tym w spokoju. Dlatego muszę dać mu jakąś robotę, po to tylko żeby dał mi odrobinę wytchnienia. Wszyscy rodzice tak robią, jeżeli potrzebują dla siebie trochę czasu – dają dziecku jakieś zadanie do wykonania. W tym przypadku zadaję pytanie zmieniające temat, będzie musiał się zastanowić, będzie musiał mówić, a ja zdobędę trochę czasu dla siebie, nie będę musiał słuchać, ponieważ, jak mi się wydaje, i tak znam odpowiedź.

- Jak widzę, nie poniechałeś pomysłu pokazywania mi scen z przeszłości. Czyżbyś nie ufał swojej ani mojej pamięci?

Niech myśli i niech gada. A ja będę się zastanawiał czy nasza trójka rzeczywiście nie powinna się nigdy spotkać.

- Och, to nic takiego – mówi, a ja stoję gdzieś obok, zostawiając przy nim tylko jedno ucho, żeby mniej więcej wiedzieć w czym rzecz – po prostu pomyślałem, że będzie ci łatwiej sobie pewne rzeczy przypominać...

Próbuję cofnąć się pamięcią do momentu, kiedy to nasza trójka stała się właśnie trójką, a przestała być dwójką plus dziecko. Czy potrafię ustalić tę granicę? To nie powinno być trudne. Mam dobrą pamięć, potrafię na przykład powiedzieć w jaki dzień tygodnia coś się wydarzyło powiedzmy siedem lat temu. Dla mnie to łatwe, umiem posługiwać się najmnieszymi podpowiedziami, pamiętam przeróżne szczegóły potrafiące naprowadzić na właściwy trop.

- ... rzucisz okiem na jakąś scenę i tym łatwiej odpowiesz na moje pytanie...

Myślę, że staliśmy się trójką, trzyosobową rodziną, kiedy nasz syn skończył pięć lat i poszedł do szkoły. Od tego czasu zyskał swoje zdanie i potrafił go ze zdumiewającą skutecznością bronić. Wtedy do i tak już trudnego dialogu dwóch głosów doszedł jeszcze trzeci, nie mniej potrafiący walczyć o swoje. Tak, od tamtego czasu zaczęła się prawdziwa walka.

- ... popatrz, jak dobrze widać. Widzisz mamę? Patrzy na ciebie, a ty nawet tego nie zauważasz...

Najgorsze był to, że nie mieliśmy punktu odniesienia. Nie było blisko nas drugiej rodziny, do której moglibyśmy się odwołać, porównać doświadczenia. To była moja wina. Już wtedy nie znosiłem towarzystwa. Moja żona na początku nie podzielała moich samotniczych ciągotek, namawiała na wyjścia, zapraszała kogoś do nas. Ale to już nie mogło mi pomóc, wiedziała o tym dobrze, zbyt daleko zabrnąłem w ślepą, samotną uliczkę, zbyt dobrze się tam poczułem, żebym miał z tego zrezygnować. Było coś jeszcze. Nabrałem przekonania, iż nic nie łączy mnie z odwiedzającymi nas ludźmi, ich problemy nie obchodzą mnie, a ich zainteresowanie naszymi sprawami jest tylko fałszem. Oni chcieli mówić tylko o sobie. Nie potrafiłem tego ciągnąć. Z czasem te wizyty ustały i nawet moja żona przestała za nimi tęsknić. Może nie potrafiłem zdać sobie sprawy, że tak się nie da, że takie zamykanie się w swoim świecie zwykle kończy się tragicznie.

- ...o, albo teraz... To dużo bardziej odpowiednia perspektywa. Ale, ale, ty mnie w ogóle nie słuchasz, tato. Widzę jak syn szturcha mnie w bok. Nie czuję ciosu.

- Słucham, słucham. Tylko... coś mi się przypomniało.

- Ja o wszystkim wiem. Nie dam się oszukać. Chciałeś zostać z boku, aby coś tam sobie przemyśleć. Pamiętaj, że ściągnąłem cię tutaj, żebyś mi wszystko wytłumaczył, więc po prostu otwórz się i mów do mnie otwarcie. I tak niczego nie ukryjesz.

- Dobrze, co chcesz wiedzieć?

Rozłożył ręce i otworzył usta, lecz nagle zamknął je i przełknął ślinę.

- Wiedz przede wszystkim, że zastanowiłem się nad twoimi słowami i doszedłem do wniosku, iż miałeś rację, cofanie się z twoim życiem dzień po dniu, noc po nocy nie miałyby sensu, trwałoby zbyt długo. To bzdura. Będziemy działać inaczej. Będę ci zdawał pytania, a każde z nich będzie ilustrowane konkretnym przykładem z życia, które to będziemy widzieć na znanych ci już zasadach. W ten sposób załatwimy temat znacznie szybciej i każdy z nas będzie mógł wrócić do swoich zajęć - ja wstanę rano i razem z mamą dowiemy się od policjantów o twojej śmierci, a ty wrócisz na gałąź. I potem już nic nie będzie się cofać, potem pozostanie tylko przyszłość. Przynajmniej dla mnie i dla mamy.

- To miło, że wzięłaś pod uwagę moje sugestie.

- O widzisz, to mi przypomina... - zaczyna mówić, jednak nagle zacina się.

Robi tę swoją groźną minę typu - nie podchodź do mnie, jeżeli to zrobisz, narazisz się na wysłuchanie prawdy o sobie i nie będzie to nic przyjemnego.

Ta mina to po mnie. Poznaje ją. Obnosiłem ją dumnie po ulicach, wysoko unosząc głowę, jakbym chciał obwieścić całemu światu - oto ja, jestem taki fantastyczny, że nie mam zamiaru się z wami zadawać. Pocałujcie mnie wszyscy w dupę, jeżeli tylko uważacie się za godnych tego. Z dopiskiem - dupę umyłem.

Raz kiedyś, jeszcze za młodu, idąc przez park zostałem zaczepiony przez jakąś dziewczynę. Była dosyć przyjemna z wyglądu, ale zdecydowanie nie mogłaby rozkruszyć skał mej oziębłości. Zadała mi jedno pytanie, którego nigdy potem nie zapomniałem. Przypominało mi się ono przy różnych okazjach, czasem raz na tydzień, czasem raz na rok, nieraz codziennie. Brzmiało ono:

- Czy ty się kiedykolwiek uśmiechasz?

Nie uśmiechałem się. Prawie nigdy. Moja twarz nie była stworzona do uśmiechu, chociaż to nie twarz się śmieje, twarz to tylko ostatnie kółko długiego łańcucha. Uważałem uśmiechanie się na ulicy za niegodne mojej dumy. Jak można, myślałem, uśmiechać się do obcych i to na ulicy? Nie można. Obcy ma myśleć, że ty jesteś ponad nim, że mija cię tylko przez przypadek. Powinien być wdzięczny własnemu szczęściu.

- I myślisz, że i ja teraz mam taką minę? - to już mój syn.

- Masz. To prawda. Nosisz się dumnie i za nic masz ludzi. Już to widać, chociaż masz dopiero trzynaście lat. Ja w tym wieku jeszcze taki nie byłem, wtedy wciąż jeszcze zachowałem dziecięce wyobrażenie o świecie i ludziach w nim, u mnie to się zaczęło dużo później. Inaczej jest z tobą. Jesteś bardziej chłonny ode mnie, szybko uczysz się nienawiści, a nauczyciela, przyznasz to, miałeś pierwszorzędnego. Uważam, że jesteś na najlepszej drodze, żeby skopiować moje idiotyczne zachowania, a nawet je prześcignąć. Nie chciałem tego, nie chciałem żebyś odizolował się od ludzi, jak ja to uczyniłem. Musisz walczyć o poprawę swego podejścia do pewnych spraw. To między innymi dlatego zniknąłem z twego życia. Nie chciałem żebyś kontynuował tę fatalną naukę, którą nieświadomie otrzymywałeś codziennie od własnego ojca. Ważne było zabrać z linii twego wzroku mnie - niezadowolonego, niebezpiecznego nauczyciela. Nauczyciela złych, destrukcyjnych zachowań.

- Czy tak samo myślałeś za życia?

- Oczywiście. Od dawna o tym wiedziałem.

- Więc dlaczego nie robiłeś nic, żeby to zmienić?

- Nie dało się, po prostu uznałam, że nie jestem w stanie. Ty jesteś wielką indywidualnością, wiedz o tym. I ta cecha, choć w pewnych warunkach, na przykład w życiu zawodowym, może stać się twoją zaletą, to w zwykłych, codziennych stosunkach międzyludzkich prędko przemienia się w przekleństwo. Nawet nie wie się kiedy. Raz, dwa, trzy

i zostajesz wypchnięty poza nawias życia towarzyskiego, ludzie omijają cię szerokim łukiem. Twój dom nie jest miejscem, które byłoby uwzględniane podczas planowania wizyt koleżeńskich. Wtedy zaczyna się dramat. Ludzie potrzebują towarzystwa innych ludzi, są zwierzętami stadnymi.

- Ty nie szukałeś towarzystwa ludzi.

- I oto jak skończyłem.

Nie wygląda, żeby był przekonany. Kręci głową.

- Wiele razy słyszałem jak mówiłeś mamie, że ty nie potrzebujesz towarzystwa. Zawsze, jak ktoś miał nas odwiedzić, ty od razu zaczynałeś marudzić, pytać, jak długo ten ktoś ma zamiar u nas siedzieć, dlaczego nie zostałeś wcześniej poinformowany, czy będzie trzeba szykować jakieś jedzenie i tak dalej.

- To prawda, tak było.

- Mama nie była wtedy zadowolona.

- I bardzo dobrze. To znaczy, że ona była całkiem normalna. Potrzebowała porozmawiać z ludźmi, pośmiać się, poplotkować, obgadać kogoś, to jest zwyczajne, bardzo prawidłowe zachowanie. To ja byłem przetrącony na umyśle. Teraz to wiem.

- Dopiero teraz?

- No nie, nie dopiero teraz. Już wtedy zdawałem sobie z tego sprawę, zdawałem sobie świetnie.

- Więc...

- ... Dlaczego nic nie robiłem, żeby to zmienić?

- Właśnie.

- Bo nie potrafiłem. To aż takie proste. Po prostu nie potrafiłem. Jeszcze kiedy był alkohol, to wtedy jakoś szło. Godzina czasu i nie jesteś sobą. Możesz być wtedy otoczony tysiącem ludzi, nie ma problemu, będziesz do nich gadał, będziesz ich najlepszym kumplem, zaprosisz ich na następnym dniu na obiad. Tak, alkohol robił swoje. Ale ileż można pić? Z wiekiem coraz trudniej znosiłem kaca. To

dlatego przestałem pić. Kac to straszny przeciwnik, podstępny, niebezpiecznie fałszywy.

- Zmieniasz temat. Chcę zrozumieć co to znaczy, że nie potrafiłeś zmienić swojego stosunku do ludzi, nie umiałeś zostać przyjacielem żadnego z nich?

Dlaczego nie potrafiłem mieć przyjaciela?

Fantastyczne pytanie. Niestety, bez odpowiedzi.

- Niech się zastanowię. W głowie mam mętlik, synu. Ukazują się zamazane twarze ludzi, których nie widywałem od lat. Gdzieś tam, w otchłani czasu kontakt się urwał i nie było potrzeby go szukać. Przypominam sobie ile to razy nie odbierałem dzwoniącego telefonu. Nie czułem potrzeby go odbierać, myślałem sobie, że tym razem nie odbiorę, że szkoda teraz czasu, bo są ważniejsze rzeczy do zrobienia. Może odbiorę następnym razem, albo jeszcze następnym. Wkrótce telefon zaczął milczeć. Nie odzywał się przez tydzień, dwa, miesiąc. Raz spotkałem człowieka, który próbował się dodzwonić, może chciał podtrzymać znajomość, może go obchodziło moje życie. Wiedział, że nie odbierałem celowo, raz czy dwa zwyczajnie przerwałem sygnał. Wiedział o tym dobrze, rozumiał co robię. To było tak, jakbym przeszedł obok niego na ulicy udając, że go nie widzę. I teraz, stanąwszy ze mną twarzą w twarz zrobił dokładnie to samo. Kiedy do niego podszedłem, po prostu nie odebrał telefonu. Na pytanie - jak leci? - popatrzył na mnie ostro, nieprzyjaźnie. W jego zimnych oczach wyczytałem obrzydzenie. Na moje pytanie odpowiedział krótko - „normalnie”. I zajął się swoim życiem, moje odsuwając na bok, z daleka od swojego, bo uznał, że nie zasługuję na jego uwagę. Zachował się bardzo dumnie. Miał jednak rację, rzecz jasna, miał rację. I teraz nie mam mu tego za złe.

- Co wtedy poczułeś?

- Najgorsze jest to, że wtedy miałem mu za złe. Poczułem się jak pętał, który stara się dostać do bandy starszych kolegów i któremu daje się do zrozumienia, żeby dał spokój,

bo jest za mały i nie będzie dobrze pośród nich traktowany. Miałem ochotę napluć mu w twarz.

- Nie zrobiłeś jednak tego?

- Nie. Chyba nie do końca postradałem umiejętność oceniania sytuacji. Gdzieś tam jeszcze została we mnie odrobina sprawiedliwości. Po prostu odszedłem i zapomniałem o jego istnieniu. Jeszcze potem kilka razy stanęliśmy twarzą w twarz na ulicy, ale żaden nawet nie udawał, że się kiedykolwiek znaliśmy. Dwóch obcych ludzi.

- Strasznie głupie.

- Ale prawdziwe. Co tylko pokazuje, jakim stałem się człowiekiem. Synu, proszę cię, nigdy nie czyn w taki sposób. Będzie ci źle w życiu. Tak jak mnie.

- Czy myślisz, że mogę się taki stać?

- Cóż, jest w tobie pogarda dla ludzi. Napatrzyłeś się na mnie i pewne negatywne cechy już się u ciebie załęgły. To przerażające.

- Nigdy mi tego nie mówiłeś.

- Ależ mówiłem.

- Nieprawda.

- No widzisz. Znowu próbujesz przeforsować swoje zdanie, chociaż jest absolutnie niezgodne z prawdą. To stawało się twoim zwyczajem. Dodam tylko, że okropnie irytującym.

- Przepraszam - mówi ostro - nie pamiętam jednak, żebyś mi coś takiego mówił.

- Przypomnę ci.

- Nie mogę się doczekać.

Ten jego cholerny sarkastyczny ton. Niech mi nie wmawia, że nie przejmuje ode mnie najgorszych cech i zachowań. Gówniarz jeden.

- Proszę bardzo. Kilka dni przed moją samobójczą śmiercią wracaliśmy samochodem z bilarda.

Widzimy teraz jadący samochód. Nasz samochód. Siedzimy na tylnych siedzeniach. Szyby są zaparowane, na zewnątrz siępi deszcz.

Z przodu też my, ci, których obserwujemy, ci żyjący naprawdę. Ja prowadzę, syn siedzi na siedzeniu pasażera i nastawia temperaturę na dwadzieścia dwa stopnie. Za oknami dziesięć stopni.

Ci przed nami milczą. Kierowca przyciska pedał gazu, aż słychać zdenerwowanie silnika. Chłopiec obok niego patrzy w skupieniu prosto przed siebie, jakby to on prowadził.

- Ciągle tak to wyglądało - mówię - milczeliśmy, chociaż przecież mogliśmy coś sobie opowiadać.

- Wiem, ale nie o tym miało być. Miałeś podać przykład na to, że gardziłem ludźmi, że powoli stawałem się taki jak ty.

- No to przypatrz się im i posłuchaj co mówią, wsłuchaj się w swoje własne słowa.

- Dobra.

Samochód mknie przez pustawą ulicę i dojeżdża do stacji benzynowej. Siedzący za kierownicą ja, zwalniam nieco, jestem dobrym kierowcą, szybko reaguję, podejmuję trafne decyzje, widząc szykujący się do wyjazdu z terenu stacji paliw samochód. To duży samochód, z napędem na cztery koła. Trudno przewidzieć, co ma zamiar zrobić kierowca tego dużego samochodu, nie daje żadnych znaków. Jedyne co wiadomo na pewno to to, że chce wyjechać ze stacji. Tylko trudno wyczuć w którą stronę zamierza pojechać. Mogę być dobrym kierowcą, ale nie jestem jasnowidzem. W razie czego zwalniam jeszcze bardziej. Teraz już widać kierowcę kolosa. To kobieta, niezbyt stara, ale już nie nastolatka. Wygląda na przerażoną, najwyraźniej manewr, który ma przeprowadzić jest dla niej koszmarem. Jej jazda samochodem powinna się ograniczać tylko do poruszaniu się po prostych odcinkach dróg, wyjeżdżanie ze stacji benzynowej jest tylko przykrym incydentem - robi to szybko i będzie po sprawie, może nawet zamknie oczy, żeby tego nie widzieć. Wszystko to wyczytuję z tej nieruchomej twarzy. Mocniej naciskam hamulec. I nagle terenowiec wyjeżdża ze stacji, skręcając w swoją prawą stronę. Bez

kierunkowskazów, niezbyt szybko, przejeżdża mi przed samym nosem. Tylko własnemu refleksowi zawdzięczam fakt, że mój samochód stanął w miejscu. Czuć zapach palonej gumy. Mój syn tylko zapiętym pasem bezpieczeństwa zawdzięcza utrzymanie miejsca. Ja zresztą także, chociaż głowa o mało nie spadła mi z karku. Terenowiec stanął również. Kobieta za kierownicą kiwa głową, obraca ją z lewa na prawo, podobna jednemu z tych psów siedzących zwykle przy tylnej szybie samochodów. Ruch jej głowy, całe jej zachowanie sugeruje, że to ja jestem temu wszystkiemu winien. Suka jedna. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Czy pamiętasz to wszystko synu?

- Pamiętam. Widzę nawet, tak samo jak i ty.

- Czy pamiętasz również co wtedy powiedziałeś?

Zanim pada jego odpowiedź, odzywa się mój syn siedzący przed nami, na siedzeniu pasażera.

- Co ta kurwa zrobiła? Ja pierdolę, widziałeś to?

Ja siedzący za kierownicą klnę jeszcze mocniej, jeszcze barwniej. Wiedzę, że trzęsą mi się ręce.

Ja siedzący na tylnym siedzeniu tylko kiwam głową i uśmiecham się widząc to wszystko. Patrzę na syna, tego siedzącego ze mną z tyłu. Minę ma zadowoloną.

- No, to właśnie powiedziałem - potwierdza słowa siebie siedzącego z przodu.

Scena z sytuacją spod stacji benzynowej znika równie nagle, jak się pojawiła. Znów siedzimy gdzieś wysoko

Nic nie mówię, dając mu szansę, żeby sam wpadł na to, co chciałem mu przez przypomnienie tej sytuacji udowodnić. Powinien się domyślić, liczę na to. Przecież nie jest tępakiem. Patrzę na jego profil. Znów ma zaciętą minę.

- O co więc chodzi? - pyta.

- Pomyśl. Przypomnij sobie, co miałem ci udowodnić.

Nie chcę podpowiadać, niech ma szansę, niech poczuje się równo uprawnioną stroną rozmowy. Wiem, że prowadzenie go za rączkę, ciągłe podpowiadanie,

ciągnięcie za język zawsze doprowadzało go do szału. Zupełnie jak mnie samego.

- Chyba wiem do czego zmierzasz - mówi w końcu. - Chodzi ci o to, że zachowałem się zupełnie jak dorosły mężczyzna, że zacząłem kłąć, nazwałem tę kobietę kurwą. Wydałem na nią wyrok, zupełnie nie biorąc pod uwagę wszystkich okoliczności. Przecież ona mogła nas nie widzieć, mogła zasłabnąć, mogła wreszcie po prostu podjąć złą decyzję zupełnie nieświadomie. Czy o to chodzi?

- Mniej więcej.

- Ale przecież... - milknie.

Wiem dlaczego się zawiesił. Dam mu jeszcze trochę czasu. Niech się spokojnie zastanowi. A potem przyzna mi rację. Taką mam nadzieję.

- Tak - zaczyna po dłuższej chwili - tak, masz rację. Byłem... jestem taki jak ty. Jestem złym, młodym człowiekiem. Za nic mam ludzi, nie zastanawiam się nad powodami ich postępowania. Wypowiadam swoje zdanie o nich bez dania racji, bez zastanowienia, skreślam ich, zanim w ogóle dam im szansę na ukazanie siebie. Może nie są tacy, za jakich ich uważam? I jeszcze jedno, jeszcze jedna prawda, którą mi udowodniłeś - mam to wszystko po tobie. Boże, teraz dopiero to widzę. Ależ byłem ślepy.

- Każdy zachowałby się tak samo - próbuję rozmazać jego pewność siebie.

Robię to w pewnym celu. Chcę otóż sprawdzić czy przyjmie fałszywą pomoc, czy będzie chciał znaleźć usprawiedliwienie swego zachowania w łatwym kąsku pójścia na skróty, bez przeprowadzenia głębszej refleksji.

- Myślisz?

Słysząc niepewność. W swojej naiwności lezie prosto w bagno mojej podpuchy.

- A ty?

Jest teraz ostrożny. Nie pcha się, zastanawia. Imponuje mi to. Ja sam już bym zaprzeczał, już bym szarpał zębami ten kawałek pomocnej dłoni. Już bym sobie znalazł sto albo

więcej dodatkowych słów usprawiedliwienia. Chyba jednak nie jest jeszcze aż tak zły, jak ja byłem. Jeszcze jest szansa na zawrócenie go ze złej drogi. Moja żona będzie miała z tym nie lada problem, nie raz i nie dwa zapłacze nad sobą, nad nim, nad nie istniejącym już mną. Ale prawdopodobnie da radę, jest twarda i widzi rzeczy takimi, jakimi są. Potrafi trzeźwo patrzeć na syna, potrafi z nim rozmawiać, wie kiedy trzeba go utemperować, kiedy pochwalić, kiedy znowu dać wolną rękę. Ja tego wszystkiego nie potrafiłem. Dlatego między innymi musiałem zniknąć z ich życia.

Obserwuję z dumą, jak zawraca z bagnistej pułapki. Czytam to w jego oczach i poważnej minie

- Ja tak nie myślę - mówi wreszcie. - Źle zareagowałem...

Zwycięstwo! Mój syn nie jest jeszcze skończony. Będzie lepszym niż ja człowiekiem.

- ... Zapamiętam to sobie - kończy.

No i dobrze. Niech zapamięta i niech nie powtarza zachowań swojego złego ojca.

Zastanawiam się teraz, co stanie się dalej. Mój syn dowiedział się już o mnie bardzo wielu rzeczy, już może sobie z tych wszystkich otrzymanych kawałków stworzyć jakiś obraz. Próbuję sobie przypomnieć o czym pisałem w liście pożegnalnym, ale nie idzie to dobrze. To tak, jakby moja pamięć przestała istnieć. Może to on tak wszystko zaplanował? Może nie chce żebym miał inicjatywę, tylko wspominał życie zgodnie w tym, co on zechce mi pokazać na tym wstecznym obrazie, który sobie wspólnie oglądamy. To jest możliwe. Bo jak inaczej mam sobie tłumaczyć niemożność przypomnienia sobie czegokolwiek.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć, synu? - pytam w końcu.

- Jest tego bardzo dużo.

- Na przykład?

- Bardzo bym chciał usłyszeć o twoich relacjach z mamą, zwłaszcza chodzi mi o ostatnie tygodnie twojego życia. Chciałbym się przekonać, czy ona mogła powziąć jakieś podejrzenia co do zbliżających się wydarzeń.

Boję się tego. Boję bardzo. Jest gdzieś tam na dnie mego jestestwa strach przed nazywaniem tego, czym stał się dla mnie związek z kobietą poznaną przed piętnastu laty.

Nie czuję się ekspertem w tym temacie, mało tego, toczy mnie bezradność.

Może dlatego, że jest to jedyna kobieta z którą spędziłem dużo czasu. Nie była może moją pierwszą miłością, ale pierwszą odwzajemnioną, a ponad to była przede wszystkim miłością ostatnią, i na dodatek jedynym partnerem seksualnym. Związane przez ostatnie lata więzy może poluźniły się, ale wciąż tam były. To dlatego czuję się niepewnie, kiedy jestem zmuszany do mówienia na jej temat, szczególnie jeżeli mam się wywnętrzać przed własnym synem, który przecież bardzo dużo widział, może nawet zaczynał rozumieć, że dzieje się inaczej, niż sobie założyliśmy. Przynajmniej ja sobie inaczej wszystko wyobrażałem. Taka prawda. To, co się z nami z czasem stało nijak ma się do moich niegdysiejszych wyobrażeń. I tylko mam nadzieję, że jej wyobrażeń także. Niestety nie potrafiliśmy na ten temat poważnie porozmawiać, żadne z nas nie umiało, nie chciało wziąć na siebie odpowiedzialności. Zostawiłem więc wszystko tak, jak było, nie widząc nadziei na poprawę.

Synu, mam ochotę powiedzieć, daj temu na razie spokój, poczekaj, daj się jakoś przygotować. Myślę, ale nic nie mówię.

Wątpię, żeby to coś pomogło.

Nie po to mnie tu ściągnął. Chce się do wiedzieć i ja mu to powiem.

Jest tak trudno, tak trudno.

Póki mówię o toczącej me wewnątrz nienawiści do wszystkiego i do wszystkich, dopóki mogę tłumaczyć synowi, jak bardzo bałem się, żeby nie przejął ode mnie wszystkich tych negatywnych cech, które miał okazję przez kilkanaście lat życia obserwować, dopóki udowadniam mu jak bardzo zrobił się do mnie podobny i jest na najlepszej

drodze do powtórzenia wszystkich moich błędów, dopóty nie czuję zbytniego dyskomfortu. Niewyraźnie robi się właśnie dopiero na myśl o związku z żoną.

Miałem nadzieję, że da spokój. On jednak czeka. Nawet nie zadaje pytań, tylko siedzi i wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem, niczym szykujący się do skoku kot.

Od czego tu zacząć?

Mając nadzieję, że znajdę jakąś podpowiedź w scenach z naszego życia rodzinnego, spoglądam w dół. On to widzi, wiem, bo wodzi wzrokiem za moim wzrokiem.

Nic tam na dole się nie dzieje.

Moja żona śpi, a ja palę w toalecie. Niezbyt wiele tu podpowiedzi. Zaglądamy do pokoju syna, ten także już śpi, ale światło w jego pokoju ciągle jest zapalone. Zdarzało się to co wieczór. Nie lubił zasypiać w ciemnościach. Jednak nie podzielił mojego zwyczaju zasypiania ze słuchawkami na uszach. A szkoda, tak wiele mógłby się w czasie tych nocnych przesłuchań nauczyć. Z drugiej jednak strony, czy ja coś z nich wyniosłem, czy pozyskana na śpiąco wiedza, bo słuchałem tylko programów edukacyjnych, informacyjnych, słuchowisk oraz całą masę książek w wersji audio, czy do czegoś się to przydało? Uwielbiałem także radiowy teatr. Zostałem nawet kolekcjonerem książek w wersji audio. Pozostawiłem ich pod łóżkiem, razem z pożegnalnym listem i innymi osobistymi drobiazgami, przeszło siedemset.

Czy potrafiłem na podstawie zasłyszanych informacji zbudować wokół siebie pozytywną aurę? Może, nie wiem. Kiedy mózg śpi, dopływ informacji jest ograniczony, każde słowo rozbija się o mur nieświadomości, zostając od niego odbite i potem wałęsa się jak bezpański pies, z którego nie ma pożytku. Z drugiej jednak strony, istnieje przecież szansa, że jest całkiem inaczej. Ludzki mózg nigdy nie zasypia całkiem, jest podobny wielkiemu miastu, gdzie życie toczy się nie bacząc na zmęczenie. Odpoczynek kilku jego elementów, nie jest tożsame z całkowitym letargiem.

Tam nie ma granicy między dniem a nocą. Chciałbym, żeby tak samo było z moim mózgiem, bo świadomość straty tak wielkiej ilości nauki nastraja mnie depresyjnie.

Ja, ten w toalecie, w końcu wrzucam pęta do kibla, spuszcza wodę i biorę się za szczotkowanie zębów.

Scena ta rozgrywała się niemal każdego wieczoru. Tylko kilka razy do roku wyglądało to inaczej. Tryb życia naszej rodziny nie był zbyt urozmaicony. Ja osobiście nie miałem nic przeciwko temu, lubiłem już o dwudziestej drugiej założyć słuchawki na uszy i położyć się do łóżka. Te kilka razy, kiedy to wieczory wyglądały inaczej, bo gdzieś tam pojechaliśmy, albo ktoś nas odwiedził, o tak i takie przypadki się zdarzały, no więc te kilka razy w roku wystarczyły mi w zupełności. Prawda jest taka, że ani żona ani syn specjalnie nie protestowali przeciw takiemu trybowi życia. Zresztą, każdy miał wolną rękę, mógł robić co tam sobie chciał. Nic na siłę.

Ja, ten z kibla, kończę wieczorne oporządkanie się i gaszę światło w pokoju syna.

Widzę, że samo myślenie o tym mu wystarczy, wiem, że moje myśli układają się w jego głowie jako regularna spowiedź. Po prostu wiem to.

Przychodzi mi jednak ochota na sprawdzenie tego poprzez zadanie mu pytania, które będzie dotyczyło ostatnich moich myśli. Zaczynam się zastanawiać, a tu nagle...

- Nie wiesz o co mnie zapytać, prawda?

Jestem zły na siebie. Już do tej pory powinienem wiedzieć, że on słucha moich myśli nie gorzej, niż gdybym wypowiadał słowa. Wiedziałem o tym zanim zacząłem się nad pytaniem zastanawiać, więc po co, u diabła, bawię się w te durnowate sprawdzania.

Znam powód. I on go zna. Jakoś nie potrafię zebrać się do mówienia czy myślenia na temat moich stosunków z żoną. Syn jest taktowny, nie ponagla mnie zbyt, lecz to nic nie zmienia, wiem o tym, prędzej czy później zacznie mu się

śpieszyć. Czy to raczej mnie zacznie się śpieszyć. Już mi się śpieszy. Pragnę zniknąć, przestać być jego nauczycielem, bo nie nadaję się do tego. Przecież przez ostatnie kilkanaście lat wielokrotnie mogłem się tym przekonać.

Kątem oka widzę, że kiwa głową.

A więc potwierdza moje zdanie. To już jakiś sukces. Na pewno nie pochwała sposobu, w jaki go od siebie uwolniłem, ale przynajmniej potwierdza ogólne założenie.

- No, gasisz u mnie światło, idziesz do sypialni i co? - ponagla niecierpliwym sykiem.

Jednak nie jestem taki mądry, jak sobie przed chwilą myślałem. On potrafi zachować się nieprzewidywanie, powinienem o tym fakcie pamiętać.

- Zakładam na uszy słuchawki, gaszę światło, układam się wygodnie i zamykam oczy.

- A mama?

Wskazuję palcem na scenę na dole. Mimo panującej w naszej małżeńskiej sypialni ciemności widok jest doskonały. Moja żona leży na jednym boku, ja na drugim, między naszymi ciałami jest metrowa przerwa, co oznacza, że każde z nas znajduje się na krawędzi łóżka, jakbyśmy bali się dotknąć. Z pomiędzy poł koszuli nocnej żony wypelza jej lewa pierś.

- Przecież widzisz, że śpi - mówię, zupełnie niepotrzebnie przecież, biorąc pod uwagę, jakimi obdarzony jest umiejętnością podczas tej naszej wycieczki w przeszłość.

- Spokojnie, spokojnie - unosi w górę rękę - leży, to na pewno. Ale czy rzeczywiście śpi?

Na to pytanie nie mam odpowiedzi. Przynajmniej natychmiastowej.

- Sprawdziłeś kiedyś?

Teraz już muszę przez to przebrnąć. Obaj musimy.

- Raczej nie sprawdzałem. Uznawałem, że śpi. Oczy zamknięte, oddech równy. Samo to wystarczało.

- A może czekała na ciebie, może pragnęła, żebyś ją o coś zapytał? To chyba byłoby normalnym zachowaniem?

Jakiś ty mądry, myślę sobie. Jak na trzynastolatka wydajesz się za dużo wiedzieć o wspólnym życiu mężczyzny i kobiety.

- Mężczyzny i kobiety, którzy świadomie wybrali wspólne życie, dzielenie radości i trosk - mówi oskarżycielskim tonem.

Może i ma rację, ale przecież nie może siedzieć tu tak sobie i się mądrzyć. Trzeba coś samemu przeżyć, żeby móc się w taki sposób wymądrzać. Trzeba osiąść pewien stopień wtajemniczenia. Tylko głupcy zabierają głos podczas rozmowy na tematy, o których nie mają pojęcia, albo tylko im się wydaje, że mają. Chciałbym wierzyć, że mój syn nie jest głupcem.

- Uważaj, co mówisz - fukam na niego.

Reaguje nagłym wydęciem warg i prychnięciem. Stawia się. Tak samo stawiał się za mego życia, jeżeli ktoś wytknął mu błąd, albo kazał zabrać się za odrabianie lekcji. Potrafił doprowadzić nas do szału tą swoją postawą wiecznie stawiającego się wojownika.

- Przepraszam.

To było zupełnie nieoczekiwane. Rzadko mu się zdarzało przeproszać, zwykle wolał zamilknąć na jakiś czas, pozwolić, żeby jego istnienie zostało na chwilę zapomniane.

Przecież to brzmi zupełnie tak, jakbym mówił o sobie samym. Zdumiewające, jak blisko upadło jabłko od jabłoni.

- Nie sprawdzałem czy ona śpi, bo... no, nie mam na to odpowiedzi.

- Może dlatego, że wolałeś zająć się swoimi słuchowiskami? - podpowiada, czyniąc to już zupełnie odmiennym, spokojnym tonem.

Chyba zrozumiał, iż poprzednia droga, naskakiwanie na mnie i ciągle oskarżanie, nie doprowadzą do tego, czego po mnie oczekuje. Ściągnął mnie tu w konkretnym celu i tylko od jego zachowania zależy, jak wiele się dowie, w jakim stopniu otworzę się i wytłumaczę swoją decyzję o popełnieniu samobójstwa.

- Musisz wiedzieć, że wspólne życie dwojga ludzi to nie jest robienie niczego na siłę. Z upływem czasu każde z nas potrzebowało coraz więcej miejsca dla siebie. Tak jest w każdym związku, jeszcze się o tym przekonasz na własnej skórze.

- Wygląda na to, że ty i mama potrzebowaliście bardzo dużo miejsca, co? Nawet cały kosmos wydaje mi się teraz zbyt ciasny.

Pięknie, to też po mnie. Riposta godna tatusia.

- Nie było aż tak źle. Przeważnie wystarczyła szerokość łóżka.

- Ale czasem chyba rozmawialiście w łóżku?

- A pewnie, pewnie, ale coraz rzadziej. I coraz rzadziej robiliśmy w łóżku inne rzeczy.

Tu go mam. Widzę jak jego twarz nabiera ceglanej barwy, wzrokiem uciekł w drugą stronę.

Dlaczego tak reagujesz, myślę sobie, przecież uświadomiliśmy cię w tych sprawach. Nie ma sensu ukrywać przed człowiekiem w tym wieku tak oczywistych spraw, jak seks i pilnowanie się przed skutkami ubocznymi tej przepysznej zabawy.

- Skutek uboczny to ja, tak?

Wiem, że go to boli. Jakiś czas temu zapytał nas, czy jest wynikiem wpadki. Odpowiedzieliśmy mu zgodnie z prawdą, że jego pojawienie na się na tym świecie trudno uznać za dokładnie zaplanowane przedsięwzięcie. Ależ zrobił wtedy minę.

- Pamiętasz? - pytam na głos.

Kiwa głową.

- No, to nie jest zbyt miłe, kiedy dowiadujesz się, że jesteś niechciany.

- Dlaczego to powtarzasz? Czy nie została ci już wytłumaczona różnica między dzieckiem niechcianym a niezaplanowanym?

- Została.

- No więc przejdź nad tym do porządku dziennego, bo tylko wpadniesz w jeszcze większą paranoję.

- W jeszcze większą - syczy - to znaczy, że teraz mam paranoję lekką, małą?

Znów mnie chwyta za słówka. Jest taki dosłowny, że można dostać szału. Mam ochotę zostawić już ten temat i wrócić do naszej małżeńskiej sypialni. Zaglądam tam. Bez zmian. Żona śpi, a ja słucham. Zaglądam do sypialni syna. Rozkopał kołdrę, jakby ćwiczył po nocach rowerki. Śpi jednak twardo.

- Widzę, że temat twojego współżycia z mamą, jak na razie został odłożony na bok - przerywa mi wycieczkę po sypialniach.

- Słuchaj, synu. Odpowiadam ci na wszystkie pytania najlepiej jak umiem. Czego ty tak naprawdę oczekujesz? Wiesz, że inaczej nie potrafię. Nie wymagaj ode mnie, że będę gadał jak najęty, bo to nie jest w moim zwyczaju. To, jak dalej potoczy się nasza podróż wstecz, w dużej mierze zależy od ciebie. Pamiętaj, kto jest tutaj pomysłodawcą, a kto tylko zaproszonym gościem. W szufladzie twojego biurka schowałem list, jest w nim cała moja historia, z niego mogłeś wszystkiego się dowiedzieć.

Zastanawia się. Trwa to dosyć długo. Nie chcąc mu przeszkadzać, staram się o niczym nie myśleć. W moim przypadku jest to trudne. Za życia nie potrafiłem się ot tak po prostu wyłączyć. To z tego powodu, tak przynajmniej podejrzewam, byłem w stanie ciągłego napięcia. Nie było to miłe. Ileż razy marzyłem o choćby kilku minutach zupełnego odprężenia, o odłączeniu się od mózgu i o poczuciu jakiejś lekkości, wyzbyciu się tej ciągłej walki o znalezienie porządnego bodźca do pożytecznej działalności. Wszystko to miałem nadzieję znaleźć po skoku z gałęzi, oprócz tego bodźca do pożytecznej działalności, ale jak widać nie do końca mi się to udało. Pozostaje przebrnąć przez tę synowską fanaberię i może wtedy nareszcie dostanę to, do czego mnie tak od lat ciągnie.

Syn wciąż się zastanawia. Niestety nie posiadam takiej zdolności jak on, nie potrafię słyszeć jego myśli. Gdyby się inaczej postarał, może i ja dostałbym tę umiejętność, a wtedy dialog przebiegałby dużo sprawniej.

- To już nie ode mnie zależało - słyszę.

O, znowu. To musi być dosyć zabawne. Siedzieć jak król i odpowiadać na myśli drugiego człowieka.

- A od kogo? - pytam się go.

- Całkiem możliwe, że od ciebie samego.

- To nie jest możliwe, synu. Ja nie wierzę w bzdury typu - jeżeli czegoś bardzo chcesz, to na pewno to dostaniesz.

- Przecież sam nieraz mi to mówiłeś, pamiętasz?

- A czy ty pamiętasz, co dodawałem zaraz potem?

- Ten kawałek o ciężkiej pracy?

- No właśnie. Dobrze, że o tym pamiętasz. Samą ochotą na sukces to sobie można tylko zaszkodzić. Trzeba przede wszystkim ruszyć dupę. To jest podstawa. Ochota na szczęście i samo szczęście to rzeczy bardzo różne, jak dzień i noc. Może jednemu człowiekowi na milion udaje się osiągnąć cel tylko za pomocą marzeń i bardzo chcenia, ale to jeden na milion. Reszta nas musi zacząć działać. I to ci zawsze powtarzałem.

Czuję zmęczenie. Wyjaśnianie takich spraw nie jest łatwe, szczególnie jeżeli tych wyjaśnień adresat i tak ma na ten temat własne zdanie.

Syn chyba mnie rozumie, bo nie nalega na kontynuowanie tematu. Zamiast tego proponuje:

- Zostawmy to na razie. Jeżeli ci nie robi różnicy, wróćmy do ciebie samego. Strasznie mi się podobało jak mówiłeś o rzeczach, które cię denerwowały. To interesujące.

Może dla niego i jest to interesujące. Dla mnie nie było.

- Powiedz, co jeszcze cię drażniło?

Co jeszcze? He, wszystko.

- W zależności od pory dnia mogło mnie drażnić dosłownie wszystko. Mógłbym ci wymienić setki

przykładów, większości z nich pewnie nie dałbyś wiary, nawet ja sam zaczynałem się temu dziwić.

- Więc podaj choćby kilka z nich.

- Siłą rzeczy ty i mama byliście najczęściej pierwszymi powodami mego rozdrażnienia, jak się możesz domyślić głównie z tego powodu, że stawaliście na mojej drodze zaraz po przebudzeniu. Drażniły mnie wasze głosy, zbyt głośne kroki, pierdzenie. Potem szlag mnie trafiał na widok nierówno poukładanych szczoteczek do zębów, lubiłem jak opierały się o krawędź kubeczka w odpowiedni sposób. Wkurwiałem się podczas wyciskania pasty do zębów. I ty i matka cisnęliście już w połowie tubki, podczas gdy nawet skończony kretyn wie, że należy cisnąć od samego końca. Wiele razy zwracałem wam na to uwagę, ale wy byliście głusi na moje błagania. Uważaliście, że się czepiam. Ty tylko wzruszałeś ramionami, a matka rzucała mi to swoje twarde spojrzenie, albo zaczynała jedna z tych swoich denerwujących przemów. A ja szalałem wewnątrz.

- Ty naprawdę czepiałeś się byle czego.

- Ależ ja to wiem. Jednak nie potrafiłem inaczej. Myślisz, że lubiłem to? Jeżeli tak, to się bardzo mylisz. Świadomość przeżywania czegoś takiego dzień po dniu, każdego poranka od nowa, również doprowadzało mnie do szału. To było takie zamknięte koło. Błędne koło. Pod sam koniec nie chciałem już nawet wstawać z łóżka, paraliżował mnie strach. Byłem w takim stanie, że nie potrafiłem powiedzieć do nikogo dobrego słowa. Pamiętasz to? Odszczekiwałem tylko i uciekałem do drugiego pomieszczenia.

W tym czasie już się poddałem. Walka nie miała sensu. Dziwi mnie tylko, że wy tego nie zauważyliście. Zauważyliście?

- Ja tylko wiedziałem, że kłócisz się z mamą. Nie rozmawialiście ze sobą.

- Dobrze mówisz. Nie rozmawiałem z nią. Ale tak naprawdę to my się nie kłóciliśmy. Nie dochodziło do karczemnych awantur, nie latały po mieszkaniu talerze, nikt

na nikogo nie podniósł ręki. U nas wyglądało to inaczej. Jeżeli ciśnienie podniosło się za bardzo, jeżeli któreś z nas poczuło, że drugie zaczyna za bardzo dokazywać, że próbuje zbyt energicznie narzucać swoją wolę, wtedy po prostu przestawało się odzywać. To było łatwiejsze niż prowadzenie otwartej wojny. Walka nie miałaby sensu.

- Dlaczego?

- Chyba każde z nas zdawało sobie sprawę z tego, że w zasadzie nie ma już o co walczyć. Takie życie w milczeniu przynajmniej nikogo nie raniło.

- Nikogo, oprócz mnie - przerywa mój słuchacz.

- To prawda, ty byłeś najbardziej poszkodowany. Ale żadne z nas nie miało odwagi tego przyznać, nazwać tego głośno.

- Powiem ci coś tato.

- No.

- Ja nawet zaczynałem lubić te dni milczenia. Byliście wtedy tak bardzo skupieni na nie odzywaniu się do siebie, że stawaliście się przesadnie dobrzy dla mnie. To była fałszywa dobroć, na pokaz, wiedziałem o tym, ale lepsza taka dobroć niż żadna. Tak sobie myślałem i nie zamierzałem z niej nie korzystać.

- Potrafię sobie coś takiego wyobrazić.

Może nie powinien nic takiego mówić, jednak tak właśnie myślę, a założenie jest takie, że mam mówić prawdę i tylko prawdę. Więc mówię.

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co usłyszałeś. Potrafię sobie wyobrazić, jak bez mrugnięcia okiem wykorzystujesz sytuację. Jak dla własnych korzyści specjalnie jeszcze komplikujesz i tak już skomplikowaną sytuację.

Chyba przesadziłem. Cholera, czasem gadam co mi ślina na język przyniesie. Zbyt długo milczałem, to dlatego tyle teraz gadam. Zawsze przecież wolałem być słuchaczem, więc jak już zacznę mówić, to specjalnie się nad tym nie zastanawiam, co nawet mnie samemu wydaje się dziwne.

Patrzę na syna. Chyba go ruszyło, bo ścisnął usta w wąską kreskę i zacisnął pięści. Jego powieki mrugają nerwowo.

- Chyba przesadzasz - mówi twardo.

- Czyżby? Ja jednak uważam, że twoje zachowanie świadczyło o zepsuciu charakteru.

- Co masz, u diabła, na myśli?

Teraz wpadłem. Trzeba mu to jakoś sensownie wytłumaczyć.

- No... Wyciąganie osobistych korzyści z nieszczęścia innych ludzi nie należy do cech pozytywnych, wręcz przeciwnie, świadczy o zepsuciu moralnym. Zasada gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta, na pewno o tym słyszałeś.

Chyba go nie przekonałem, bo tylko kiwa głową. Na jego ustach tańczy lekki uśmiezek.

- Bzdura - parska po chwili.

- Jak to?

- Patrzysz na to z niewłaściwej strony, patrzysz na to jako mój ojciec, jak ktoś, kto chce być wzorem. Ale wystarczy, żebyś odrzucił tę edukacyjną otoczkę, od razu zauważyłbyś inną stronę mego zachowania. Zachowania trzeźwego i ukazującego myślenie dalekowzroczne. Jestem młody a już potrafię potrafię zyskać coś tam, gdzie dzieje się coś złego. Tak jak na przykład dziennikarz. Chyba powinieneś być ze mnie dumny.

- Nigdy nie pochwalałem sposobu pracy dziennikarzy, czy raczej większości z nich. Nie lubię pasożytów. I jest jeszcze coś.

- Tak?

- Nie pomyślałeś o nas? O mnie i mamie? Przecież byliśmy najbliższymi ci ludźmi. Nie powinieneś nas wykorzystywać. Z twoich słów wynika, że specjalnie podsycaliś i tak już gorącą domową atmosferę.

- A wy? Czy wy podczas tych milczących dni pomyśleliście o mnie?

Piękna riposta. Godna najlepszego gracza. I nawet nie ma na to pytanie odpowiedzi. Nie może być. A przynajmniej ja nie potrafię nic wymyślić. Bez wątpienia myśleliśmy o nim, lecz w swej złości nie umieliśmy zadbać, żeby to poczuł. Byliśmy zbyt zaślepieni.

- Nic nie mówisz.

- Znasz moje myśli.

- Znam. I cieszę się, że przyznajesz mi rację.

Przegrałem te rundę. A niech tam. Wcale się tego nie wstydzę. Jeżeli tylko mój syn stanie się przez to lepszym człowiekiem, gotów jestem wywnętrzyć się przed nim po krańce duszy. Mogę przegrywać z nim wszystkie pojedynki. Jestem mu to winien.

Znów kiwa głową. Chyba docenia to, o czym teraz myślę.

- Mów dalej, tato. Powiedz, co jeszcze doprowadzało cię do szału?

- Nieraz wystarczyło wypowiedziane przez twoja mamę słowo. Najbardziej banalne nawet słowo, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nawet jeżeli było wypowiedziane bez podtekstu, to ja i tak się na nie rzucałem, wyobrażając sobie, że nie ma oznaczać ono tego, co oznacza. Teraz myślę, że może nawet nie chodziło o samo słowo. Byliśmy tak na siebie cieci, że wystarczył nieodpowiedni ton i zaraz robiło się gorąco. Sam ton głosu wystarczył, żebyśmy zmierzyli się zimnym wzrokiem, jak stojący naprzeciw siebie w ringu bokserzy. Już jedno z nas stawało się ostrożniejsze, zaciskało wargi, gotowe do rozpoczęcia tygodni milczenia.

- Pamiętasz jakieś przykłady?

- Przykłady synu? Jest ich tysiące. Nie ma sensu żadnego przypominać. Powiedzmy tak, cokolwiek sobie w tej sprawie wymyślisz, na pewno będzie prawdą.

- Czyli co? Można powiedzieć, że chodziliście wokół siebie niczym gotowe do skoku lwy, w ciągłej gotowości bojowej, zawsze obserwując przeciwnika?

- Tak było. Prócz tego może, że nie byliśmy dla siebie przeciwnikami.

- Jak to?

Mam ochotę odpowiedzieć, że normalnie, ale nie robię tego.

Potrzeba tu chwili zastanowienia. Bo czy rzeczywiście powiedziałem mu prawdę? Nie byliśmy dla siebie przeciwnikami? Kim więc byliśmy? Czy wrogami? Słowo wróg niesie ze sobą mocniejsze uczucia, jest ono jakieś takie wulgarne, pachnące rękoczynami, łzami i krwią. W naszym związku nie było krwi, łez tylko trochę, na samym początku. Nie, wrogami nie byliśmy.

Co oznacza dla mnie słowo przeciwnik?

Wydaje mi się, choć mogę się mylić, że przeciwnicy to ludzie, którzy mimo wszystko dążą do tego samego celu. Nie zawsze czysto, często podkładając sobie nogi, bocząc się na siebie, lecz cel mają podobny. Tylko inaczej widzą drogę do jego osiągnięcia. Zresztą przeciwnik może być co najwyżej nieprzejednany, ale raczej nie śmiertelny. I to stanowi najważniejszą różnicę.

- Tak, synu. Ja i twoja mama zachowywaliśmy się niczym przeciwnicy. Teraz można to sobie jasno powiedzieć.

Nic nie mówi.

Wiem, że i ja nie muszę mówić. Jemu wystarczy, jeżeli będę wspominał. On już sobie z tego weźmie co tam uzna za potrzebne na jego własny użytek. Chyba dobrze mi to wspomnianie idzie, bo na dobrą sprawę prawie nie potrzebuję patrzeć tam na dół, na całą naszą rodzinę. Ostatnim razem jak na nich patrzyłem, zapadał noc i każde na swój sposób w tę noc wchodziło. Minęło od tamtej chwili sporo czasu, ale mi się zdaje, że około sekundy.

Jak na razie nie potrzebuję podpowiedzi, więc pozwolę im spać. Poza tym wygląda na to, że mój syn, ten który siedzi obok mnie, daje mi coraz większą swobodę, jeżeli chodzi o prowadzenie całej zabawy. Nie wtrąca się, kiedy nie trzeba, nie krytykuje za wiele, czeka z komentarzami na

odpowiedni moment. Zachowuje się niczym wytrawny dyplomata, wprawiając mnie w prawdziwą dumę.

- Dzięki, tato. A wracając do tematu. Czy ty i mama mieliście wspólny cel?

No i co, czyż nie jest to celne pytanie?

Dobra robota, synu.

Wspólne cele.

Pamiętam jeden, największy. I najtrudniejszy do osiągnięcia - własny dom. Zawsze się mówiło: - Jak już będziemy mieli swój dom. Nawet i ty zaczęłaś tak mówić. Zaczynam w myślach mówić do syna, chyba za bardzo zapamiętałem się w tych zwierzeniach. Ale i powód jest szczególny. Własny dom. Choćby jego namiastka. Ile byśmy dali, żeby w końcu móc powiedzieć - Oto jest. Nasz własny dom.

Niestety, żadne z nas nie miało pojęcia w jaki sposób ów cel osiągnąć. Byliśmy na to za mali. Najprościej byłoby zaciągnąć kredyt, jednak taki pomysł się nam nie podobał. Trzymaliśmy się z dala od wszelkich kredytów, nie kupowaliśmy też na raty. Inna sprawa, że i tak nie łatwo było taki kredyt uzyskać przy naszym sposobie życia, przy wykonywaniu pracy na zasadzie nam wygodnej. Raz nawet byłem się o coś takiego pytać, lecz wypachniony, odczesany na żel facecik, kiedy tylko usłyszał, że nie mamy stałej pracy, że nie stać nas na dwudziestoprocentowy wkład własny, zaraz począł robić wszystko, żeby nasze spotkanie dobiegło końca. I ja nie miałem zamiaru go przeciągać. Poczuję się przy nim jak jakiś natręt, który ma zamiar go ograbić. To spotkanie wybiło mi z głowy nie mądre pomysły. Potrzeba było cudu, żeby kiedykolwiek zdobyć własny dom. Niestety, w naszej rodzinie cuda nigdy się nie zdarzały.

Naraz nachodzi mnie ochota na śmiech. Wiem, nie jest to szczególnie dobry moment, nie ma nic śmiesznego w uświadomieniu sobie własnej niemocy, ale nic na to nie poradzę. Chce mi się śmiać z pewnej myśli, która teraz mnie nachodzi.

- Chyba wiem o co ci chodzi - syn przerywa moje myśli.

- Tak?

- Chce ci się śmiać, bo nawet jak byście z mamą kiedyś zamieszkali w swoim domu, takim naprawdę swoim, to zaraz zaczęlibyście się kłócić o różne detale. Czy nie?

Dobrze mnie mój syn rozumie.

- Jak na prawdziwych przeciwników przystało. Każde z nas miało by inną wizję, jak ten dom ma wyglądać. Jeżeli ja nie chciałem słyszeć o białych ścianach w żadnym z pomieszczeń, to oczywiście moja żona nagle pokochała kolor biały, choćby i całe życie nic na ten temat nie wspomniała. Wiedząc, że gustuję w gołych ceglach, kamieniach i drewnie, wyobrażam sobie jak nagle zaczyna się interesować sposobami mocowania tapet. O złośliwości ludzka!

- Pamiętam rozmowy na ten temat.

- Na pewno, nie brakowało takich czysto hipotetycznych rozważań na temat, co by było gdyby. Głupie, ale prawdziwe. To się nazywa marzeniami.

- Nie jest niczym złym, posiadanie marzeń.

- Ale głupie jest dzielenie skóry na niedźwiedziu. Szczególnie jeżeli prowadzi do... Powiedzmy dwóch tygodni nie odzywania się do siebie.

- Tak, to rzeczywiście głupie.

- Ale przecież i ty planowałeś urządzenie tego nie istniejącego domu.

Cóż, potrafię być sukinsyna nawet dla własnego syna.

- Marzenia, tato. To było nawet zabawne, tak sobie w marzeniach planować różne rzeczy.

- Może, ale nie my powinniśmy wygłaszać na głos swoich planów. Pozostała dwójka zaraz taki plan musiała storpedować, wygłosić swoje zdanie, wykrzyzczeć swoje życzenia. Tak już mieliśmy. Zwyczajny dom wariatów.

- Czyżbyś chciał mi pokazać, jak mój charakter dostosował się do waszego?

- No właśnie.

- Chyba nie winisz mnie za to?

- Byłbym idiotą, gdyby mi to przyszło do głowy. Potrafię sprawiedliwie ocenić sytuację. Nie masz sobie nic do zarzucenia. Mało tego, wszystko co jest w tobie wadliwe, każdy błąd w zachowaniu, kolejne popełnione gafy, te duże i małe, wszystko to jest tylko i wyłącznie wykładnią otrzymanego w domu wychowania.

- A może już taki się urodziłem?

- Jaki?

Nie rozumiem, o co mu chodzi.

- No, wiesz o co mi chodzi.

- Nie wiem, synu.

- Chodzi mi o to, o czym mówimy od jakiegoś czasu. Moje zachowanie, robienie na złość, doprowadzanie was do szału pewnymi gestami, udawanie, że nie słyszałem co się do mnie mówi, bałaganiarstwo. Może się już taki urodziłem?

- Wątpię, żeby to było możliwe. Każdy człowiek rodzi się czysty i gotowy do nauki. Nie ma w sobie zła ani dobra. Zaczyna od zera.

- W szkole mówili inaczej. Podobno wszystko mamy zapisane w genach, więc nasz mózg nie jest chyba taki czysty.

- Nie uważałeś na lekcjach, synu. W genach nie masz zapisanego tego, czy będziesz sukinsynem czy aniołem. Takie sprawy kształtują się już po urodzeniu, pod wpływem otoczenia. Wiesz, zaczynasz obserwować, nadstawiasz ucha, chłoniesz całym sobą, jesteś jak gąbka. Z każdym dniem wciągasz w siebie więcej i więcej, aż do końca życia. Gdzieś po drodze przychodzi taki moment, że zaczynasz mniej więcej kojarzyć o co w tym wszystkim chodzi, zaczynasz wyrabiać sobie mniej lub bardziej dokładny obraz świata, wtedy zaczynasz podejmować decyzje. Gąbka zaczyna parować. Oddajesz trochę tego, to wchłonąłeś. Idziesz do szkoły. Tu kończą się żarty. I to jest moment prawdy. W tym okresie życia można już mniej więcej

określić, czy będziesz dupkiem, czy kimś konkretnym, kimś, kto będzie potrafił zmierzyć się z własnym życiem.

- Zmierzyć z własnym życiem, tato?

- Tak. Z życiem trzeba się mierzyć, z całej siły, życie to nie jest zabawa, życie to ciągła walka. Wyznaczasz cele i dążysz do ich osiągnięcia, bez wytchnienia, bez zawracania sobie głowy bzdurami. Duppek tego nie potrafi, przemyka się bokiem. Duppek się tylko prześlizguje, ale zapomina, że ten łód jest cienutki, a on sam ciężki jak słoń. Pamiętaj synu, jeżeli zauważysz u siebie syndromy człowieka-dupka już możesz zacząć się bać.

Nie jest zachwycony. Na pewno szuka teraz w myślach jakiejś podpowiedzi, żeby móc sprawdzić do której kategorii się zalicza. Sadząc po wyrazie twarzy nie jest zadowolony z odkrycia. Pozostaje mieć nadzieję, że sobie to zapamięta.

- To co takiego mamy zapisane w genach?

- Duperele typu kolor oczu, wzrost, barwa włosów, wszystko co tak naprawdę jest nieistotne.

- Musiałem nie uważać na lekcjach.

- Jest tam zapisane jeszcze coś.

- O!

- Cholerne choróbska. Jak ktoś ma pecha, to może przyjść na świat ze śmiertelnym prezentem. To jest ruletka, nie ma czym się przejmować.

- Nie ma się czym przejmować, żartujesz?

- A co możesz na to poradzić? W te albo we wte. Nie ma innej możliwości.

- Niezbyt to pocieszające.

- Czym prędzej to sobie uświadomisz, tym lepiej będziesz żył.

Wiem, że długo jeszcze będzie się nad tym wszystkim zastanawiał.

Tymczasem zmienia temat.

- No dobrze, a kim ty się okazałeś, tato. Dawaleś radę, czy byłeś, jak to nazywasz, dupkiem?

I na to pytanie zna odpowiedź. Albo się domyśla.

- Przez chwilę myślałem, że dam radę, synu. Potrafiłem rozwiązywać problemy, nie czułem strachu. Pomysły przychodziły całymi masami, trzeba było tylko odseparować te dobre, popracować nad nimi. Przyjemne zajęcia. Wciągające.

Na wspomnienie tamtych dobrych chwil czuję lekki dreszcz. Piękna sprawa. To dziwne, ale nie przeszkadza mi świadomość, że piękne chwile już nie wrócą, bo skacząc z gałęzi wyparłem się ich. Nieważne. Taką podjąłem decyzję. Patrzę na syna. Nie nalega na dalszy ciąg. Czeka.

On wie. Musiał zauważyć moment, w którym przestałem walczyć, kiedy to nastąpiła przemiana. Z silnego człowieka stałem się dupkiem i ponad wszystko zacząłem pragnąć spokoju. To był początek końca. Przegrałem.

Nie będzie mi przykro, jeżeli nie znajdzie w sobie choćby odrobiny drobnej woli, żeby mnie szanować. Nie łatwo szanować dupka, choćby był ojcem. Już za mego życia przestał okazywać szacunek. Ale dręczy go ciekawość. Interesuje go nie tylko moja przemiana, lecz także to, kim on sam się okaże. I chciałby się dowiedzieć mojego zdania na ten temat. Nie różni się tym od innych ludzi, każdy jest złałkniiony prawdy na swój temat. Ale pod warunkiem, że jest to prawda naciągana, naznaczona pozytywnie.

Ode mnie się dowie. Potrafię być szczery. Wiele razy umiejętność wyrażania szczerości wychodziła mi bokiem, ale trwałem przy swoim. Śmieszne, ale zdecydowana większość ludzi jest okropnie zakłamana. Zadaj im pytanie, jaką cechę cenią u innych najbardziej, a dziewięćdziesiąt siedem procent z nich powie ci, że szczerość. Zakłamane bydło.

Setki razy przekonywałem się na własnej skórze, jak bardzo sobie tę szczerość cenią. Wręcz ją kochają. Do momentu, kiedy im coś szczerze nie powiesz, dopóki nie zamienisz słowa w ciało. Nagle miłość do szczerości znika, jest be i boli, piecze w gardło i wyciska łyzy. Ileż razy to widziałem.

I zaraz potem taki człowiek przestawał dla mnie istnieć. Źle to, czy dobrze, nie mnie oceniać. Jednak nie potrafiłem trwać przy człowieku, odrzucało mnie od niego.

Syn drga. Na jego ustach tańczy pytanie. Starcza mi inteligencji, żeby się domyślić, o co zapyta.

- A ja? Do jakiej kategorii mnie byś zaliczył? Mam zadatki na kogoś, kto da radę? Kto będzie twardy i da radę w życiu, jak ty to nazywasz.

Chce wiedzieć i jednocześnie boi się. Wiem, kiedy czuje strach. Jest wtedy taki bardzo poważny.

Oto pożywka dla szczerości. Takiej prawdziwej, bo przeznaczonej dla własnego syna.

Zanim zaczynam mówić, przypominam sobie pewne zdarzenia z jego życia. Jednocześnie widzę, że pod naszymi nogami pojawiają się obrazy owe wydarzenia ukazujące. Nie zatrzymuję się na żadnym na długo. Prześlizguję się po nich mimochodem. Fantastyczna sprawa. Szkoda tylko, że zamiast skupienia się na moim życiu, jak to sobie dzieciak zaplanował, zaczynamy oceniać jego życie.

- To nie jest nic dziwnego - przerywa mi bez uprzedzenia.

Jestem zaskoczony. Dla mnie to nieco dziwne. Chyba nie ściągnął mnie tutaj, żeby dowiedzieć się jak go oceniam.

- Skoro za życia nie potrafiłeś tego powiedzieć...

- Słucham?

- Korzystam z okazji. Za życia nie mówiłeś nic na mój temat. Nie wiedziałem, co o mnie myślisz. A chciałem wiedzieć.

- Chyba rozmijas się z prawdą, synu.

- Nie sądzę. Co takiego mi mówiłeś? Jakie słowa słyszałem z twoich ust? Same marudzenia, przytyki, rozkazy. Nie rób tego, nie rób tamtego. Przestań tyle gadać, nie mlaskaj przy jedzeniu. Czy posprzątałeś po sobie łazienkę? I wszystko takim chamskim tonem, bez szacunku, bez zrozumienia.

Cóż, teraz mam okazję dowiedzieć się czegoś więcej, teraz syn ukáže to wszystko ze swojej perspektywy.

Niezbyt pochlebna ocenę własnego ojca usłyszałem z jego ust. Nie rozmija się z prawdą. Dokładnie tak było, jak mówi. Dla potwierdzenia tych słów, tam na dole ukazuje się scena z jednego z rodzinnych wieczorów. Cała nasza rodzina siedzi na sofach w pokoju z telewizorem. To ładny pokój. Umeblowany w starodawne sprzęty, wszystkie drewniane; stoi bujany fotel obity kwiecistym materiałem, skórzana bordowa sofa, antyczne krzesło, na ścianach fantastyczne obrazy. Wygląda to jak mała sala muzealna. Mimo dzielących nas barier, jedno mieliśmy wspólne - lubiliśmy atmosferę tego pokoju. Zbieraliśmy te meble całymi latami i woziliśmy ze sobą pod każdy nowy adres. Przeprowadzki były częścią naszego życia. Od dnia urodzin dziecka zmieniliśmy adres jedenaście razy, jednak w sześciu ostatnich mieszkaniach umeblowanie pokoju wypoczynkowego pozostawało niezmiennie. Wszystkie te przeprowadzki nie były spowodowane naszą wolą, może poza jednym przypadkiem, toteż, jak mi się teraz wydaje, podświadomie chcieliśmy zachować ten pokój zawsze taki sam, jakby to miało złagodzić ciągłe zmiany i stres z tym związany. W tym pokoju, gdziekolwiek by się znajdował, czuliśmy się jak u siebie, jak we własnym domu. Chociaż tak się złożyło, że własnego domu nie mieliśmy nigdy zdobyć.

Siedzą więc i milczą. Tak jak zawsze, normalnie. Patrzą jak urzeczony. Za życia nie zwracałem uwagi, nie umiałem patrzeć na nas z boku, koncentrując się wyłącznie na sobie.

Więc co tam widzę?

Siedzimy, w większości w milczeniu.

Jeżeli mój syn otwiera usta, czy to w celu zadania pytania, czy aby skomentować jakąś scenę widzianą na ekranie, to zaraz go uciszam, robię to tonem gburą, sycząc i piorunując go wzrokiem. Gdyby tylko wzrok mógł zabijać. Teraz, siedząc tu i patrząc z perspektywy, na luzie, zdaję sobie sprawę z idiotyzmu takiego zachowania. Patrzą na samego siebie i widzę ograniczonego idiotę, który narzuca

otoczeniu swoje zdanie, który wymaga zachowania uległego swoim chorym nakazom. Żona tylko kręci głową i zaciska usta. Jest zła, ale przyzwyczajenie każe jej zachować spokój. Do czasu. Jeżeli sytuacja się powtarza, a dzieje się w regularnych odstępach czasu, wzdycha ciężko i klnie moje zachowanie, wysyłając mnie do psychiatry, czy każąc iść się przejść.

- Idź człowieku, rusz dupę. Zrób coś. Daj nam spokój, bo z tobą nie można już wytrzymać. Dziecko nawet buzi nie może otworzyć, bo tobie zaraz to przeszkadza. Daj spokój. Idź się lecz.

Ciekawe jak zareaguję w tym konkretnym przypadku. Pewnie tak jak zawsze, powiem coś brzydkiego, albo wyjdę na papierosa. Zaraz się okaże.

Ja, tam na dole, patrzę na żonę ze złością i wściekle zaciskam pięści.

- Czego się kobieto czepiasz. Czy wy nie umiecie przez dziesięć minut być cicho. Przecież nawet nie można odpocząć. Nie słyszać co mówią w telewizji. Jak mamy wiedzieć o co chodzi, jak wy ciągle gadacie? Ochujec można.

- Chcesz ciszy, to idź do sypialni! - Teraz syn podnosi głos.

Patrzę na tę scenę z obrzydzeniem. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że coś jest ze mną nie tak, ale dopóki się czegoś nie zobaczy z boku, dopóty prawie nie jest możliwe zdanie sobie sprawy z własnego zachowania. Na pewno ja tego nie potrafiłem. Byłem zbyt skupiony na sobie, klapki na oczy i tyle. A tu potrzeba użyć wyobraźni, stanąć z boku, umiejętność, której nie posiadałem. Teraz jest za późno, życie zakończone, ale może dzięki temu, że mogę zobaczyć siebie w najgorszych chwilach życia, tym precyzyjniej będę potrafił wyjaśnić synowi pewne sprawy.

- Właśnie, idź do sypialni. Tam ci nie będziemy przeszkadzać! - Żona dołącza do synowskiego krzyku.

Mają rację. Mógłbym wyjść i zostawić ich w spokoju. Ale nigdy tego nie zrobiłem. Nie robię i tym razem. Obserwuję jak zaciskają się moje usta, jak wzruszam ramionami i w napięciu czekam na kolejny powód do wybuchu. Faktycznie idiota.

Uświadamiam sobie, że znam powód pozostania w pokoju. W swoim chorym już wtedy umyśle przechowywałem przekonanie o konieczności pozostania z rodziną, o nadziei na chociaż jeden wspólny, nie zakłócony niczym wieczór. Taki, podczas którego oni nie będą za wiele gadać, śpiewać, komentować. Podczas takiego wieczoru każde słowo byłoby wypowiedziane w odpowiednim czasie, bez nerwów, bez sprzeczenia się, syn nie zachowywałby się jak głupol, żona by nie marudziła. Ja ani razu nie zwróciłbym nikomu uwagi, bo nie byłoby ku temu powodu. Taki wieczór nigdy się nie zdarzył, ale ciągle w głębi duszy o takim marzyłem i to pewnie dlatego trwałem wiernie na swoim miejscu, zły i pogryziony przez postępującą nerwicę, zupełnie nie zwracając uwagi na próby przegonienia mnie stamtąd. Byłem uparty. Diabelnie uparty. Ale nie tą upartością, która pomaga zmagać się z problemami dnia codziennego, nie upartością twórczą, mobilizującą. Była to najgorsza odmiana upartości, przypisana ludziom słabym i wrednym.

Tam na dole bez zmian. Siedzą i gapią się telewizor. Nie ma tam nic ciekawego, nic, co mogłoby usprawiedliwić ich tkwienie w jednym miejscu. Wszyscy troje wyglądają, jakby siedzieli tam za karę. Każde z nas ma ochotę na dorwanie pilota, na pstryknięcie guzikiem i wyłączenie tej chwili, na wyłączenie teraźniejszości. Żadne z nas nie ma pomysłu na siebie. Nie, to nie jest do końca prawda. Pomysłów mamy mnóstwo, ale coś nas powstrzymuje przed wzięciem się za ich realizowanie. Jakaś siła trzyma nas razem w tym pokoju, siedzimy tam bezproduktywnie, jakby każde z nas chciało udowodnić pozostałym, że są dla niego najważniejsi. Lecz każde z nas robi to na siłę. Teraz to widzę, dopiero teraz.

Trzeba było wstać, zabrać się do roboty. Samym przebywaniem obok siebie nie można udowodnić przywiązania, nie tędy droga. To tak, jakby każde z nas chciało udowodnić innym, że o niczym innym nie marzy, jak tylko żeby być obok, choćby to miało prowadzić do trwałego kalectwa intelektualnego, choćby ceną za takie zachowanie miało być pozbawienie naszej rodziny szansy na rozwój. Dlaczego żadne z nas nie potrafiło tego przerwać?

Przez chwilę panuje cisza, jeżeli nie liczyć głosu dochodzącego z głośników odbiornika. Wydaje się, że tylko ja jestem z tego zadowolony. Nie trwa to długo. Mój syna zaczyna mrużyć coś pod nosem. Zaraz zostaje za to skarcony.

- Weź się przymknij - krzyczy jego ojciec, ja sam, unosząc głowę z poduszki. Jego oczy błyskają niebezpiecznie, jakby zaraz miały wysłać kilka piorunów.

Jego żona kiwa głową i widać po wyrazie jej twarzy, że jeżeli usłyszy jeszcze jedno słowo z jego ust, pójdzie prosto do kuchni, weźmie nóż i wbije w jego cholerny brzuch. Tak bardzo ma dosyć tego ciągłego uciszania.

Zamiast tego, mówi:

- Kurwa, weź przestań, chcesz żeby dzieciak dostał jakiejś depresji? Przecież on musi się przed kimś otworzyć. Jak ma ci coś do powiedzenia, wysłuchaj go. Zrozum, jeżeli będziesz się zachowywał jak idiota, to za parę lat nie będziesz miał syna. Zostaniesz sam, bo nikt nie będzie mógł z tobą wytrzymać. Ale to nie jest najgorsze. Pomyśl o nim. Czy myślisz, że zamykając mu teraz usta robisz mu przysługę? Pomyśl.

Znowu doznaję uczucia obrzydzenia. Wprost trudno uwierzyć, że ten na dole to ja. Ten, który myślał, że kocha swoją rodzinę i wie, w jaki sposób prowadzić wartościowe życie. Nie potrafię sobie przypomnieć, o czym wtedy myślałem. Trochę to dziwne, bo przecież w tym celu się tu znalazłem, żeby sobie przypomnieć i wyjaśnić synowi. Zerkam na niego. Siedzi obok i czeka. Nie pogania. Jego

zachowanie jest bez zarzutu. Widać jego ojciec – idiota nie zepsuł go do końca.

Zerkam w dół.

Znowu wszyscy mają zdenerwowane miny, ale nikt nie potrafi wykrzesać z siebie odrobiny dobrej woli, żeby wstać z tych sof, nakłonić resztę do zrobienia czegoś, co będzie odmianą, co pomoże przerwać ten bezproduktywny proces powolnego topienia się w bezsensie, w zdegenerowanej formie wspólnego odpoczynku po pracy i szkole.

To doprawdy dziwne, że jednego dnia potrafiłem wygłaszać do syna pretensjonalne uwagi dotyczące bezsensownego tracenia czasu, potrzebie odnalezienia w sobie pozytywnej energii, która z kolei pozwoli mu skupić uwagę na pożytecznych działaniach; nauce, przygotowywaniu się do dorosłego życia, uwagi mające na celu wskazanie mu drogi do pełnego wykorzystania czasu, a następnego dnia, ba nawet tego samego dnia, dawałem mu jak najgorszy przykład, spędzając pół wieczoru na bezproduktywnym siedzeniu na dupie.

Teraz to wiedzę. Wróc. Już wtedy zdawałem sobie z tego sprawę, a teraz tylko upewniam się w tamtych domysłach. Jakim marnym nauczycielem jest ten, który nie potrafi dać dobrego przykładu. Samym kłapaniem gębą nie mogłem przecież zmienić jego nastawienia do pracy, do nauki, do świata. Potrzebował przykładu wizualnego, ale go nie dostawał. Zamiast tego widział człowieka, który nie robi nic specjalnego, człowieka tracącego czas na bezproduktywne wygłaszanie mądrych uwag.

- Ty wiedziałeś o tym tato? - słyszę nagle.

- O czym?

- Byłeś cholernym hipokrytą, wiedziałeś o tym?

- Tak.

- Więc dlaczego nie próbowałeś z tym walczyć?

Bezsensowne pytanie, retoryka ślepcy. Czy nie nauczył się jeszcze, że walka z samym sobą to najtrudniejsze

zadanie dla człowieka, że tylko nieliczni potrafią się na tę walkę zdobyć? Ja do nich nie należałem.

Muszę jednak podjąć rękawicę.

- Toż przecież o to w tym wszystkim chodzi. Jestem tu dlatego, bo nie potrafiłem z tym walczyć; z toczącą mnie hipokryzją, złościwością, nienawiścią, chociaż cały świat dawał mi znaki, wy dawaliście mi znaki, nieliczni znajomi, nawet obcy ludzie. Może nawet potrafiłem te znaki dostrzegać, nie może, na pewno je widziałem, teraz to wiem. Wiele znaków, wiele słów, słów-znaków, niby rzuconych mimochodem, niby nie dotyczących mojego życia, dobrze zakamuflowanych, a jednak jakże czytelnych. Tak, dostrzegałem aluzje. Niestety, nie było mi dane odpowiednio ich wykorzystać.

- Jak to jest, mieć świadomość bezradności?

- Rób tak, żeby jej nie doznać, synu. Trzeba być doprawdy gigantem, żeby z tym wygrać. Wygrać z samym sobą. I nie chodzi mi o bezradność dotyczącą drobnych spraw, które stają przed tobą na co dzień, nie idzie mi o bezradność w zderzeniu z zadaniem matematycznym zadanym na następną lekcję, tu chodzi o bezradność, która wydaje się być poza twoim zasięgiem. Wiesz, że wszystko robisz źle, że tracisz czas, którego przecież będzie już tylko ubywać, ale jesteś bezradny, nie potrafisz działać. To było moim największym problemem, nie potrafiłem wygrać z własnymi słabościami.

- Czy można jej nie doznać? Czy istnieje środek do ominięcia życiowej bezradności?

Zastanawiam się. Syn czeka.

- Chyba nie będę potrafił na to pytanie odpowiedzieć. To jedno z takich pytań, na które każdy z nas sam musi poszukać odpowiedzi. Jesteś jeszcze młody, masz wszelkie szanse na odnalezienie odpowiedzi. Tylko tyle potrafię powiedzieć, synu.

- Niezbyt to pocieszające.

- Nie. Bo i nie jestem tu, by cię pocieszać. Powinieneś to wiedzieć. Ja tylko mogę dawać ci sygnały, zaznaczać najważniejsze punkty, zwracać uwagę na moje własne błędy, mając nadzieję, że będziesz potrafił je dostrzec i nie powtórzyć. Mogę tylko tyle i aż tyle. Reszta należy do ciebie, może w pewnym stopniu do mamy. Ale ty jesteś panem swojego życia. Ty musisz walczyć.

Widzę, że go to ruszyło. Pewnie spodziewał się po tym naszym spotkaniu czegoś więcej i świadomość tego, że nie idzie po jego myśli powoduje u niego jakiś rodzaj rozczarowania. Nic na to nie poradzę. Nie mam takiej mocy.

Syn wskazuje palcem na naszą trójkę. Wciąż tkwią tam, w tym swoim wiecznym pokoju wypoczynkowym, zawsze takim samym, niezmiennym w swoim starodawnym stylu, jakby jego wieczne istnienie, choćby co rok czy dwa znajdował się w innym mieszkaniu, było dla nich namiastką stateczności, za którą tak bardzo tęsknili. Jakie to dziwne. Przeprowadzaliśmy się tyle razy, ale ten pokój pozostawał zawsze taki sam. Pewnie w ten sposób chcieliśmy sobie wynagrodzić ciągłe zmiany miejsca, oszukiwaliśmy się. Może trzeba było inaczej? Może należało zaprzestać wozenia ze sobą tego pokoju? Albo ustawiać wszystkie meble inaczej, mieszać je ze sobą, przestawiać. Nie wiem. Tak trudno teraz oceniać, co byłoby lepsze. Fakt jest taki, że zawsze mieliśmy taki sam pokój.

- Ale czasem próbowaliśmy inaczej. Nie zawsze siedzieliśmy na sofach, pozwalając żeby nasze życie upłynęło między palcami.

- Owszem, próbowaliśmy. Potrafiliśmy odrzucić uprzedzenia i wspólnie gdzieś pojechać, zwiedzić ciekawe miejsce, wniknąć w tłum ludzi. Ale i w takich przypadkach często kończyło się jakimś przykrym incydentem, często wracaliśmy do domu pokaleczeni na duszach, bo daliśmy ponieść się drzemiących w naszych umysłach strachom. Każde z nas chciało narzucić swoją wolę innym, więc siłą rzeczy prędzej czy później musiało dochodzić do spięć. Ileż

to razy wracaliśmy w milczeniu. Tak, nikt z naszej dziwacznej trójki nie potrafił iść na kompromis. Każde musiało być górą.

- Pamiętam.

Kiedy to mówi, cała nasza trójka, tam, na dole, nie siedzi już w pokoju. Teraz siedzimy w samochodzie. Jest piękny dzień, słoneczny, choć niezbyt gorący, w końcu to jesień. Skąd wiem, że to jesień, doprawdy nie mam pojęcia. Prowadzi moja żona. Ja siedzę z boku, syn z tyłu. Tym razem, o dziwo, nikt nie ma zaciętej miny, każde mniej lub bardziej uśmiecha się. Próby przypomnienia sobie tej sytuacji z początku nie udają się, jednak kiedy tylko zaczynam patrzeć na nią z szerszej perspektywy, od razu osiągam sukces. Wycieczka? Tak, scena ukazuje wycieczkę do sąsiedniego miasta. Syn ma tydzień przerwy w szkole, żona wzięła wolny dzień, a ja od kilku dni także mam wolne. Jakimś sposobem doszliśmy do porozumienia i wracamy z wycieczki. Zdarzało się i tak, choć nie za często.

- Ale o mało co nigdzie nie pojechaliśmy, prawda?

- No pewnie. O mało co nie zostaliśmy w domu.

- Bo zaczęliście się kłócić, kto ma prowadzić.

- To... to prawda. Idiotyczny powód do spieprzenia sobie dnia, ale nam nie potrzeba było wiele. Jedno albo drugie, kiedy tylko pojawiała się okazja, zaraz rzucało się na nią jak wygłodniały wilk na jagnię.

- Mieliście z tego jakąś radość, czy co?

- Czyś ty zwariował? Jaką radość można mieć z ciągłych sprzeczek. Tak po prawdzie, to chyba oboje czuliśmy się tym zmęczeni.

- A jednak to trwało.

- Niestety. I zapewne trwało by na zawsze, gdybym nie wybrał innego rozwiązania. Ostatecznego rozwiązania.

- Pamiętam, że to ty zacząłeś. Powiedziałeś mamie, żeby dała ci prowadzić, bo ona nie potrafi się poruszać w miastach, których jeszcze nie odwiedzaliśmy.

- I taka była prawda.

- Ale ona miała trochę racji, kiedy ci odpowiedziała, że kiedyś musi się poczuć pewnie, kiedyś musi się nauczyć.

- Może i miała, ale ja nie potrafiłem tego zaakceptować. I nie chodziło o to, co ona powiedziała, tylko w jaki sposób. Złośliwie i zbyt głośno. Szczególnie jeżeli wziąć pod uwagę, że ubrała wtedy buty na wysokich obcasach. Ona nienawidziła prowadzić samochodu mając na sobie takie buty. Sam więc widzisz, że zachowała się fałszywie, zagrała mi na nerwach celowo, tylko dlatego, że chciałem prowadzić.

Syn kiwa tylko głową. Odkąd się spotkaliśmy robi to bardzo często, najwyraźniej nie mogąc się nadziwić głupocie i zaciętrzewianiu własnych rodziców. A niech sobie kiwa, niech się dziwi, jeżeli tylko ma mu to pomóc w ominięciu podobnych zachowań w swojej przyszłości.

- A potem ona się musiała odgryźć. Pamiętasz, co powiedziała?

Nie pamiętam, dlatego patrzę na naszą trójkę tam, w samochodzie. Za chwilę powinniśmy cofnąć się do tego momentu. Myślę cofnąć, ale samochód jedzie do przodu. Muszę spojrzeć na tę scenę z większej perspektywy, żeby należycie oceniać w jakim konkretnie momencie dnia się znajdujemy. Na początku tej drogi ku przeszłości, wszystko się cofało, nawet ja, kiedy zszedłem z drzewa i wracałem do domu, robiłem to tyłem, pamiętam, że papierosy startowały z trawy i lądowały najpierw w moich palcach a potem w ustach. Całość sprawiała wrażenie przewijania do tyłu filmu. Teraz jest nieco inaczej. Wprawdzie wszystkie wydarzenia następują w odwrotnej kolejności, to znaczy czym dłużej jestem przy synu, tym bardziej w przeszłość się cofamy, jednak konkretne wydarzenia, jak ta wycieczka na przykład, dzieją się normalnie; poruszamy się do przodu, czas biegnie a nie cofa się, najpierw jest poranek a potem wieczór, inaczej niż było na samym początku.

Pytam o to syna.

- Już myślałem, że nie zauważysz - śmieje się. - Chciałem ułatwić sprawę, takie robienie wszystkiego do tyłu mogłoby być na dłuższą metę męczące.

- Ale przecież my nic nie robimy, obserwujemy tylko. Co w tym męczącego?

- Nie da się na dłuższą metę obserwować cofającego się świata, wszystko by ci się w końcu pokręciło. Postanowiłem więc to naprawić. Widzisz, kiedy walczyłem o przywołanie cię do siebie, nie miałem sprecyzowanego planu, wszystko odbyło się za szybko. To był tylko błysk myśli, który po sekundzie stał się ciałem. Jednak nie do końca doskonałym. Dopiero z czasem miałem okazję to i owo naprawić. Myślę, że po części to twoja zasługa.

- Moja? - Jestem zaskoczony.

- Twoje wspomnienia są dla mnie wielką nauką, przy okazji także dodają mi sił, czynią mą wolę mocniejszą, a jednocześnie bardziej podatną na moje, coraz bardziej śmiałe sugestie. To był wspaniały pomysł, z tym ściągnięciem cię tutaj.

- Masz mnie do dyspozycji, synu. Na pewno jestem ci to winien. Wiem, że nic nie zastąpi żywego, mądrego ojca, ale skoro nie mogłeś tego mieć, to chociaż ciesz się swoją silną wolą i bierz z tego ile ci się tylko uda. Na pewno jest to więcej, niż byś znalazł w moim liście pożegnalnym.

- Dziękuję. A teraz, wracając do tej wycieczki...

- No właśnie. Biorąc pod uwagę niezbyt szczęśliwy początek, trzeba przyznać, że okazała się całkiem udana.

- Też tak myślę, szczególnie, że mama nie wchodziła do zbyt wielu sklepów.

- Obu nas to zawsze doprowadzało do szału, co?

- To prawda.

- Takie są kobiety, kiedyś sam się o tym przekonasz.

- Przecież nikt jej nie bronił łączyć po sklepach, ale nie musiała tego robić podczas naszych wycieczek.

- Nawet nie masz pojęcia ile razy próbowałem jej to wytłumaczyć.

- Bez skutku, co?

- Bez. W jej przypadku to było jak nałóg. Po prostu musiała tak robić, nie potrafiła inaczej. Nawet jeżeli akurat nie potrzebowała niczego kupować, musiała wejść do paru sklepów.

- Ale ta wycieczka się udała, prawda?

- Tak.

- Ja też tak myślę. Dobrze ją pamiętam. To był jeden z nielicznych ostatnio dni, kare naprawdę dobrze wspominam.

- To tak samo jak ja.

- Dlaczego nie było takich dni więcej, tato?

Na to pytanie także nie ma odpowiedzi. Wiele tu takich pytań, a zdaję sobie sprawę, że w miarę cofania się w przeszłość będzie ich jeszcze więcej. Na większość z nich na pewno nie będę umiał odpowiedzieć, tak jak nie potrafiłem za życia, co przecież przyczyniło się do takiego a nie innego owego życia zakończenia.

Sceny z życia rodzinnego zamierają na moment. Nie zastanawiam się nad tym. Za bardzo jestem podminowany ostatnimi odkryciami. Zaczynam czuć żal. Nie powinien niczego czuć, nie mam już przecież ciała, mój mózg nie pracuje. To tylko jakiś rodzaj energii, której istnienia nie da się wytłumaczyć. Może jestem tylko pamięcią w umyśle syna, może w ogóle jestem jego umysłem. Nie, to niemożliwe, gdybym był jego umysłem, potrafiłbym przewidzieć jego myśli, a przecież jest całkiem na odwrót, to on potrafi czytać moje. Korci mnie, żeby go zapytać, co on o tym myśli, lecz po zastanowieniu nie robię tego. Mógłbym go spłoszyć, a tego nie chcę. Na pewno nie jest mu łatwo, musiał się sporo natrudzić, żeby ściągnąć mnie tutaj.

- Nie wiem, synu. Nie wiem.

Robi kwaśną minę. Tona cytryn na jego wąskich ustach. Stęka ociężale, jakby niósł ogromny ciężar na plecach, a przecież tylko siedzi obok mnie. Nie wydaje się to ciężka

pracą, ale może dla niego jest. Mruga oczami. Pewnie ma następne pytanie.

- Dajmy na razie spokój naszej rodzinie - mówi cicho - chcę dowiedzieć się więcej o tobie samym. Niewiele mi o tym mówiłeś. Czym się interesowałeś?

- Pod koniec życia nie miałem już żadnych pasji. Nic mnie nie interesowało, mówiłem ci już o tym. Ciekawość życia, pamiętasz?

- Tak. Ale zanim to się stało, mów o tym, co było wcześniej.

- Myślę, że miałem w życiu trzy najważniejsze pasje. Nie będę ich nazywał, bo dobrze wiesz, co to było. Nie będę ich nazywał, bo je zdradziłem, bo przestały mnie w pewnej chwili interesować. Czy potrafisz sobie wyobrazić coś takiego?

- Chodzi ci o muzykę, prawda?

Muzyka.

Na trzy tygodnie przed samobójstwem wziąłem ze sobą trochę muzyki i poszedłem na najdłuższy jak się później okazało w życiu spacer. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale ten spacer miał potrwać bardzo długo. Chciałem odnaleźć powód, dla którego nie potrafiłem już słuchać muzyki. Nie było w niej już nic, co przez długie lata umiało ułagodzić ból duszy, dawało siły do dalszego życia, czyniło je znośniejszym. Nastawiłem bardzo głośno, żeby nic nie było w stanie mnie rozproszyć. Tylko ja i niegdyś ulubiona muzyka. Każdy dźwięk znajomy, każde słowo na pamięć, niczym starzy kumple nad szklaneczką czegoś mocniejszego. Szedłem bardzo powoli, nie patrząc na nic, chociaż oczy miałem otwarte bardzo szeroko. W tych ostatnich dniach nie bałem się otwierać oczu, chciałem wszystko dobrze widzieć. Podejrzewam, że w głębi duszy miałem nadzieję na zobaczenie czegoś, nie potrafię powiedzieć czego, co może stałoby się powodem do zmiany decyzji o zakończeniu życia. To mogłoby być cokolwiek; może piękna kobieta, może drzewo, może ptak, słoneczny

promień albo szept deszczu. Nie wiem. Cokolwiek. Tak naprawdę każdy samobójca do ostatniej chwili ma nadzieję na zmianę decyzji, przecież życie już się nie powtórzy i nawet jeżeli w tej danej chwili się go nienawidzi, to zawsze pozostaje żal. Żal i nadzieja na jakiś sygnał, bodziec do choćby odwołania momentu podjęcia ostatecznej decyzji.

Muzyka grała a ja szedłem dalej. Minąłem rozwalony płot i wszedłem na dróżkę prowadzącą wzdłuż rzeki.

She lived on the curve in the road
In an old tar paper shack.
On the south side of the town
On the wrong side of the tracks.
Sometimes on the way into town
We'd say, "Mama can we stop and give her a ride?"
Sometimes we did
But her hands flew from her side.
Wild eyed

Crazy Mary

Ileż to razy te dźwięki i słowa dodawały mi sił, ileż razy słysząc je śmiałem się do siebie na środku ulicy, mijany przez setki ludzi, którzy musieli pomyśleć, pieprzyć ich, że ten koleżka przed nimi właśnie postradał zmysły. Miałem to gdzieś. Niosło mnie szczęście, niosła mnie siła. Ale to było kiedyś, jeszcze wtedy nic mnie nie straszycyło, jeszcze potrafiłem pokonać nadlatujące z każdej strony potwory. Teraz muzyka przepływa przez moje ciało bez poruszenia najwrażliwszych strun, jest jak płynąca z prysznicza woda, spływa i ginie w kanale, gdzie i ja mam ochotę zniknąć razem z nią, bo jesteśmy siebie warci. To straszne. Boję się własnej słabości.

Take a bottle drink it down. Pass it around.
Take a bottle drink it down. Drink it... Pass it around. Pass ita...
A-take a bottle drink it down. Pass it... Pass it a... Pass itaround.

Patrzę na syna. Słucha moich myśli, słucha także, mam taką nadzieję, muzyki i boi się odezwać. Tutaj nie pasują żadne słowa. To właśnie jest siła takiej muzyki, jest ponad wszystko, jest wszystkim. Syn jest przestraszony. Poznaje, kiedy jest przestraszony. Może jednak ma w sobie na tyle siły, żeby przez to przebrnąć. Nie będzie miło, bo nie mam zamiaru niczego ukrywać. Może to przez tę muzykę. Może i on ją słyszy i nie wie, jak na nią reagować. Ja wiedziałem. Zresztą, przez całe lata ta muzyka nie potrzebowała żebym reagował na nią na siłę. Potrafiła sama z siebie wykrzesać takie oceany emocji, że można było oszaleć z wrażenia. To była potężna siła, potrafiąca rozwałać mury negatywnych myśli i tamy złości. Była lekarstwem.

Niestety, już nie jest.

Jak wszystko w moim życiu, nie spełnia już swojej roli.

I jedno wiem na pewno, nie chcę żeby rzeczy i uczucia, które kiedyś kochałem i które miały na mnie dodatni wpływ, stały się nieważne.

Zwyczajnie tego nie chcę.

Czymże jednak jest nadzieja straceńca, jeżeli nie jego zgubą.

Rzeka jest wzburzona, tak jak i ja sam. Tym razem muzyka wzbudza negatywne reakcje, co przekłada się na wszystko wokół, atmosfera gęstnieje, robi się ciemniej. Patrzę na wodę a ona podskakuje i wydaje się być taka spieniona, jakby była samym złem. Zrywa się wiatr, ciska mi w oczy piaskiem, chociaż nie zrobiłem mu nic złego. Unoszę głowę go góry i w myślach namawiam go do dalszej zabawy:

- No, dalej, tylko na tyle cię stać? Postaraj się mocniej skurwiały wiaterku.

Jakby na to czekał.

Wali się na mnie całym swym ciężarem. Wytrzymuję to uderzenie, nie upadam, ale muzyka nagle zanika. Spadły mi z uszu słuchawki. Wiatr naśmiewa się ze mnie świszczącym jękiem a potem dokłada cios między oczy, aż twarz zalewa

mi wodospad słonych łez. Łamię się w pół, ale nie mam ochoty na kapitulację. Nie zobaczy mnie na kolanach. Nakładam słuchawki, prostuję się. Jeżeli mam zrobić, co sobie zamierzyłem, to muszę przeć naprzód. Byle co mnie nie złamie.

the direction of the eye
so misleading
the defection of the soul
nauseously quick

I don't question
our existence
I just question
our modern needs

Spacer wynosi mnie z miasta, prowadząc w stronę drugiego, w którym tak naprawdę toczy się moje życie; tu pracuję, tu przyjeżdżam na spacer, tutaj chciałem umrzeć. I w tym mieście umarłem. Po prawej, tam gdzie jeszcze niedawno płynęła brudna woda, mam teraz ulicę, którą tyle razy jeździłem samochodem. Woziliście mnie wtedy do szkoły, synu. Pamiętasz, jak nieraz trzeba było stać w korkach?

Wiem, że on jest ze mną w kontakcie, to dlatego pozwalam sobie na takie układanie myśli, jakbym kierował je specjalnie do niego, jakbym do niego przemawiał.

Podoba mi się to.

Pamiętasz te korki? Popatrz, potrafiliśmy siedzieć w samochodzie nieraz przez godzinę, nieraz więcej, szczególnie w piątki był duży ruch, albo jak padał deszcz, siedzieliśmy tak i milczeliśmy. To straszne. Ale nie o tym miałem mówić. Tylko ta droga mi to wszystko przypominała, to dlatego.

Kiedy tak idę poboczem robi się coraz większy ruch. Nic dziwnego, zaczynają się powroty ze szkół, pustoszeją niektóre biura, ta pora zawsze powoduje wzmożony ruch. Idę szybciej, niż jadące obok mnie samochody. Zaglądam im

do środka, patrzę na siedzących tam ludzi, jak stukają nerwowo palcami po kierownicach, albo wystukują wiadomości na swoich telefonach, lub też po prostu palą i czekają na swoją kolej. Z jakiegoś powodu muzyka, którą przede wszystkim miałem się zająć podczas tego spaceru, odchodzi na dalszy plan. Słyszę ją, ale tylko jako tło, jako ścieżkę dźwiękową.

... Drifting body it's sole desertion
Flying not yet quite the notion

Into the flood again
Same old trip it was back then
So I made a big mistake
Try to see it once my way

Into the flood again
Same old trip it was back then
So I made a big mistake
Try to see it once my way

Nic nie czuję. Kiedyś się to nie zdarzało. W dawnych czasach, kiedy szło się ze słuchawkami na uszach, nie widziało się niczego wokół. Liczyły się tylko te dźwięki. Niby była to ta sama muzyka, jednak teraz działa zdecydowanie inaczej. Czy raczej nie działa. Dziwna sprawa.

Zaglądam do kolejnego samochodu i widzę jak kierowca dłubie palcem w nosie, by za moment zapakować go sobie do ust. Zdumiewające.

Kątem oka widzę, jak mój syn trzęsie się ze śmiechu. Znam przyczynę. Wiele razy widzieliśmy podobne przypadki podczas jazdy do lub ze szkoły.

Przyśpieszam kroku, żeby nie musieć widzieć zażenowanej twarzy kierowcy, który zauważył, że ja zauważyłem. Wciąż zastanawiam się nad grającą w tle muzyką. Powinienem ją czuć, ale nie czuję, powinienem

szaleć ze szczęścia, a nie szaleję. Idę i nie mogę się nadziwić. Chyba zbyt wiele sobie obiecywałem po tym spacerze.

- I tu, synu, coś mnie tknęło.

Nie reaguje. Siedzi obok z zamkniętymi oczmi i wydaje się wsłuchany w moje myśli tak głęboko, że można go z łatwością wziąć za nieżywego. Postanawiam mu nie przeszkadzać. Niech słucha moich wspomnień, jeżeli tak woli.

Natchnęła mnie więc pewna myśl. Pamiętałem, że muzyka szczególnie oddziaływała na mnie, kiedy powoli, ale z natrętnie regularną częstotliwością wlewałem w siebie alkohol. Na tę myśl od razu muzyka zabrzmiewa dużo głośniej, nagle, bez ostrzeżenia.

Unsealed

On a porch a letter sat

Then you said I want to leave it again

Once I saw him

On a beach of weathered sand

And on the sand I want to leave it again

On a weekend want to wish it all way

And they called an I said an I want what

I said an I call out again

And the reason oughta leave her calm I know

I said I know what I wear that a box or the bag

Potrzebuję alkoholu.

- A, to dlatego... - wtrąca się nagle mój syn.

- Co, dlatego?

- Teraz rozumiem, dlaczego zawsze przed wyjściem na piwo siedziałeś przed komputerem i robiłeś sobie składankę. Tak to nazywałeś, pamiętasz?

- Oczywiście, jak mógłbym zapomnieć. Byłem mistrzem w robieniu składek. Siadałem sobie w kącie i wybierałem ulubione melodie. To było jak budowanie nowego domu.

- Tak, teraz kojarzę. Mój tato robi sobie składankę, więc wróci naprany jak stodoła.

- Cóż, zgadza się. Tylko wtedy moja muzyka znowu do mnie przemawiała, tylko wtedy potrafiłem się nią cieszyć. Te wyjścia potrafiły dać mi na jakiś czas wewnętrzny spokój. Człowiek potrzebuje czegoś takiego, kiedy już wypali się w nim młodzieńczy zapał, potrzebuje czegoś, co ten zapał może chociaż na chwilę przywrócić.

- Nie rozumiem tego, ale pewnie jestem jeszcze zbyt młody.

Nieważne. Może zrozumie, jeżeli da mi dokończyć. Daj mi dokończyć, daj sobie wytłumaczyć.

Wchodzę do pierwszej napotkanej knajpy i z miejsca zamawiam dwa kufle. Barman nie dziwi się, zna mnie dosyć dobrze. Nigdy ze mną nie rozmawiał, ale wiele razy u niego kupowałem, wie, że nie żartuję przy zamawianiu. I nie tylko przy tym, nie ma ze mną żartów także potem, kiedy zaczynam w siebie wlewać. Z zasady nie gadam z barmanami, nie po to wychodzę do miasta. I nie po to wychodzę zawsze sam.

Bez ceregieli wlewam w siebie oba kufle i siadam na stołku barowym, żeby poczekać na efekty. Zwykle wystarczy kilka minut, jak teraz właśnie. Zanim podniosę tyłek i ruszę w dalszą drogę, mam zamiar sprawdzić czy już mogę normalnie słuchać muzyki. Jeżeli nie, zamawiam jeszcze dwa i dopiero idę dalej. Dzisiaj działa po dwóch. No i dobrze, jest we mnie chęć zmiany otoczenia, nie zasiadam się nigdzie na dłużej. Wychodzę na zewnątrz.

Jakie to zabawne. Wchodziłem innym człowiekiem i całkiem innym wychodzę.

Daję głośniej. Muzyka znowu mnie cieszy. Jestem zachwycony tą odmianą. Znowu mogę czuć, znowu jestem mocny. W oddali widzę kolejną knajpę. Tu też mnie znają,

choć z nikim w życiu nie zamieniłem słowa, poza zamawianiem kolejnych kufli. Kiedy tylko wejdę do środka zaraz wiadomo co będzie zamawiane, czekają tylko na potwierdzenie ilości.

Syn się porusza, chyba ma zamiar o coś zapytać.

- Tak, synu? - uprzedzam go.

Chyba chce zapytać o coś osobistego, bo idzie mu jak po grudzie, słowa nie chcą się wydostać na zewnątrz..

- Za co piłeś, tato? Skąd na przykład miałeś pieniądze tego wieczoru?

- Nie martw się, nie przepijałem wiele. Zawsze potrafiłem zarobić na boku, więc możesz być spokojny, nie brałem nic z domowych pieniędzy. Skąd miałem tego wieczoru? Zawsze byłem przygotowany na podobną sytuację. A ten wieczór i tak był szczególny, wiedziałem przecież, że będzie prawdopodobnie ostatnim takim.

- I co było dalej?

- Popatrzmy przez chwilę na mnie, co będę robił, jak się będę zachowywał, sam jestem ciekawy jak to wyglądało z boku.

- Dobrze.

W drugiej knajpie jest tłum. Przeważają osobnicy w garniturach, powychodzili z biur i przepłukują gardła po całodziennym wysiłku. Ten typ ludzi mnie nie interesuje, są jak dla mnie zbyt zapatrzeni we własną karierę. Ja ich też nie obchodzę, nawet mnie nie widzą, kiedy przeciskam się do baru. Pokazuję dwa palce i znajoma twarz barmanki ukazuje zrozumienie, nawet się dziewczyna uśmiecha. Muszę wyjąć z ucha jedną ze słuchawek, żeby dobrze słyszeć cenę. Ciągłe się zmieniają, jakby trudno było utrzymać jedną cenę na takie duperele jak piwo. Człowiek może się pogubić.

Zwykle, kiedy to tylko jest możliwe, zostaję przy barze. Tak lubię. Podobają mi się te wszystkie butelki na półkach, jest kolorowo i spokojnie. Dzisiaj jednak muszę się wycofać do oddalonego stolika, zbyt wielu garniturowców okupuje

bar. I tak cudem tylko znalazłem lukę, żeby złożyć zamówienie. Strasznie drą ryje, jakby każdy z nich miał do powiedzenia jakąś istotną rzecz, cóż, może i mają. To, że ja nie mam nic do powiedzenia, nie znaczy, że tak musi być ze wszystkimi. To są stadne zwierzęta, jak większość ludzi. Takich jak ja, jest niewielu. Tylko nie myśl synu, że uważam się za kogoś wyjątkowego. Nie jestem wyjątkowy, jestem zwyczajnie inny. Nie jest to wada i nie jest zaleta.

Nie czekam na reakcję syna. Lubię patrzeć jak tak słucha w milczeniu. Za życia nie chciał mnie słuchać, wolał mówić. Zawsze miał swoje zdanie i musiał koniecznie je wyartykułować. Po kim on to miał, nie wiem.

Wiem, wiem.

Po kolejnych dwóch szybko wypitych piwach skojarzenia z ostatnich dni wewnątrz głowy zaczynają falować. Nakładają się na siebie rozmaite przemyślenia i wnioski. Muzyka sprawia, że są one bardzo łatwe do zrozumienia, pojawiające się problemy niemal od razu znikają, podobne bańkom w gotującym się garnku. Jest bańka, pyk i nie ma, następna i następna, aż wszystko wystygnie, stanie się zimne jak lód.

Żeby nie tracić czasu, jeszcze raz podchodzę do baru, tym razem wystawiając jeden tylko palec. Nie mam zamiaru zwalić się tu na podłogę. Potrafię wprawdzie wypić i dwanaście, czternaście piw jednego wieczoru, ale nigdy nie mam pewności czy to akurat jest odpowiedni ku temu dzień. Tak przy piątym kuflu zaczynam nabierać ostrożności, by po kolejnych trzech przestać się w ogóle nad tym zastanawiać.

- Czternaście piw, tato, to chyba niemożliwie.

- Czy uważasz, że byłbym cię w stanie okłamywać. Jestem tu, żebyś dobrze mnie poznał, bo nie zdążyłeś tego zrobić, kiedy jeszcze żyłem, więc bądź tak dobry i nie zarzucaj mi kłamstwa. Skoro podaję liczby, możesz mieć pewność co do ich prawdziwości.

- W takim razie, musiałeś wydawać mnóstwo pieniędzy. Mogłeś mi za to coś kupić.

- Czy kiedykolwiek ci czegoś zabrakło?

- No, nie.

- Dobra odpowiedź. Miałeś wszystko, no, powiedzmy większość niezbędnych przedmiotów, a także całe mnóstwo absolutnie zbędnych. Nie powinieneś narzekać.

- Nie narzekam, staram się tylko zrozumieć, z jakiego powodu wydawałeś tyle forsy na takie... takie coś.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, synu. Odczuwałem potrzebę wyjścia cztery, może pięć razy w roku. To nie jest wiele. Musisz pamiętać, że nie byłem alkoholikiem, nic z tych rzeczy. W ogóle nie ruszałem na przykład wódki. Kiedyś może tak, ale od pewnego czasu wszystko się zmieniło. Pilnowaliśmy diety, ćwiczyliśmy i tak dalej.

- Ale ci to wszystko nie wystarczało, co?

Rozgarnięte chłopsko. Może coś z niego będzie.

- Do tej pory już powinienieś to wiedzieć. Powiedziałem ci tak dużo, że na pewno umiałbyś sam sobie dopowiedzieć resztę, gdybyś tylko mocniej się postarał. Zostawmy to na razie, miałem ci opowiedzieć o muzyce w moim życiu, o tym, że już mnie nie cieszyła. Popatrzmy co było dalej. Każde moje wyjście wyglądało mniej więcej tak samo, więc wystarczy ci ta jedna opowieść.

Piąte piwo wygania mnie do kibla. Nie straciłem jeszcze gruntu pod nogami, ale to już nie jest twardy grunt, zaczyna się rozmiękać, trzeba trochę siły, żeby podnosić nogi. Pamiętaj, że minęła dopiero godzina od mojego wyjścia z domu. Daję głośniejszą muzykę, bo z jakiegoś powodu nad pisuarem wisi głośnik grający jakieś najbardziej idiotyczne melodie, jakie kiedykolwiek słyszałem, cały ten nowoczesny szlam, który produkuje się seryjnie, jak gumki do majtek, a który nie ma w sobie więcej piękna niż gówno w kiblu. Już samo to wystarczy za powód do samobójstwa.

Odechciało mi się tego lokalu. Zaraz wychodzę.

I tu włącza mi się ten nastrój. Zdarza mi się to po raz trzeci w życiu. Nigdy nie byłem miłośnikiem tej idiotycznej wyliczanki, do trzech razy sztuka i tak dalej, ale tym razem zaczynam się nad nią zastanawiać. To nie do wiary, ale znudziło mi się, nie mam dokąd iść, na co popatrzeć. Muzyka gra jeszcze, ale i ona zaczyna mi przeszkadzać. Zdarza mi się to trzeci raz w życiu, to nie może być przypadek. Nigdy dotąd nie miałem ochoty wracać do domu po pięciu piwach, zwykle wtedy dopiero zaczynałem czuć się dobrze, zaczynałem być głodny życia, choćby i było wymyślone alkoholem. Wyobraźni mam w tej chwili tyle, ile wyssałem z kufli. Dwa i pół litra wyobraźni to nie jest wystarczająca ilość dla mojego umysłu, potrzebuję trzy razy więcej, żeby wymyślić nowe życie. Kiedyś to potrafiłem, teraz już nie.

Już nie. Coś się skończyło. Wielka szkoda.

Nie ma nic do zdobycia, cała ta ziemiska wycieczka dobiega końca, jest nudna i do niczego nie prowadzi. Gdybym tylko potrafił wymyślić chociaż pół powodu, choćby i byle jakiego, ale na nic moje starania. Głowa pusta, serce puste. Ostatkiem sił przycikam słuchawki do uszu i wybiegam z knajpy, jakby od tego coś jeszcze zależało. Słyszę tylko muzykę. To dobra wiadomość. Jedna z niewielu dzisiaj.

Delikatne dźwięki przeszywają mi nerwy, ale i tak nie jest to wystarczający bodziec do kontynuowania poszukiwań. Wygląda na to, że za jej pomocą odnajdę drogę powrotną do domu.

No to chociaż sobie zaśpiewam, skoro nic innego nie umiem wymyślić.

one, two, three, four
of the men who were loved by you
some were lookin for a woman to play
one who could venture to the empty rooms
and carry their bodies away

of course there's a ghost
and maybe one was a king
he whispered but never came through
one so alone, sad as a poem who hovered by the window
then flew
away from poison rainbows
away from fallen snow
away from stumblin' footsteps
away from so alone
but to lie down beside you
to feel the heart beat in your breath
to carry my song to you
to bury the words inside
is all i really want
twisted and simple,
you curled into the shoulder
of a joker that could not surrender
like some endless river,
he broke into the layers
sunsets darken the waters
of course there was laughter
in this shelter of strangers
in the rooms of "i love you"
"i love you"
one so alone, sad as a poem
who hovered by the window then flew
away from poison rainbows
away from fallen snow
away from stumblin' footsteps
away from so alone
but to lie down beside you
to feel the heart beat in your breath
to carry my song to you
to bury the words inside
is all i really want

Wyśpiewuję na cały głos. Nie obchodzi mnie, czy komuś to przeszkadza. Na dworze i tak jest już szaro, zimno. Żywej duszy, jakby cały świat zostawił mnie w spokoju, bo na nic się mu nie zdam, bo nie potrafię się z nim zcementować.

Wracam do domu, gdzie nie pali się już żadne światło, ani pod sufitem, ani w waszych sercach. Ląduję w łóżku i ostatkiem sił słyszę jeszcze tego dnia melodię, moją ulubioną, najważniejszą, która tyle razy wyprowadzała me kroki z ciemności, i która ostatecznie zamyka moje zmęczone oczy.

Sheets of empty canvas, untouched sheets of clay
Were laid spread out before me as her body once did
All five horizons revolved around her soul
As the earth to the sun
Now the air I tasted and breathed has taken a turn
Ooh, and all I taught her was everything
Ooh, I know she gave me all that she wore
And now my bitter hands chafe beneath the clouds
Of what was everything?
Oh, the pictures have all been washed in black, tattooed
Everything...

I take a walk outside
I'm surrounded by some kids at play
I can feel their laughter, so why do I sear
Oh, and twisted thoughts that spin round my head
I'm spinning, oh, I'm spinning
How quick the sun can, drop away
And now my bitter hands cradle broken glass
Of what was everything
All the pictures have all been washed in black, tattooed
everything...
All the love gone bad turned my world to black
Tattooed all I see, all that I am, all I will be...yeah...
Uh huh...uh huh...ooh...

I know someday you'll have a beautiful life, I know you'll be a star

In somebody else's sky, but why, why, why

Can't it be, can't it be mine

Nie mam na razie więcej do powiedzenia, więc milczę, przypatrując się synowi. Jest jeszcze coś, co nie pozwala mi się odezwać - wzruszenie. Wspominanie najistotniejszych fragmentów życia nie jest wdzięcznym zadaniem do spełnienia, szczególnie jeżeli nie umie się podejść do tego zadania z dystansem. Ważne jest także to, czy wspomnienia kierowane są do samego siebie, czy też do słuchacza.

W moim przypadku, pośmiertnych wspomnień kierowanych do własnego syna, zadanie wydaje się szczególnie trudne.

Syn ma załzawione oczy. Jego wargi poruszają się.

Chciał tego, sam tego chciał. Nie należy igrać z najbliższymi uczuciami. Można się poparzyć.

- Jak już dorosnę, też pójdę w ten sposób posłuchać muzyki.

Pewnie tak robi, nigdy nie widziałem, żeby odpuścił coś, co tam sobie wymyślił. Może nie zawsze kończyło się to zadowoleniem, ale przynajmniej się starał.

- Jedno mnie tylko dziwi - mówi, nie zważając na moje milczenie - dlaczego z nikim nie rozmawiałeś, dlaczego przesiadywałeś po knajpach sam.

- Czasem może i zaczępiąłem ludzi, ale już wtedy tak dużo wyobraźni w siebie wlałem, tak byłem nią nasiąknięty, że pewnie i tak nikt by za mną nie nadażył. Ja już przebywałem wtedy na innej orbicie.

Śmieje się.

Tak, to śmieszne, chociaż wcale nie zabawne.

Nagle cisza. Nie słyhać śmiechu syna, ani jakiegokolwiek ruchu. W naszym mieszkaniu, na dole, jest tak samo. Wszyscy śpiemy. Cisza i ciemność. Tylko z moich słuchawek sączy się szmer życia, lecz nikt tego nie słyszy. Może tylko ja, podświadomie, jak każdej nocy, słyszę i uczę

się, poznaję ciągle nowe. Podświadomie, bowiem alkohol skutecznie uspił moją czujność.

Wydaje się, jakby czas stanął w miejscu. Dla mnie czas już nie ma znaczenia, lecz gdzieś tam przebłyskuje świadomość jego istnienia. To jest porównywalne do bycia pewnym powietrza.

Syn, ten obok mnie, ani drgnie. Czyżby się coś zawiesiło? Jego wyobraźnia pewnie doznała przesycenia, przyjęła zbyt wiele wiadomości i potrzebuje nowej mocy, jak wyładowany akumulator. To się odbija także na mnie, istnieję tu i teraz na jego bateriach, moje już się wyczerpały, spaliłem je.

Pozostaje czekać. Nie jestem panem sytuacji, nie potrafię pomóc. Trzeba mi robić coś, czego przez całe życie nie potrafiłem – czekać. Czuję się, jakbym zawisł w pajęczej sieci, wysoko, między gałęziami drzew. Żeby tylko ten pająk nie okazał się większy ode mnie.

- Tato.

- Tak?

- Nie mogłeś jeszcze zostać, chociaż trochę?

Sam teraz się nad tym zastanawiam.

- Teraz to nie ma znaczenia. Nie można zawrócić czasu. Chciałbym, żebyś sobie to dobrze zapamiętał. Jak już coś raz zrobisz, musisz się liczyć z konsekwencjami.

- Szkoda. Będzie mi ciebie brakowało.

- Dasz sobie radę, synku. Musisz tylko panować nad sobą, musisz odnaleźć równowagę.

- Co to znaczy?

Gdybym ja to wiedział.

- Chodzi o umiejętność zbalansowania kilku rzeczy; marzeń, pracy, potrzeb, miłości, nienawiści, szacunku. Jeżeli wszystko będziesz miał na swoim miejscu, pod kontrolą, będzie ci łatwiej żyć, twoje dzieci ci zaufają, twoja żona uśmiechnie się do ciebie każdego poranka, zasłużysz na odwiedziny przyjaciół. Ja nie umiałem, u mnie wszystkie te rzeczy mieszały się ze sobą i od czasu do czasu inna

wypływała na powierzchnię, to z tego powodu byłem istną hustawką nastrojów, tak to przynajmniej rozumię.

- Jeżeli wiesz, co ci było, to dlaczego nie potrafiłeś sobie pomóc, znaleźć lekarstwa?

- Istnieje kilka chorób, na które nie ma lekarstwa.

- Nie szukałeś. - Jego ton jest oskarżycielski.

- Nie, synku, nie szukałem. Nie potrafiłbym.

- Mogłeś poprosić o pomoc kogoś, kto się na tym zna.

- Właśnie chodzi o to, że nie mogłem.

Wywraca oczami. Nic mu do nich nie wpadło, zwyczajnie, chce ukryć rozżalenie i nie potrafi inaczej.

Nic mu nie pomogę, nie po to tu jestem i on to wie. Może tylko słuchać, zadawać pytania, wyciągać wnioski. Ma podane na tacy, dokładnie wyjaśnione. Tylko w ten sposób mogę mu pomóc.

- Nie mówmy już o tym, synu. Niby po co? Ciesz się z tego, co masz. Jak się niedługo przekonasz, takie podejście do życia bardzo ułatwi ci jego pokochanie. Życie masz jedno, kochaj je.

- Ty nie kochałeś, prawda?

- Mylisz się, kochałem, potrafiłem je doceniać. Kiedyś budziłem się rano i potrafiłem się z tego cieszyć. Ale to było dawno, zamierzchłe czasy, nie pamiętasz ich. Ja sam już ledwie potrafię sięgnąć tak daleko pamięcią.

- Pomóc ci?

- To znaczy... - W głowie mam mętlik.

- Pytam, czy ci pomóc? No wiesz, cofnąć wszystko, tam...

- pokazuje palcem na naszą śpiącą rodzinę - na dole... Do czasów, o których mówisz.

- Nie, nie. To byłby zbyt duży skok. Mówimy o naprawdę zamierzchłych czasach. Nie możemy chyba tak skakać. Idźmy mniej więcej po kolei.

- No dobrze. Wyjaśniłeś mi sprawę muzyki. Co dalej? Były jeszcze inne pasje, które przestały cię pociągać. Wspomniałeś o trzech.

- Kolejna, to historia. Całe życie żałowałem, że nie zostałem historykiem. Może to była moja droga, zawód na całe życie, a ja nie miałem na tyle siły, żeby to zrozumieć? Przeszłość to taka interesująca dziedzina. Mogłem godzinami siedzieć i czytać książki historyczne, ale tylko oparte na faktach, nie interesowały mnie powieści historyczne, nie. Suche fakty, biografie, daty, powstawanie państw, wojny. Najbardziej interesował mnie dziewiętnasty wiek, oraz trzecia i czwarta dekada dwudziestego wieku, okres przedwojenny, sama II Wojna Światowa i kilka lat po wojnie. Bardzo interesujący okres. I jaki tragiczny. Myślę, że chyba najbardziej trudny do zrozumienia w całych dziejach ludzkości, bo jego tragizm został spowodowany przez najbardziej - czy to nie paradoks - rozwiniętych ludzi.

Natomiast w dziewiętnastym wieku fascynuje niesamowity rozkwit gospodarczy. Całkiem możliwe, że w tym okresie żyło najwięcej pomysłowych ludzi, więcej niż kiedykolwiek przedtem. Interesujące to było na pewno życie, nie takie bezproduktywne jak to współczesne. Wiele można by o tym mówić, czasu by zabrakło. I wiesz co, gdybym mógł wybrać okres, w którym chciałbym żyć, myślę że byłaby to wiktoriańska Anglia, wiktoriański Londyn.

- Pierwsze słyszę.

- Wiem, synu. Nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać. Ja nie lubiłem mówić, ty nie lubisz słuchać.

- Teraz słucham - wtrąca z wyrzutem.

-Tak. No, ale teraz jest już za późno. Za mojego życia nie potrafiłeś, zawsze chciałeś udowodnić, że wiesz, co ktoś chce do ciebie powiedzieć. Byłeś pod tym względem taki frustrujący, szalu można było dostać. Nie potrafiliśmy rozmawiać. Wiele rzeczy, których się teraz dowiadujesz, mogły być ci już znane, gdybym ja potrafił rozmawiać z tobą, a gdybyś ty zechciał mnie pytać. Nie umieliśmy tego.

- Chyba masz rację.

- Nie jestem tu, żeby kłamać. Okłamałem cię na początku naszego spotkania i pamiętam jak na to zareagowałeś, nie

chcę żebyś cierpiał. Przyjmij za fakt wszystko, co tu usłyszysz. Sama prawda. Goła, bez owijania w bawełnę.

- Dziękuję.

- Drobnostka. Ale, do rzeczy. Życie w wiktoriańskiej Anglii to byłoby coś dla mnie, jestem tego pewien. Surowość tamtych czasów, ich siła. Może i ty byś się tam odnalazł, mama? Nie wiadomo. Każde z nas miało w sobie wiele siły, masę pewności siebie, lecz nie potrafilimy się tym dzielić, nie było nam dane tych sił połączyć. Czasem myślałem, może trafiliśmy w złe czasy, może mamy w sobie za dużo siły na trwanie w tych beznadziejnie nudnych czasach? Bo uważam nasze czasy za cholernie nudne, ponadto uważam, że znakomitej większość współczesnych ludzi nie obchodzi nic, co się znajduje dalej niż metr od ich własnego nosa. Wstyd przyznać, ale i ja z czasem dałem się zamknąć w tych ramach. Jak widzisz, pojawił się wtedy kolejny powód do zniknięcia na zawsze. Było nim uświadomienie sobie własnej niewrażliwości na uczucia innego człowieka. Ów fakt sprawił, że zacząłem głęboko zastanawiać się nad genezą tej postawy. Postawy nowej dla mnie, dopiero co zlokalizowanej.

Chyba moje słowa nie znajdują u niego poklasku, bo z niedowierzaniem kiwa głową.

- Tak? Coś ci nie pasuje?

- Masz rację, tato. Nie pasuje mi. Po prostu uważam, że gadasz bzdury. Trochę cię poznałem, zaczynam wczuwać się w twoją duszę, zaczynam nawet myśleć tak samo, jak ty. I wiesz, co? Takim jak ty nigdzie nie byłoby dobrze; w innych czasach, w innych krajach, na księżycu też nie. Wmawiałeś sobie, że wolałbyś żyć w innych czasach, ale nawet gdyby się tak stało, ty byłbyś wciąż sobą. Zmieniło by się otoczenie, nie twoje wnętrze. Zaraz zaczęłbyś szukać dziury w całym. Tam także nie znalazłbyś przyjaciół.

- Może i tak.

Niezbyt to pocieszające. Według własnego syna byłem człowiekiem, który nie potrafi się przystosować, nie umie

współżyć z ludźmi. Przynajmniej dobrze słucha, co do niego mówię, skoro dochodzi do takich wniosków. Zaczyna rozumieć coraz więcej i widzieć mnie takim, jakim byłem naprawdę. To wielki sukces. Będzie miał wszelkie szanse być innym niż ja człowiekiem, jeżeli tylko mocno się o to postara. Złe nawyki ma podane jak na tacy. Wystarczy tylko spojrzeć na nie pod odpowiednim kątem. Moim zdaniem jest na najlepszej drodze do dokonania tego, jest w nim więcej siły niż było we mnie. I chociaż za mojego życia skłaniał się ku podążaniu za błędami swojego ojca, to ostatnie wydarzenia zaczynają odciskać swoje piętno na jego umysłowości. Cieszę się. Tylko tak dalej, synu, tylko tak dalej. Nie poddawaj się.

Nie mówię tego na głos, ale on i tak przecież słyszy. Kiedyś nie słyszał moich myśli, więc nie mógł wiedzieć, że życzę mu wszystkiego najlepszego. Ależ byłem głupcem. Jak można nie powiedzieć własnemu synowi, że jest się z niego dumnym, że ma w nas oparcie?

Do diabła! Życie mogło być przyjemne, wystarczyło tylko się trochę otworzyć, dać jakiś znak, zasygnalizować, że mnie obchodziło. Zamiast tego łąziłem nabuzowany, zły na cały świat, jakby to on był wszystkiemu winien. Zawsze myślałem, że był. Współczesny mi świat nie dawał szans na godne życie. Jego istnienie wydawało się takie przypadkowe. Zbyt dużo było w nim idiotów, którzy innych mieli za nic. Sam taki byłem. Idiota z popędem do zwalania winy na coraz to nowe wydarzenia, choćby były one spowodowane przez niego samego. Nic nie chciało się zmienić. Ciągle to samo i tak samo.

- Czy nie do nas należy dokonywanie zmian?

- Tak właśnie myśl synu, nie inaczej. Twoja szansa jest właśnie w takim pozytywnym myśleniu. Przychodząc na mój grób, niech ci się nie wydaje, że nie możesz zwać na mnie winy. Wygarnij mi wszystko, nic się nie bój. Mów do tej kupki ziemi, która skrywa twoje najgorsze koszmary. Poczujesz się lepiej, nabierzesz siły.

- Więc przyznajesz mi rację, tato?
- Oczywiście. Miałem na ciebie zły wpływ, nie ma co się oszukiwać. Czy mogę cię o coś poprosić?
- Wal jak w dym.
- Opowiedz mi, co robiliście z mamą, kiedy ja wychodziłem słuchać muzyki.
- Kiedy chodziłeś chlać, to masz na myśli?
- Nie bądź taki cyniczny, taka postawa nie przystoi młodym ludziom.
- Przestań się wymądrzać, tato. Nazywaj rzeczy po imieniu, co masz zresztą do starzenia. Po co szukać usprawiedliwienia w słowach? Jeżeli nazwiesz coś inaczej, nie zmieni to wcale istoty tego czegoś. Będziesz się tylko oszukiwał. Będziesz oszukiwał otaczający cię świat. I tylko przegrasz. Już to zrobiłeś, już przegrałeś.

Jeszcze mnie nie przysypali ziemią a on już sobie dokazuje, już czyni zadość moim, niedawno usłyszonym wskazówkom. Szybko się chłopak uczy.

- Chcesz usłyszeć, co robiliśmy z mamą, kiedy wychodziłeś chlać... przepraszam, kiedy chodziłeś słuchać muzyki?

- Bardzo mnie to interesuje.

Często pytałem o to żonę, naprawdę chciałem wiedzieć. Częste okresy milczenia, schodzenia sobie z drogi, kiedy to nie potrafiliśmy nawet udawać, że interesujemy się naszymi losami przetykane były dniami, kiedy zachowywaliśmy się jak normalna rodzina, to znaczy w takim stopniu, na jaki było nas stać, ani trochę ponad to. Pewnie dla innych nie byłyby to normalne dni, ale nie potrafiliśmy inaczej. Tak po prawdzie to nawet nie wiem na jakich zasadach funkcjonowały inne małżeństwa, nie było z kim na ten temat pogadać, nie było do czego porównać.

Mniej więcej pamiętam co ona mówiła na temat godzin podczas których zostawali sami, beze mnie. Jednak dobrze będzie poznać opinię drugiej części tego duetu.

- Przede wszystkim wypuszczaliśmy z siebie powietrze. Dało się słyszeć westchnięcie ulgi - zaczyna mój syn.

Niezły początek. Normalnie nie mogę się pozbierać. A to dopiero dwa zdania. No i moja żona nic takiego nie mówiła. Może niech chciała mnie denerwować?

- A potem mama nastawiała któryś z programów muzycznych w telewizji i dawała naprawdę głośno. Wyglądała na taką rozluźnioną, że i mnie zaraz się to udzielało. Śpiewaliśmy sobie, czasem nawet tańczyliśmy, nikt nam nie przeszkadzał, nie kazał ściszyć. Mama dużo ze mną rozmawiała, całkiem inaczej niż ty. Potrafiła wprowadzić mnie w taki nastrój, że mógłbym jej powiedzieć wszystko, zwierzyć się z najgłębszej tajemnicy. Widzisz, tato, twoja nieobecność naprawdę ściągała nam z pleców olbrzymi ciężar, czułem lekkość i radość. Mogliśmy wtedy wszystko.

- Nie wiedziałem, że tak czujecie.

- Może to zabrzmiało niewiarygodnie, ale ci wierzę.

- Niewiarygodnie?

- Słuchaj, tato, ja nie potrafię sobie wyobrazić, że nigdy nie zastanawiałeś się nad swoim zachowaniem. Powinieneś zobaczyć siebie z boku, usiąść i spokojnie pooglądać. Wtedy może byś się zmienił, może nabrałbyś dystansu do samego siebie.

- Więc mi pokaż.

- To dobry pomysł. Porównamy dwa wieczory, taki, podczas którego byłeś w domu i zaraz potem inny, gdy zostałem tylko z mamą.

- Dobrze, zobaczmy.

- Z uwagą obserwujemy scenę na dole. Dawno tam nie zaglądaliśmy, za bardzo będąc skupieni na rozmowie o moich zainteresowaniach, o tym, jak przestały mnie interesować. Ale teraz gapimy się jak sroki w gnat. To może być interesujące.

Nasza trójka wchodzi do domu. Widzę, że syn wybrał taki dzień, podczas których ja i żona jesteśmy w mniej więcej

przyjacielskich stosunkach. Na dworze jest ciemno, choć to dopiero szósta wieczorem. Jesień trwa w najlepsze. Zanim jeszcze w przedpokoju zapali się światło, już słyhać mój głos. Narzekam na zimno panujące na dworze. Używam wulgarnych słów, ton także nie jest przyjemny. Nikt mi nie odpowiada. Syn w butach przechodzi przez przedpokój, swoim zwyczajem od razu włącza komputer, po czym znika w głębi mieszkania. Już zapomniałem o zimnie, teraz drę się na niego, że nie zdjął butów, a kto będzie po nim odkurzał, po jaką cholereę od razu włączył komputer, skoro nawet jeszcze nie zajrzał do lekcji. Żona na razie milczy, ale kiedy tylko zapala się światło widzę, że minę ma zawziętą. Wargi ściśnięte i wąskie. Chce walki. Już ją moje marudzenie wkurza, zaraz pewnie wtrąci swoje trzy grosze, nie wiadomo tylko czy przyłączy się do mnie i zacznie besztuć syna, czy też stanie po drugiej stronie barykady i powie coś w jego obronie. Trudno jednoznacznie stwierdzić, może w tej chwili zrobić wszystko. Nigdy się nie dowiedziałem, od czego to zależało. Przestań się go czepiać – więc jednak jestem sam przeciwko im dwojgu – przecież musiał lecieć zrobić kupę, nie mógł myśleć o butach. Typowe tłumaczenie, które zwykle doprowadza mnie do szału. Ona to wie.

Patrzę na siebie, tam na dole, i już wiem, że na tym się nie skończy.

Żywy ja ściągam buty i przechodzę do kuchni. Kładę torbę z zakupami i krzyczę do żony, żeby zamknęła drzwi, bo wieje, i niech zaraz każe dziecku brać się za lekcje, nie ma na co czekać, a on za pięć ósma będzie chciał jeść kolację, chociaż jedzenie o tej porze, jak wszyscy wiemy, to zwykle wtłaczanie w siebie fałdów tłuszczu, a grubasy mają w życiu ciężko i krótko żyją.

Patrzę na to wszystko w skupieniu, ale nie potrafię powiedzieć, żebym był zawstydzony. Przecież nie mówię niczego dziwnego. Wszystko to prawda. Syn trąca mnie łokciem.

- Może i prawda, ale popatrz na siebie, czy nie widzisz śmieszności swojego zachowania? Takie charaktery widuje się tylko na filmach, w dodatku są to przeważnie żeńskie charaktery.

Nic na to nie mówię. Zainteresowanie okazane obserwowanej scenie nie pozwala mi się zastanawiać nad słowami syna.

Tam na dole, ja i syn stajemy twarzą w twarz nad kuchennym stołem. Syn podnosi głos, twierdzi, że nie dalej jak wczoraj ja sam przeleciałem się po mieszkaniu w butach, śpiesząc się zgasić gazówkę. O, to co innego, to była sytuacja awaryjna. Syn od razu krzyczy, że jego sranie to też jest sytuacja awaryjna, a w ogóle to się czepiam, bo mama też ciągle chodzi w butach i nikogo to nie obchodzi. Na te słowa od razu każę mu iść do swojego pokoju i zabrać się za robotę, bo za czterdzieści pięć minut ma się iść myć. Boże, no to się pójdzie myć za godzinę, słyszę zaczepny ton żony z sąsiedniego pokoju, nie będziesz mu wyliczał czasu. W tym domu dzieciak chodzi się myć o konkretnej, zawsze tej samej godzinie, tylko w ten sposób nauczy się systematyczności. Nie daję za wygraną. W tym domu nikt nie daje za wygraną. W ten sposób, to on wpadnie w depresję a potem zamkną go z psychiatryku, już jest kłębką nerwów. To znowu moja, nie dająca za wygraną żona.

Siłą woli zaglądam do pokoju, w którym siedzi.

Chcę zobaczyć jej minę, kiedy tak szczeka do mnie.

Wiedząc, że jej nie widzę krzywi twarz w geście przedrzeźniania, dodatkowo pogłębiając wyrażanie uczuć wystawieniem w stronę, gdzie według niej się znajdują swojego szczupłego środkowego palca. Ładnie, ładnie, nie dziwota, żeśmy się nie mogli dogadać, kiedy i jedno, i drugie robiło takie gesty i miny za plecami drugiego.

Wracam do kuchni i czekam na swoją reakcję. Mija mnie syn i z niezadowoloną miną idzie do swojego pokoju. Trzaska przy tym drzwiami. Proszę - to znowu ja, ten w

kuchni, drę się do żony - proszę, to właśnie produkt twojego pobłażania, jeszcze trochę a zamiast trzasnąć drzwiami, trzaśnie cię pięścią w twarz, wtedy może poniewczasie docenisz odrobinę dyscypliny w wychowaniu dziecka. Dyscyplinę to ja mu będę wydzielala, póki co to zajmij się sobą. Wchodzę do toalety i widzę - ten ja, obserwujący scenę z góry - że ja na dole łapię się za głowę, choć tu i zobacz, nawet gówna nie spuścił, przecież aż się rzygać chce na takie coś.

Patrzę na to wszystko z mieszanymi uczuciami. Nie bardzo potrafię uwierzyć, że tam na dole to ja. Zachowanie tego człowieka zwyczajnie nie pasuje do wyobrażenia jakie miałem na własny temat. Myślałem o sobie jako o inteligentnym, rozwiniętym człowieku, może tylko nieco ekstrawaganckim, mającym swoje zdanie i potrafiącym go bronić. Ale na dole widzę kogoś zupełnie innego, jakiegoś straszego kretyna. Jego arogancja, buta, pewność siebie są tylko i wyłącznie oznaką, tak myślę, niespełnienia, ukazują jego charakter jako obrzydliwą mieszaninę tchórzostwa i chęci rządzenia, bycia w centrum uwagi i tęsknotę za tłumami wielbicieli. Czy naprawdę taki byłem? Jeżeli tak, to jednocześnie byłem największym ślepcem, jakiego tylko można sobie wyobrazić. Chociaż nie jest to przyjemne, obserwuję nadal.

Żona znowu krzyczy na dzieciaka. Idź i spuść wodę, czy ty na głowę upadłeś, ile razy trzeba ci przypomnieć, że masz spuszczać gówno za sobą. Codziennie gówna pływają w kiblu, bo ty nie możesz zapamiętać tak prostej czynności, jak spuszczenie wody. Ty sobie w życiu nie dasz rady. Dołączam do żony. Wyśle się go do poprawczaka, to sobie go tam wychowają, bo ja już nie dam rady, można mówić jak do ściany, a i to nie na pewno. Ściana jest lepiej rozwinięta psychicznie przecież, i co, robisz lekcje, dawaj, dawaj, niedługo trzeba do wanny, a to jeszcze taki dzień, że trzeba głowę umyć, kiedy ostatnio myłeś, chyba ze cztery dni temu, ja to bym nie mógł nawet jednego dnia

wytrzymać, zaraz bym musiał się drapać po łbie. Żona się zgadza, jak on będzie mył głowę, to trzeba go przypilnować, bo on tylko spłukuje samą wodą i udaje, że mu szampon w oczy wszedł, już go raz na tym przyłapałam. No i co tak stoisz, nad czym się modlisz, goń do wanny, woda leci na darmo, ty nie płacisz.

Obojętnie, które z nas to mówi. Nawet już nie patrzę. Rzucamy się na dzieciaka, niczym sępy na ranne zwierzę, każde chce urwać coś dla siebie, chce podbudować swoje ego, pokazać, jakie to nie jest władne i mądre. W tej chwili czuję zwyczajne obrzydzenie. Scena na dole zatrzymała się, jakby moja do niej nienawiść jej to nakazała. Pewnie jednak to mój syn ją zatrzymał, chcąc mi może oszczędzić zażenownia. To miłe z jego strony, chociaż nie powinien się w tej chwili przejmować moimi uczuciami. Powiniennem dobrze się napatrzeć, bo życie tej rodziny było czymś tak dziwnym, że aż niewiarygodnym. I niby dla mnie nie ma to już żadnego znaczenia, ale powinien mi to pokazywać za karę, bo przecież za takie zachowanie powinienem ponieść jakąś karę.

- Co ty na to? - Minę ma twardą, oczy szeroko otwarte.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Tyle tylko przychodzi mi do głowy.

Sam jeszcze nie przetrawiłem oglądanych scen, wypowiedzianych tam słów.

- Tak jednak wyglądało życie z tobą w domu. Nie było chwili oddechu, wszystko chciałeś kontrolować, ciągle wydawałeś polecenie, jakby to był jedyny cel twojego żywota. Nie dawałeś odpocząć od siebie. Ciągle trzeba było słuchać twoich opinii na różne tematy. Męczące, strasznie męczące. Nie potrafiłeś słuchać, ciągle przerywałeś.

- Robiłeś dokładnie tak samo.

Nie powinienem tego mówić, ale skoro cała ta afera ze sprowadzeniem mnie w celu wspominek ma spełnić swoje zadanie, to należy mówić wszystko co leży na sercu.

- Bo inaczej nie potrafiłem. Patrząc na was przez tyle lat, myślałem, że tak trzeba. Ja jestem młody, nie wymagaj za wiele. Taki sam byłeś za życia. Wymagałeś cudów ode mnie, ale sam nie zdawałeś się zbytnio trudzić nad powiększaniem wiedzy. To już nawet mama była lepsza od ciebie, zapisała się do szkoły.

- Czy ty nie potrafisz zrozumieć, że wszystko przestało mnie interesować. Przyjmij to wreszcie do wiadomości i może wtedy przestaniesz być taki strasznie oskarżycielski. Ja nie potrafiłem inaczej, nie potrafiłem.

- Powinieneś zacząć się leczyć.

Znowu to samo.

- Już ci mówiłem. Nie potrafiłbym dzielić się swoimi myślami z innym człowiekiem. Nie dzieliłem się z bliskimi, więc co dopiero mówić o obcych. To nie wchodziło w grę.

- Ale...

Muszę mu przerwać, bo kółko zaczyna się zamykać i nasze spotkanie powoli przypomina rozmowę dwóch ślepców na temat wiszącego przed nimi obrazu.

- Słuchaj mnie, synu. Nie komplikujmy sobie sprawy. Chciałeś popatrzeć na moje życie, posłuchać moich o nim opinii, zrozumieć powód samobójstwa. I niech tak właśnie będzie. Nie zmienisz już nic swoim gdybaniem, ciągłym wytykaniem mi błędów. Tak było, jak taki byłem, przyjmij więc fakty i ucz się, oceniaj, używaj sobie ile tylko chcesz, ale przestań nareszcie przypominać, co robiłem źle. I ja i twoja matka nie potrafiliśmy inaczej. Ona była spokojniejsza, umiała rozmawiać z ludźmi, przy niej masz jeszcze szansę się zmienić. Ze mną w obwodzie nie byłoby to możliwe, dlatego odszedłem. Szkoda więc twojej energii, niepotrzebnie starasz się dotrzeć do tych dalekich, czarnych odchłani naszej skomplikowanej sytuacji rodzinnej, której nawet dorośli nie potrafili zgłębić.

- Masz rację, przepraszam. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Może się zagalopowałem. Wiesz co, kontynuujmy

naszą podróż. Już nie będę cię oceniał, nie będę się wymądrzał. Na czym stanęło, bo trochę namieszaliśmy?

- Miałeś opowiedzieć mi, jak wyglądały godziny, kiedy byliście z mamą sami.

- Już mówiłem.

- Zaczęłeś, to prawda, ale potem to poszło w inną stronę. Tak dużo mamy sobie do powiedzenia, że wciąż się nam te wspomnienia rozrastają i mieszają, ale chyba nic na to nie można poradzić.

Patrzy przed siebie, smutny i poobijany, jakby potrącił go samochód.

- Byliśmy spokojniejsi, to na pewno. Nie wisiał nad nami miecz twojego ciągłego narzekania. Każde z nas mogło bez obaw wyrazić siebie, podzielić się z drugim wrażeniami. Mama zadawała mi dużo pytań, interesowały ją moje zapatrywania na różne sprawy. I potrafiła słuchać. Żebyś widział, jak ona potrafiła słuchać. Tak czuje się chyba babcia opowiadająca wnukom bajkę; te wpatrzone w wargi oczy, zaczerwienione policzki, szybszy oddech. Mama tak wyglądała. Podobało mi się to. Ona naprawdę chciała wiedzieć. Potrafiłem to docenić i dlatego pewnie tak łatwo przychodziło mi do niej mówić. A potem robiliśmy sobie jedzenie, takie zwykłe, niezdrowe, którego przy tobie nie można było jeść, bo zaraz zaczynałeś swoje mądrości na temat złego żywienia. Mama nie miała takiego pierdolaca na tym punkcie.

Klnie jak pijany szewc. Moja szkoła, niestety. I trochę żony. Też nie przebieraliśmy w słowach.

- Jedliśmy i oglądaliśmy programy, które ty uważałeś za idiotyczne. Dla mamy nie było ważne, że one niczego nas nie uczą. Programy rozrywkowe mają bawić i myśmy się przy nich bawiliśmy. O, to oddaje sedno naszego przebywania bez ciebie. Potrafilismy się razem bawić, odpoczywać przy tej zabawie. I wyobraź sobie, że bez problemu odrabiałem zadania, czytałem, sprzątałem pokój. Mama potrafiła mnie kłaniać do pracy, umiała uczynić z niej

nie przykry obowiązek, ale kolejny krok ku dobrej przyszłości. W jej ustach polecenia nie brzmiały jak rozkazy jakiegoś nawiedzonego generała, używała normalnego, przyjaznego tonu. To wiele dla mnie znaczyło. Czułem się jak partner w rozmowach, a nie jak poniewierany podwładny. Widzisz, różnica między nią a tobą to była ogromna przepaść, byliście w stosunku do mnie niczym ogień i woda.

Znowu mi dokłada. Jedzie mi po sumieniu, jak tylko dziecko potrafi. Śpiewali sobie, tańczyli, rozmawiali, szanowali, kochali się. W tych trudnych warunkach nie mieli zamiaru odkładać życia na później, musieli nadrabiać stracony czas.

- A czy rozmawialiście na mój temat?

- Tak.

- Opowiesz o tym?

- Jeżeli uważasz, że powinieneś wiedzieć.

Zagrywa mocno, chce uciec, lawiruje. Czego to teraz w szkole nie uczą.

- Chciałbym wiedzieć. - Bo przecież nie muszę.

- Raz zapytałem mamę, dlaczego wychodzisz wieczorami, dlaczego nas zostawiasz samych. Myślałem, że zrobiliśmy ci coś złego. Ależ się z tego śmiała, aż jej łzy poleciały. Jednak nie dałem się na ten śmiech nabrać, ani na moment. Zdradziły ją oczy. Były zbyt poważne jak na taki rodzaj nastroju. Śmiech wywołuje łzy tylko w spokojnych oczach. Tamte szalały. Mogłyby topić wosk, albo nawet żelazo.

- I co ci odpowiedziała?

- Już nie pamiętam dobrze.

To nieprawda. Syn mnie okłamuje. Ma doskonałą pamięć, wiele razy mogłem się o tym przekonać. Potrafił na przykład opisać swój strój, w którym występował na przedszkolnym balu, czyli w wieku trzech, czterech lat. Innym razem przypomniał nam plamę na tylnym siedzeniu w naszym pierwszym samochodzie. Przecież nie mógł tego

pamiętać, sprzedaliśmy ten samochód, kiedy skończył dwa i pół roku.

Tak więc, niech mi tu nie wciska ciemnot o słabej pamięci. Jego pamięć jest wybitna.

- No dobrze. Mówiła o znudzeniu. Niby mężczyzna potrzebuje od czasu do czasu popuścić wodze fantazji, przypomnieć sobie młodość, poudawać bohatera.

- Ja chodziłem słuchać muzyki...

- Po pijaku, bo na trzeźwo nie dawała ci już radości, tak, już to mówiłeś.

- ... To jest prawda...

- Niby mężczyzna powinien mieć czas na życie pozarodzinne. Takie rzeczy mi mówiła, ale nie brzmiało to szczerze. Pewnie wołała, żebyś był z nami.

- Nie potrafiliśmy być koło siebie zbyt długo.

- Zaczynam w to wierzyć. Już tyle razy powtarzałeś te słowa, że w końcu uwierzę na pewno.

- Sam sobie jeszcze raz wróc pamięcią do sytuacji, kiedy zostawałeś sam z mamą, masz to?

- No.

- Oto i masz dowód. Beze mnie miłość, szacunek i szansa na rozwój, ze mną - nerwy, uczuciowa pustka i niepewność. Koniec, kropka.

Już straciłem rachubę, ileż to razy zostawiłem go w zamyśleniu. Znowu mi się to udało. Czy potrafiłem to robić za życia? Chyba tylko ze złych powodów.

Będąc jeszcze młodym człowiekiem, kawalerem, lubiłem wyobrażać sobie, jaki to będę wspaniały dla moich dzieci. Oczami wyobraźni widziałem miłego, ustatkowanego człowieka, który potrafi wzbudzić u swoich dzieci zainteresowanie życiem, jest im nauczycielem, drogowskazem, towarzyszem zabaw, a nade wszystko ostatnią instancją, jeżeli jest im źle i potrzebują pocieszenia. Życie szybko zweryfikowało te wyobrażenia. Zamiast dzieci było tylko jedno dziecko, syn, który zamiast światłego nauczyciela poznał w swoim ojcu sfrustrowanego

marudera. Jak niesamowicie różne bywa prawdziwe życie od tego wymarzonego.

Jakim pocieszeniem, ostoją może być dla własnego dziecka człowiek, w którym na próżno szukać choćby cienia radości życia? No, jakim? A no żadnym. Zamiast tego, może stać się dla dziecka niebezpieczny. Przemyka się taki człowiek przez życie jak tchórzliwy szczur pod murem, pragnąc tylko jednego, żeby dzień się już skończył, i żeby on mógł nareszcie zamknąć oczy, bo dopiero tam, za tymi szczelnie zamkniętymi oczami, może poczuć się nareszcie bezpieczny. Jest to jednak bezpieczeństwo złudne. On to wie. Z nastaniem dnia przybywa trosk, zwiększa się liczba strachów, są coraz bardziej przeraźliwe.

I nagle przychodzi ten moment. Z mętów własnej bezsilności wyłania się wyjście z sytuacji. Zamknąć oczy na zawsze. Proste i genialne. Kiedy taka myśl się pojawia po raz pierwszy, człowiek czuje tylko niedowierzanie, że w ogóle potrafił coś takiego wymyślić. On? Bzdura. On nie jest taki. Potem jednak myśl pojawia się znowu, już nie jest taka dziwna, obca. Za chwilę pokazuje się całe mnóstwo powodów, dla których myśl nabiera coraz większego sensu. Powody zapuszczają korzenie, są przecież świetnie nawożone, nawozem jest narastająca bezsilność. Na tym gruncie myśl dojrzewa, rozrasta się niczym upierdliwy chwast, ale już nie traktuje jej się jak pasożyta. Zaczyna rządzić. Wtedy jest z górki.

- Tato, jest mi tak przykro.

- Mnie też.

- Wiem jedno - mówi dalej - minie bardzo dużo czasu, zanim będę umiał przywyczaić się do życia bez ciebie, nawet jeżeli nie byłeś taki, jakim chciałem, żebyś był.

- Może mniej niż myślisz.

- Dlaczego to mówisz?

- Bo tak myślę. Będzie ci trudno, na pewno, ale pozostaje ci tylko walczyć o siebie, o swoje życie. Z pomocą mamy powinno ci się udać. Ona ma na ciebie taki dobry wpływ,

musisz to docenić, nie daj jej powodów do płaczu, nie pozwól, żeby w ciebie zwątpiła. Ona ci odpłaci całą sobą, będziesz miał oparcie na całe życie. A potem założysz własną rodzinę.

- Nie wierzę w rodzinę.

- Bzdura. To, że raz się poparzyłeś nie oznacza, że nie będziesz już nigdy więcej próbował ogrzać się przy ognisku.

- Jestem zagubiony.

- To już brzmi lepiej. Zagubienie to zwykły stan dla człowieka, każdy w pewnym momencie swego życia jest zagubiony. Nie możesz się poddawać. My nie daliśmy rady, trudno, ale tym bardziej powinieneś walczyć o swoją szansę do życia. Może wbrew pozorom nie jest to takie trudne do osiągnięcia? Albo...

- Tak?

- Wiesz, czasem mi zdaje, że za bardzo pragnąłem szczęścia i dlatego byłem taki rozdrażniony, nie umiałem się na niczym skupić, nie potrafiłem kochać. Może trzeba inaczej?

- Jak?

- No, może... Nie myśleć za dużo o ciągłej gonitwie za spełnieniem. Zbyt duże oczekiwania względem swoich sił, to mogło być przyczyną mojej narastającej frustracji. Mądrzy ludzie mawiają, że wyżej dupy nie podskoczysz. Powiniennem się tego trzymać.

- Nie da się jaśniej?

- Czy ja wiem? Popatrz, prawie zawsze dostawałem to, czego chciałem. Czasem dokładnie to, czasem tylko w miniaturze, ale potrafiłem docierać do celu i nawet nie musiałem się bardzo wysilać. Ale potem zawsze się okazywało, że mnie to nie cieszy. Taki człowiek jak ja nie ma wyjścia. Może wymyślać nowe wyzwania, może kombinować na wszystkie strony, a i tak na koniec zostaje frustracja. Ile razy jeden człowiek jest w stanie przełknąć gorzką pigułkę? Kilka razy na pewno, jest w człowieku siła, ale w pewnym momencie przychodzi chwila zastanowienia.

Co jest nie tak? Jakiej cholery nie możesz się cieszyć tym, co masz? Nie ma odpowiedzi. Nie może być. Jeżeli ktoś jest popsuty od środka, musi nauczyć się z tym żyć, albo przegra. Ja przegrałem, wielu mi podobnych przegrało.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że nic na świecie nie sprawiało ci radości.

- A ja mogłem? Także nie. Ale pewnego dnia to właśnie zauważyłem. Nic mnie nie cieszyło, nic dosłownie. Choćbym i szukał całymi dniami, całymi nocami, rezygnując ze snu. Szukałem, nie mogę powiedzieć, że nie. Zawsze gdzieś tam tli się nadzieja. Z każdym dniem słabiej. Znika. Zawałałem noce, szukałem po ciemku

- No to jesteśmy inni, bo mnie trochę rzeczy cieszy. Powinieneś poczekać z samobójstwem, ja bym się z tobą podzielił moimi radościami, zrezygnowałbym z kilku na twoją rzecz.

- Człowiek musi znaleźć swoje własne radości, swoje, niepowtarzalne. Każde inne, jakieś pożyczone, darowane mu będą tylko i wyłącznie namiastką zadowolenia. A namiastka nigdy nie zastąpi meritum.

- Mama dobrze mówiła, ty nie chciałeś się zmienić.

Bombardowanie mnie podobnymi rewelacjami nie ma sensu. Niczego nie zmieni. A on dalej swoje. Wciąż to samo. Młody jest, niech sobie gada, jeżeli może przez to poczuć się lepiej. Następne kilka dni, tam na dole, będzie dla niego trudne. Pogrzeb, zjazd rodzinny, wspomnienia. Nikt nie jest przygotowany na śmierć bliskiej osoby.

- Chciałem, nie chciałem, skąd możesz wiedzieć, skąd mama może wiedzieć. Mogłem chcieć, to bardzo prawdopodobne, każdy by chciał mieć powód do radości. Synu, posłuchaj raz jeszcze. Byłem w strasznym stanie, naprawdę. To była nieoperacyjna depresja, terminalne stadium samotności.

- Samotności? Jak mogłeś być samotny, mając nas?

- O, to już jest wyższa wiedza. Tego nie da się zrozumieć, jeżeli nie ma się wrodzonych zdolności. Ja nie miałem. Sam

chodziłem zdziwiony.

- Zaraz, zaraz. Przecież ty nie lubiłeś ludzi, wolałeś właśnie być sam. Nawet mama nieraz mówiła, że tylko czekasz aż pójdziemy spać. Podobno wtedy czułeś się najlepiej.

- Tak było tylko do czasu. Potem mi się znudziło, ale już nie potrafiłem przywrócić stanu poprzedniego. Wstydziłem się was zawołać.

- Nie wiem czy ci współczuć, czy raczej sobie darować. Przecież wszystko wskazuje na to, że sam sobie kręciłeś stryczek na szyję.

- Dobrze powiedziane, synu.

- Byłeś mocno stuknięty.

- Już ci mówiłem.

Nazywam swoją chorobę po imieniu, teraz nic mnie nie może powstrzymać, bariery zaniknęły w momencie skoku z gałęzi. Za życia nie jest to łatwe, w człowieku istnieje zbyt wiele granic. Kiedy przychodzi szczególnie zły okres, granice przybliżają się do siebie, okrążają umysł, napierając na niego ze wszystkich stron. W takiej chwili najczęściej pojawia się atak paniki. Serce ma ochotę rozwalić klatkę piersiową, żyły prężą się, trzeszczą, w głowie powstaje szum. Nie wiadomo gdzie szukać ratunku. Palce same szukają tego specjalnego miejsca na skroni, gdzie mogą wyczuć puls. Jego istnienie daje odrobinę wytchnienia, jest jedynym w tej chwili punktem zaczepienia. Ciało zaczyna się trząść, co tylko pogarsza sytuację. Panika wzmagą się. Trudniej łapać oddech. Trzeba szukać lustra. Szybkie spojrzenie w szklaną tafłę może być pomocne, ale nie musi.

- Człowiek, synu, może się zmienić, owszem, ale musi to zrobić do pewnego wieku. Myślę, że dla każdego człowieka jest to inny wiek, bo nie ma dwóch takich samych ludzi. Może przegapiłem odpowiedni moment? Wiesz, kiedyś sprawiało mi przyjemność wmawianie sobie umiejętność wprowadzania się w stany depresyjne, lubiłem zgrywać podminowanego faceta, który w swoim smutku jest

uprzywilejowany do pierszeństwa, jeżeli chodzi o otarcie się tajemnicę życia. Głupie zachowanie powiesz i będziesz miał rację, ale nie zmieni to faktu, że znajdowałem pocieszenie w fakcie bycia takim smutnym, tajemniczym gościem. Płynęła z tego jakaś siła, moc.

- To musiało być, zanim się urodziłem.

- Zanim się urodziłeś, te stany były częste i niezwykle intensywne. Kiedy pojawiłeś się w moim życiu, zacząłem inaczej patrzeć na świat, wiele rzeczy musiało zostać zmienione. Dobrze ten okres wspominam, nie było czasu na zbyt wnikliwe zastanawianie się nad swoimi problemami, doba wydawała się za krótka, w tym czasie pracowałem wiele godzin, należało więc ograniczać sen i odpoczynek, ale dostawało się w zamian twój uśmiech i to zaufanie płynące z oczu.

- Nie trwało to jednak długo, co?

- Chodzi ci o brak czasu na myślenie o głupotach?

- Tak, o to.

- Czy ja wiem. Może długo, może nie. Sporo lat minęło. Jednak w pewnym momencie tamte zapomniane nastroje powróciły. Najpierw spokojnie, jakby nieśmiało, podeszły pod drzwi i zapukały lekko. Nie wystraszyłem się jeszcze. Ciągle było dużo do roboty, zawsze miałem ciebie i mamę pod ręką. Nie było powodów do paniki. Pojawiali się przyjaciele.

- Przyjaciele?

- Jesteś zdziwiony, co? A tak, były czasy, że mogłem w stosunku do kilku osób użyć tego słowa. Nie wiem, czy i oni mnie tak nazywali, ale ja tak. Aż przyszedł czas, kiedy zaczęło się walić. A jak się u mnie coś wali, to wali się na całego. Bez półśrodków.

- Mogę ci przerwać?

- No.

- Zdaje mi się, że zbyt szybko się cofnęliśmy w tym wszystkim. Myślałem o podążaniu w przeszłość w pewnej logicznej kolejności, a tu wyszedł dosyć spory skok.

- Czy ja wiem. Nie przeszedłem do jakiejś zamierchłej przeszłości. Masz teraz trzynaście lat, a ja mówię o okresie, kiedy potrafiłeś już chodzić i mówić.

- A więc przeskoczyłeś o dziesięć lat, może tylko trochę mniej. To zbyt duży skok. Na pewno bardzo dużo się w międzyczasie wydarzyło.

Nie lubię dyscypliny, nienawidzę skrupulatnego przestrzegania bzdurnych reguł. Byłem sobie panem, taki charakter.

- To dlatego nie potafiłeś odnaleźć się we współczesnym życiu. Zawsze mi powtarzałeś, że muszę systematycznie pracować.

- I, jak sam właśnie dowodzisz, miałem rację.

- Jesteś wstrętny.

- A ty mógłbyś od czasu do czasu zostawić mnie z własnymi myślami. Twoja umiejętność ich słuchania jest na pewno przyjemna i zabawiana, ale nie dajesz mi szansy na chwilę refleksji. A może chciałbym od czasu do czasu coś sobie przemyśleć, poukładać, żeby tym lepiej zająć się zadaniem, przed którym mnie postawiłeś. Nie pomyślałeś o tym?

- Nie.

- Tak myślałem. Powienienieś trochę mi popuścić, tak byłoby uczciwiej.

- I ty mówisz o uczciwości? Stary ojcie, twoja uczciwość zawisała na gałęzi, nie ma jej, jak i ciebie nie ma. Nie istniejecie. Zrozum wreszcie, ty nie możesz sobie wspominać i układać, nie masz takiej mocy. Jesteś tylko wyobrażeniem, wspomnieniem. Ja zaś nie mam wpływu na to, jak wszystko się odbywa. Potrafiłem cię tu ściągnąć, ale nic ponadto. Obaj nic tu nie możemy. Jesteśmy tylko dwoma stanami świadomości, które z inspiracji jednej z nich wpadły na siebie. Ta inspirująca ma przyzwolenie na granie pierwszych skrzypiec. Nic nie poradzisz. Ani ja.

- Trudno. Skoro nie ma wyjścia, to nie ma. Nie będzie mi łatwo, ale dam radę. Dla ciebie.

- Miło słyszeć.

Nie odpowiadam. Zastanawiam się dokąd nas to wszystko zaprowadzi. Wygląda na to, że mój syna tylko z grubsza kontroluje sytuację. To dziwne, bo byłem pewien jego mocy. Jednak nie jest tu reżyserem, raczej tylko asystentem. Czyżby obrazy tam na dole ukazywały się bez jego wyraźnego życzenia? Z jego słów tak by właśnie wynikało. To tylko pokazuje, jak bardzo mylne wyobrażenie miałem do tej pory na temat tego spotkania. Jedno jest pewne, to i owo od niego zależy.

Moja cielesność zeszła z drzewa, wróciła do domu, potem wzięła udział w odgrywaniu scen z przeszłości, sam to widziałem, a jednak nie jest to prawdziwe życie, to wyobrażnia mojego syna. Ale dlaczego i ja potrafię posługiwać się wyobrażnią? Czyżby jeszcze nie zginęła? Dziwne. Dałbym głowę, że tam na dole toczy się prawdziwe życie, że ja, syn i żona jesteśmy z krwi i kości. Sam nie wiem.

Będąc kilka razy mną, tym na dole, słyszałem muzykę, widziałem ludzi, dotykałem ich przepychając się do baru po piwo. Ich głosy docierały do samego wnętrza, to było prawdziwe. A kiedy śpiewałem do wtóru najważniejszych w życiu piosenek, wtedy czułem drganie w krtani, ruchy ust nie mogły być tylko wytworem wyobraźni, chociaż wyobraźni wlałem w siebie dużo.

- Popatrz na nich - słyszę głos syna.

Nasza trójka lepi bałwana. Śmiejemy się i każde próbuje przy okazji trafić innych kulką ze śniegu. Czasem się udaje, częściej nie. Jest wesoło, nikt by nie mógł powiedzieć, że ta trójka żyje na codzień w napięciu, bo relacje między nimi przypominają budzący się z trwającego latami snu wulkan. Wystarczy mocniejszy ruch ziemi i wybuch gotowy. Czyżbyśmy zapomnieli o dzielących nas różnicach? Ludzie skazani na swoje towarzystwo nie powinni się tak zachowywać. Wygląda jednak na to, że potrafilśmy od

czasu do czasu być normalną rodziną. Tak jak teraz, tam na dole.

- Idę do nich - mówię do syna i wnikam w ciało mnie, który akurat kładzie sporą kulę śniegu na tułowiu jeszcze nie gotowego bałwana. Udaje się bez problemu.

Próba nazwania toczących mną w tej chwili uczuć nie udaje się. Jestem wyprany z uczuć, istnieje tylko ta chwila radości. Nic innego się nie liczy. Uśmiechy moich najbliższych są prawdziwe, w co przed sekundą wątpiłem. Nikt do nikogo nie ma pretensji, nikt nikomu nie narzuca swojego zdania. Sytuacja dziwna i nienormalna, ale jakże przyjemna. Nagle okazuje się, że potrafimy coś razem zrobić, zbudować. My, nasza trójka, zawsze tacy nastroszeni, gotowi do ataku. Nie było w nas chęci do wspólnego budowania.

A jednak można było. Nie potrafię tego pojąć. Skąd się brały takie chwile?

- Nigdy tego nie wiedziałem. - Syn otrzepuje czapkę ze śniegu. Mama trafiła go w tył głowy, co wprawilo ją w atak śmiechu.

Nie wiedziałem, że do mnie dołączył. Byłem pewien, że został na górze, żeby poobserwoać. Jednak jest tutaj, tak jak ja wszedł w swoje ciało. Może chciał raz jeszcze poczuć tę radość z bycia z obojga rodzicami, kórzy akurat nie mają czasu na wymianę złościwości, na udawadnianie sobie wyższości. Bałwan stoi gotowy. Jest mojego wzrotu, dużo tęższy. Wielka kula, która jest jego brzuszyskiem ma pewnie z półtora metra średnicy. Prawdziwy bałwani grubas. Syn rozglada się za kamieniami, z których mógłby zrobić guziki. Odchodzi nieco od nas. Patrę na żonę. Jej zaróżowione policzki parują, leci z nosa. Ona na mnie nie patrzy, jest zajęta przytwierdzaniem do bałwana wielkiej gałęzi, żeby grubas miał czym odganiać kołujące nad nami wrony, którym się wydaje, że są zabawne. Może i są. Tak jak to wszystko wokół. Udaje mi się zajrzeć żonie w oczy. Błyszczą ciepłym światłem, w którym można się ogrzać. W tej chwili

mam ochotę podejść do niej i ją przytulić, powiedzieć miłe słowo. Jest taka przyjemna, lekka, w jej zachowaniu nie ma udawania. Żyje tą chwilą, bo wie, że sobie zasłużyła, traktuje ją jako nagrodę. Patrząc na nią, można bez trudu odgadnąć sens życia. Ona pewnie tak sobie wyobrażała życie; proste, spokojne, pełne zabaw, radości, śmiechu. Pozostaje tylko zadać sobie pytanie, które ciśnie się na usta. Dlaczego nie potrafiłem dostrzec tego wszystkiego za życia? Byłem bardzo słaby, bez cienia wątpliwości.

Nie podszedłem do niej. Jak zwykle nie zrobiłem tego. A przecież byłoby to jak najbardziej naturalnie zachowanie. Po co właściwie ją miałem? Zdaje się, że po to właśnie; udowodniać swą miłość, każdego dnia być podporą, dać szansę na wygadanie się, na wypłakanie w moje ramię. Nic z tego. Tego także nie potrafiłem. Jak niemal wszystkiego. Teraz, będąc na powrót we własnym ciele, potrafię zrozumieć co straciłem, zaczynam się zastanawiać. Jest to odkrycie mrozące krew w żyłach, niemal czuję jak cyrkulacja we mnie zamarza. I nie jest to spowodowane temperaturą powietrza. Jest raczej wynikiem zdania sobie sprawy z tego, co straciłem, od czego całe życie wytrwale uciekałem, aż uciekłem na zawsze.

Bałwan gotowy. Ma ręce i guziki. Syn zrobił mu oczy z kamieni i nos z grubego patyka. Znalezioną gdzieś ciernistą gałązkę wygiął w szeroki uśmiech. Ten chłopak na pewno tęsknił za uśmiechami, w domu nie było ich za wiele. Ten uśmiech dodaje naszemu śniegowemu przyjacielowi przyjemnego wyglądu.

Postanawiam opuścić stare ciało, wrócić na górę i zająć się obserwowaniem. Robię to z pewnym ociąganiem, co jest dziwne, jeżeli wziąć pod uwagę z jaką tęsknotą czekałem jego opuszczenia na zawsze. Niemożliwe żebym odczuwał wyrzuty sumienia, nie, na pewno niczego takiego nie odczuwam, jednak to ociąganie wydaje się zastanawiające.

Już jestem z powrotem na górze, obok siedzącego sztywno jak rzeźba syna. Jego rozanielona twarz wydaje się

kontemplować rodzinną sielankę.

Patrzę jak każde z nas dotyka bałwana na pożegnanie, jakby był częścią rodziny, a potem odchodzimy w stronę domu, gdzie może ten miły do tej pory wieczór będzie kontynuowany w podobny sposób, albo, co jest bardziej prawdopodobne, dojdzie do jakiegoś zgrzytu i znów zapanuje pełne zmęczenia milczenie.

- To było inne od normalnych dni - mówię do syna.

Kiwa głową, ale nic nie mówi. Najwyraźniej chce wzrokiem odprowadzić naszą rodzinę do samego domu. Idą miastem, wciąż w dobrych humorach, rozmawiają.

Syn patrzy, czeka.

Podchodzą do drzwi wejściowych ich wynajętego domu i za chwilę znikają za nimi.

Moglibyśmy bez trudu kontynuować podglądanie, lecz nie robimy tego. Nad sceną gaśnie światło. Pytam syna, czy to on sprawił. Potwierdza skinieniem głowy. Jest teraz bardzo poważny i dostojny. Nie znam go takiego. Zawsze był otwarty, nieraz aż za bardzo. Często zastanawialiśmy się z żoną, czy aby nie należy go w jakiś sposób utemperować, zgasić tę jego nadpobudliwość. Pewnie brzmi to niezbyt macierzyńsko, lecz takie myśli chodziły nam po głowach.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- To niespodzianka.

- Nie lubię niespodzianek.

- Ty nic nie lubisz.

- Skoro to wiesz, daj spokój. Pewnie komuś to słowo kojarzy się dobrze, mnie nie. Niespodzianka to bardzo nieprzyjemne słowo.

Uśmiecha się nieznacznie, ale nie całą twarzą, to jak gdyby tylko lekki cień uśmiechu. Ale myliłby się ten, kto by szukał w tym uśmiechu dobrego humoru, nie, to nie ma nic wspólnego z dobrym humorem, to uśmiech podobny do tego, jaki ukazuje się na twarzy kata tuż przed opuszczeniem topora.

- Nikt nie powiedział, że będzie ciągle po twojej myśli. Za życia często było, teraz nie musi.

Wyczuwam w tym głosie jakiś żal. Chciałbym wiedzieć o co chodzi. Jak do tej pory całe to nasze spotkanie przebiegało w przyjaznej atmosferze, mimo, że przecież poruszaliśmy naprawdę przykre tematy, nie raz i nie dwa ocierając się o duchowy ekshibicjonizm. Tym bardziej jego obecne zachowanie jest nieco niepokojące. Wiem, jaki jest wrażliwy, jak łatwo go wyprowadzić z równowagi. Co ja takiego powiedziałem? A może to nie słowa, może to jakiś mój czyn go tak zdenerwował? Ale przecież nic nie zrobiłem, nie potrafię niczego robić, jestem tylko i wyłącznie jego wyobraźnią.

Pozostaje zapytać.

- Co to za niespodzianka?

- Czy pamiętasz, jak dalej potoczył się ten wieczór?

Nie pamiętam, rzecz jasna. Chyba nie oczekuje, że będę pamiętał każdy wieczór z mojego życia. Nawet nie potrafię tego konkretnego dnia umiejscowić w czasie, mogło to być pięć lat wstecz, mogło być osiem. Nie pamiętam.

- Nie - odpowiadam.

- Tak myślałem. Ja za to pamiętam dobrze. Nie zapomnę tych kilku godzin do końca życia. Zdarzyło się tego wieczoru coś bardzo specjalnego, niezwykłego.

- To interesujące.

- Prawda? Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Nic takiego nie powiedziałem. Jestem tylko zaintrygowany, bo nie mogę sobie przypomnieć ani jednego wieczoru, zasługującego na zaszczyt zostania nazwanym specjalnym. W moim przekonaniu nasze życie było po prostu zwyczajne, wieczory przeważnie takie same, nie zawahał bym się użyć słowa nudne. Sam nawet nazwałeś mnie kiedyś nudnym.

- Obraziłeś się?

- Chyba żartujesz. Prawdopodobnie byłem najnudniejszym ojcem na świecie, potrafię szczerze oceniać

siebie samego. To jedno tylko umiałem dobrze robić.

- Może mnie wtedy lekko poniosło, nie powinienem tego mówić.

Najgorsze co teraz może robić, to szukać usprawiedliwienia dla szczerości swych słów. Bardzo niedobre przyzwyczajenie. Jednak, jak się za życia przekonałem, ułatwiające kontakty międzyludzkie. Ludzie to straszni obłudnicy. Nie potrafiłem tego zaakceptować.

- Daj spokój. Jestem dumny, że potrafiłeś mi powiedzieć prawdę.

- Jesteś... byłeś dziwnym ojcem - odpowiada na pozór bez związku.

- Niezbyt pochlebna opinia, synu.

- Ale prawdziwa.

- I tak trzymaj. Ale, ale, wracając do owego wieczoru. Co było w nim takiego nadzwyczajnego, że aż jego przypomnienie nazywasz niespodzinką.

- Przez cały wieczór nie marudziłeś, ani razu nikogo nie uspokajałeś, nie upominałeś. Mama aż zapisała datę, jeżeli dobrze pamiętam, było to siedemnastego stycznia, roku sobie nie przypomnę, chociaż powinienem. To było prawdziwe rodzinne święto.

Tak. No, to tylko pokazuje, jak bardzo musieli być zdziwieni moim zachowaniem. Rodzinne święto, he. Jak niewiele potrzebowali do świętowania. Przypominam sobie, że faktycznie kilka razy zmusiłem się do podobnych zachowań. Człowiek chciałby umieć żyć w zgodzie z najbliższymi, nie powiem nie. Nawet taki odludek i milczek jak musiał spróbować, dopóki miał odrobinę siły i dobrej woli. W tamtych czasach jeszcze trochę miałem. Cofnęliśmy się już z synem w naszych wspomnieniach naprawdę sporo czasu, do takiego momentu, kiedy to dopiero zaczynałem zdawać sobie sprawę z własnego znudzenia życiem, kiedy te stany nie były jeszcze ze mną przez większość dnia, a zaledwie pojawiały się od czasu do czasu. No i wtedy tak, wtedy jeszcze walczyłem, stąd pewnie wziął się ten wieczór,

pełen pilnowania siebie samego, żeby nie marudzić, nie uspokajać, nie upominać.

Ależ to była mordęga.

- Wyobrażam sobie, że nie było to naturalne zachowanie, musiałeś walczyć, prawda tato?

- Synu, kiedy cały świat zaczyna być przeciwko tobie, kiedy każdy odgłos doprowadza cię do szału, najmniejszy szmer powoduje ból brzucha, a mlaskanie syna każe ci zaciskać pięści, wtedy musisz wzbić się na wyżyny samokontroli. Dla faceta z uszkodzonym umysłem, jest to coś więcej niż walka, to jest prawdziwa wojna.

- Nie wiedziałem tego. Nawet nie podejrzewałem, że tyle cię to kosztowało wysiłku - przerywa nagle, jakby coś jeszcze przyszło mu do głowy. Przez chwilę zaciska wragi. Po następnej chwili raz jeszcze otwiera usta. - Z drugiej jednak strony, czy uważasz za słuszne powody, dla których zawsze nas sztorcowaleś?

- To nie miało żadnego znaczenia, czy je uważałem za słuszne czy nie. Jak coś mnie wkurzało, musiałem zrobić wszystko, żeby to wyeliminować i nieważne czy było spowodowane bezwiednie, czy zaistniało jako wynik przemiany ludzkiej energii, jeżeli wiesz co mam na myśli.

Śmieje się.

- Musiało się skończyć. Inaczej mógłbym zwariować.

- Jakim więc sposobem udało ci się wytrzymać tego wieczoru?

- Sam nie wiem. Pewnie byłem jeszcze wtedy na tyle silny, żeby nie dać się pokonać własnej wypaczonej osobowości. Zobaczmy, co wtedy robiliśmy.

Dobrze.

Siedzimy w kuchni, co nie zdarzało się często. Żona obiera jabłka, jest wciąż pod wpływem nastroju, w który udało się jej wczuć podczas zabawy na śniegu. Odbieram od niej jabłka i krajam na ćwiartki. Syn robi herbatę. Od czasu do czasu coś tam sobie zaśpiewa, ale ja nie zwracam na to uwagi. Patrzę na żonę, samo szczęście. Żyje teraz tak, jak

zawsze chciała. Ma nas i nie potrzebuje niczego więcej. Może nie mogę tego samego powiedzieć o sobie, jednak z jakiegoś powodu zaczynam się przyzwyczajać. Nawet robię plany, żeby popracować wieczorem. Wokół panuje atmosfera nadziei, jest świeżo, chce się zrobić coś pożytecznego. Herbata gotowa. Syn siorbie niemiłosiernie, żona mlaska cytryną a ja nic, zupełnie jakbym tego nie słyszał. Oni to czują. Zdają sobie sprawę z niezwykłości tego wieczoru. Zastanawiamy się co zrobić z jabłkami. Uzbierała się ich cała miska.

Następna scena.

Na kuchence stoi mały garnek. Spod podskakującej pokrywki wydobywa się para, kompot chlapie na całą kuchenkę. Normalnie zacząłbym klnąć i sztorcować pierwszą osobę pod ręką. Nie robię niczego podobnego. Zmniejszam gaz i odsuwam nieco pokrywkę. Żona wyciera gazówkę do sucha. Działamy bez zbędnych słów. Jak się okazuje, możemy zrobić coś razem, bez skakania sobie do oczu, bez udawadniania sobie, kto jest lepszy.

Syn, siedzący wciąż przy stole, przypatruje się nam poza naszymi plecami, a minę ma tak wesołą, jest taki dumny, że aż łapie za serce. Wtedy tego nie wiedziałem, ale teraz oglądam to wszystko z góry, toteż widok mam pierwszorzędny.

- Masz rację - mówi nagle - byłem wtedy bardzo dumny. Nawet nie zdawaliście sobie z tego sprawy. Podczas tych waszych milczących miesięcy nie było mi łatwo. Czy myślałeś o ich wpływie na mnie?

- Od czasu do czasu pewnie tak, ale nie uważałem, że możesz cierpieć. W końcu każde z nas normalnie z tobą rozmawiało. Zabieraliśmy cię w różne miejsca. Na pewno byłoby ci trudniej gdybyśmy się kłócili, gdyby dochodziło do awantur. W naszym przypadku przebiegały nieporozumienia całkiem spokojnie. Chyba przyznasz mi rację?

Wzrusza ramionami.

- Tylko odrobinę racji, nie powinienieś się zbyt podniecać, bo nie biłeś żony. Zgoda nie robiłeś tego, ale miesiące milczenia także miały swój skutek na twoje jedyne dziecko. Przyjmij to do wiadomości. Zabieraliście mnie w różne miejsca, tak. Raz ty, raz mama, raz ty raz mama. Można było zwariować od tego. Czy wy myśleliście, że ja nie mam nic do roboty?

- Jak to?

- Już ci mówię. Weźmy takie dni, kiedy wszyscy mieliśmy wolne. Jak to wyglądało? Wstaję rano, jeszcze mi się dobrze oczy nie porozklejały, a ty już mnie bierzesz na spacer, nawet nie pytając o zdanie. Idziemy i już. Tu muszę dodać, że podczas tych milczących dni byliście oboje strasznie stanowczy w stosunku do mnie, jakby każde chciało pokazać drugiemu, jakie jest twarde i dobre dla dziecka. Dobroć na siłę. Łaziliśmy po mieście, coś tam mi kupowałeś, w poczuciu winy oczywiście, nie byłem głupi, starałeś się nawet udawać dobry humor. Pokazówka, nic więcej. W głębi siebie było ci głupio, myślałeś gdzie indziej. Zapewne cały czas szukałeś powodów waszego durnego zachowania, pewnie także próbowałeś znaleźć wyjście z sytuacji. Po jakimś czasie wracaliśmy do domu. I co? Czy miałem szansę na czas dla siebie? Czy mogłem odpocząć, pouczyć się? Nie. Teraz przychodziła kolej na mamę. Musiałem iść z nią. Nawet jeżeli nie była tak stanowcza jak ty, nawet jeżeli tylko prosiła, to i tak było jasne, że muszę iść. Zwykle wtedy pytała się ciebie, czy coś tam kupiłeś. Twoja odpowiedź? Nikt mi nic nie mówił. Ludzie, nawet nie potrafiliście ustalić tak prostych spraw, jak lista zakupów. Ty szedłeś i kupowałeś kilka rzeczy, a ona i tak później dokupowała inne. A ile razy kupowaliście to samo? Masę razy, powiadam ci. I niech ci się nie wydaje, że nie cierpiałem.

Rozgadał się jak za najlepszych czasów. Wylewa z siebie pomyje i każe mi się w nich kąpać. Ale tak było, nie ma tu

żadnych wątpliwości, każde słowo jest celne i prawdziwe. Człowiek zły i zaciętrzewiony, jako zaślepiony własnym rozbujającym ego, może ich nie dostrzegać, mało tego, za wszelką cenę stara się wynajdować pozytywy tam, gdzie tak naprawdę ich nie ma. Wmawia sobie nie stworzone brednie, żeby tylko ukoić nerwy, usprawiedliwić własną nieporadność w stosunkach międzyludzkich, często, jak w moim przypadku, z własną rodziną.

- Czy uważałeś się za złego człowieka, tato?

Niech się zastanowię. Chociaż nie, nie ma potrzeby. Wiele razy na ten temat myślałem i wniosek zawsze nasywał się taki sam.

- Było we mnie zło, synu. Całe pokłady zła. Sam musiałeś dojść do takiego samego wniosku, jeżeli bacznie obserwowałeś moje zachowanie. Obserwowałeś, prawda?

- Tak.

- Nie od razu byłem zły. Za młodych lat podobna myśl nie przyszlaby mi do głowy. Ale to były inne czasy, beztroskie, pełne nadziei, jak to u każdego młodego człowieka. Moje zło narodziło się później, dużo później, chociaż... Hm, czym tak naprawdę jest czas, jeżeli nie iluzją. Wiesz, synu, chyba nie będę sobie zawracał głowy umieszczaniem narodzin mego zła w czasie, prędzej czy później wypadki tam na dole same to pokażą. Na pewno będziemy wtedy mogli dokładniej to ustalić. Na teraz mogę wyznaczyć tylko tyle, że czułem w sobie owego zła narastanie. Siadałem sobie czasem na ławce w mieście i poddawałem się wpływowi otoczenia, pragnąc oczyścić umysł. Nie szło to dobrze. Coraz częściej doznawałem wrażenia obcości tego wszystkiego, co mnie otaczało, nie istniał wspólny język, którym mógłbym się porozumieć z przechodzącymi ludźmi. Pozostawałem pod wpływem pogardy do nich, rozumiesz, pogardy do całkiem obcych ludzi. Wydawali mi się nieistotni, szarzy, niepotrzebni. Ich istnienie wydało mi się takie bezsensowne, że aż idiotyczne. Któregoś razu

zrozumiałem wreszcie, że nic nie ma sensu. Należałoby wszystko zburzyć.

- Co ty mówisz, tato.

- To zło, w swej najprawdziwszej postaci. Jeżeli nie potrafisz doceniać ludzi, widzieć w ich życiu sensu, szanować ich, wtedy wiesz, że wpałeś w szpony zła. A to już jest bardzo niebezpieczne. Tu kończą się żarty, a zaczyna obłąd.

Syn drgnął. Nie chciałem go wystraszyć, lecz muszę trzymać się faktów, a fakty są w tym przypadku nieubłagane.

- Nie zachowywałeś się aż tak źle. - Słysząc w jego głosie nutę nieodwierzania, ale także jakiś cień żalu.

- Zło nie zawsze widać. Nie wszyscy źli ludzie są zdolni do wprowadzenia swoich niebezpiecznych myśli w czyny. Ja nie byłem zdolny. Musiałem latami zmagać się z tymi beznadziejnymi ciągotkami, ukrywać je przed wami. To tylko powodowało, że jeszcze bardziej się pogrążałem we własnym świecie, świecie, gdzie mało co działało w należyty sposób. Tak. Możesz przyjąć za fakt to, iż twój ojciec był złym człowiekiem. Nie miał zamiaru nikomu pomagać, a był zawsze pierwszy do krytyki.

To dziwne, ale łatwo mi o tym mówić. Ale przecież to nie ja wypowiadam te słowa, to wyobraźnia mojego syna, ja sam jestem wytworem jego wyobraźni, czy też produktem jego wybujałej fantazji. Jak zwał tak zwał, ale dobrze, że takie spotkanie sprowokował. Ma szansę wysłuchać mnie i może ostatecznie coś z niego będzie, może będzie lepszym niż ja człowiekiem.

- Będę się starał, tato. Pokazujesz mi kierunek, jakiego nie potrafiłeś mi wskazać za życia. Tylko...

Patrzę na niego. Wzruszenie kazało mu przerwać w pół zdania. Po jego policzkach płynie jedna łza, potem druga.

- O co chodzi? - pytam delikatnie.

Wyciera łzy, ręka mu drży.

- Nie powinieneś odchodzić, mogłeś się zmienić i ciągle być ze mną... z nami. Gdybyś tylko dał nam szansę, dał jakiś znak, że jest ci źle, może potrafilibyśmy z mamą coś zaradzić, pomóc ci odzyskać radość życia, gdybyś tylko był silniejszy, tato. Mogłeś jeszcze mnie tyle nauczyć.

Rzecz w tym, że nikt nie mógł mi już nic pomóc.

Ja nie potrafiłbym już go niczego nauczyć.

Moja żona także nic by nie zaradziła.

- Wciąż do tego wracasz, chłopcze. Jest za późno. Pozostaje ci tylko jedno; patrz, słuchaj i ucz się. Nic innego nie jestem ci już w stanie zaoferować. A kiedyś, jak już minie trochę czasu, kiedy dorośniesz i pozostanie w tobie tylko dalekie wspomnienie ojca, będziesz mógł wziąć mój pożegnalny list i sobie poczytać. Już na luzie, bez wielkich emocji. Zapisałem tam całego siebie. Możesz to później dać swoim dzieciom, niech nie zaginie pamięć o tym szaleństwie, niech następne pokolenia wiedzą, że był w rodzinie człowiek, który okazał się być za słaby, żeby żyć, to chyba pierwszy taki przypadek od wielu, wielu pokoleń. Tylko tyle mogłem zrobić, zapisać ci trochę prostych słów o powodach, niczego innego nie potrafiłem.

Syn wciąż jest wzburzony. Po raz pierwszy odkąd przebywamy razem pozwolił sobie na poddanie się nastrojowi.

I mnie się robi niewyraźnie. Synowski żal jest tak wielki, że wymknął się spod jego kontroli i baraszkuje teraz wszędzie, czyniąc prawdziwe spustoszenie w wyobraźni, która jest naszym środowiskiem. Jesteśmy zamknięci, nie możemy stąd uciec dopóki nie doprowadzimy sprawy do końca.

To już chyba nie będzie długo trwało. Cóż więcej mógłby mu powiedzieć? Dostał już tyle, że naprawdę ciężko o więcej. Nie będzie chyba zadowolony powtórkami, chociaż nie powinienem myśleć w ten sposób, w końcu to jego wyobraźnia jest tutaj czynnikiem decydującym. Zastanawiam się, jakie jeszcze sceny z naszego życia

przyjdzie nam oglądać. Jak do tej pory byliśmy świadkami obrazów mających w sobie dosyć spory ciężar gatunkowy, niosące informacje, dzięki którym mogłem dosyć łatwo tłumaczyć zakamarki mojej duszy. Nie można narzekać. I chociaż na początku tego spotkania nie byłem pewien własnych reakcji, to teraz już wiem, jak dobierać słowa, co omijać, gdzie pogłębić temat, żeby syn nie doznał zawodu i jednocześnie, żeby go nie wystraszyć, bo prawdę mówiąc omawiane tematy z łatwością mogą go wprowadzić w niebezpieczne stany.

Może powinienem przejąć od niego stery i samemu trochę pograć przewodnika po przeszłości. Miałby szansę nieco ochłonąć. Nie zawadzi spróbować.

- Może teraz ja...

- Chciałbyś? - przerywa w tej samej chwili, kiedy otwieram usta.

- Czemu nie, w końcu mówimy o mnie, o moim życiu. Jestem ciekaw, do których scen miałbym ochotę powrócić. To może być interesujące.

- Nie wiem, czy będę potrafił oddać ci moc, która pomaga mi ogarniać całość przedsięwzięcia. Mogę jednak spróbować.

- Nie masz nic do stracenia.

- Uważaj, za chwilę powinniśmy wiedzieć czy się udało.

- Dobra.

- Tylko pamiętaj, wracamy tylko do scen, mogących przydać mi się do poznania powodów twojego odejścia. Tylko takie się liczą.

- Zauważyłem, synu. Ale na dobrą sprawę, każda scena z życia spełnia te warunki. Człowiek działa zgodnie ze swoimi zasadami nie bacząc na okoliczności. Nie mogę ci pokazać nieistotnych przykładów, niektóre mogą być jedynie lżejsze gatunkowo niż inne, ale zawsze będziesz mógł zbierać kolejną garść interesujących cię informacji.

Nie sprzecza się, nie oponuje.

Jest spokojnie. Patrzę na dół, na naszą nieszczęsną, chyba mogę ją tak nazywać, rodzinę. Zostałem ich w kuchni. Siedzą wokół stołu, na którym leży list. Na razie nie pamiętam tego dnia. Zbyt mało szczegółów. Patrzę dalej. Nic się nie dzieje, czekają. No tak, przecież mam podjąć próbę powrotu z nimi do jakiegoś konkretnego zdarzenia. To dlatego siedzą i czekają. Żywe marionetki, oczekujące aż ktoś zacznie pociągać za sznurki. Zaraz się przekonamy, czy jestem w stanie przejąć synowską umiejętność. Szczerze mówiąc, paraliżuje mnie strach. Zwykle, kiedy bardzo czegoś chciałem, zaczynały mną wstrząsać skurcze zdenerwowania. Parszywe uczucie, jakby siedząca we mnie niecierpliwość starała się wydostać na zewnątrz, lekceważąc przykazy odbierane z mózgu. Możliwe, że niektóre nerwy podłączone do mego mózgu zostały w którymś momencie życia przerwane, co powodowało nieszczesne stany gorączkowego napięcia. Wystarczyła chwila podniecenia, świadomości zbliżania się do celu, a już coś wewnątrz zaczynało wykonywać własne, nie dające się opanować ruchy.

Teraz jest to samo. Nie mogę nad tym zapanować.

Syn siedzi obok mnie i też czeka. Zarówno tu, na górze, jak i tam na dole panuje bezruch oczekiwania. Powiniennem czuć się pewnie, bo znowu coś zależy ode mnie, ale wcale tak nie jest. To jak pierwszy łyk wódki. Też jest to poczucie niewiadomego, z tą tylko różnicą, że nawet jeżeli pierwszy łyk daje tylko rozczarowanie, to każdy następny działa niczym balsam na oblałe ciało, powodując poczucie wielkości i wszechmocy. W tym wypadku podobny ciąg wypadków jest mało prawdopodobny, nie są spełnione wszystkie warunki, żeby mógł zaistnieć. Przez chwilę mam ochotę wejść w ciało mnie na dole, lecz na razie postanawiam zostać tu, na górze. Dopóki nie nabiorę przekonania, że to rzeczywiście ja rozdaję teraz karty, wniknięcie w tamte ciało uznaję za niepotrzebne. Lepiej być

w pobliżu syna, gdyby się jednak nie udało. Nic nie wiadomo.

No dobrze, powiedzmy, że jestem gotów. Zobaczymy.

Rodzina wstaje do stołu. Nikt nie powiedział do nikogo złego słowa, dobrego także nie. List pozostał na stole, nikt nie interesuje się jego losem, jest nieistotny. Może to jego treść wpłynęła na panujący podniosły nastrój. Z naszych twarzy nie można nic odczytać, są nieprzeniknione, wyprane. Nie poruszają się.

- Nie idzie ci dobrze, tato - wtrąca się mój syn. - Oni nie wiedzą, co mają robić. To ty ich podniosłeś od stołu, ale nie masz na tyle wyobraźni, żeby popchnąć ich do działania. Jesteś za słaby.

- Czy mam przestać?

Czuję rozczarowanie i niemoc. Wprawdzie szansa na powodzenia była niewielka, lecz miałem nadzieję, że nie jestem aż tak do niczego.

Syn rozkłada ręce.

- Dlaczego od razu masz się poddawać? Czy to nie ty zawsze przypominałeś mi o konieczności parcia do przodu, nie poddawaniu się pierwszym niepowodzeniom. „Bądź twardy, skoncentrowany i idź przed siebie” - tak mawiałeś, pamiętasz.

- Tak.

- Rzygać się od tego chciało. Pomyśl tylko; czterysta lat temu na morze ma wypłynąć statek, jest wyposażony odpowiednio na długą podróż, tęskna przygód i bogactwa załoga zaciera ręce, wreszcie zmieni się ich życie, będą przeżywać przygody dotąd tylko znane z opowieści innych. Dowódca daje znak, cuma ściągnięta, teraz już nie ma odwrotu. Na pokładzie uwijają się marynarze, każdy ma coś do zrobienia, wszyscy są pełni zapału, znają swoje zadania, wykonują je z pasją. Naprawdę płyną, życie nabiera nowego wymiaru. I nagle zaczyna mocniej wiać, maszty trzeszczą złowieszczo, żagle wydają się za moment unieść na wściekłym wietrze. Niektórzy członkowie załogi zaczynają

wznosić dłonie ku niebu, w swej naiwności oczekują stamtąd pomocy. Sytuacja robi się rozpaczliwa.

- Do czego zmierzasz, synu?

- Dowódca statku wie, że nie odpłynęli daleko. On także poddaje się panicznemu nastrojowi. Wydaje rozkaz powrotu. Nie jest to proste, ale pchani strachem marynarze jakoś kierują statek z powrotem w stronę portu. Po rozapczliwej ucieczce wszyscy bezpiecznie lądują na lądzie. Ludzie płaczą, zeskakują na brzeg i całują ziemię. Tylko dowódca nie podziela tej dzikiej radości, w jego głowie straszy; jest to tylko jedna, paskudna myśl. Jest tchórzem. Tego samego dnia zrywa z morzem.

Zaczynam rozumieć.

- Powienienieś, najwyższy czas. - Głos syna jest twardy, z lekką nutą ironii. - Czy nie byłeś jak ten kapitan? Byle wiaterek kazał ci przerywać rozpoczęte zadanie, z podkulonym ogonem wracałeś na ląd.

Przecież on nie może wydawać na mnie wyroku. Ma trzynaście lat, nie może orientować się aż tak w miach życiowych wyborach. Trochę to wszystko naciągane. Wątpliwe, żeby spostrzegawczość młodego człowieka sięgała aż tak głęboko.

- Widziałem dużo, wystarczająco dużo. Dodatkowym bodźcem były twoje własne opowieści. Normalnie byłeś milczący, ale jak tylko przyszedł ci do głowy jakiś nowy pomysł, zaraz zaczynałeś opowiadać o nim cuda. Byłeś jak ten kapitan, szukający załogi na swój rejs. Dużo obietnic, rozległe wizje wspaniałej przygody, piękne słówka, na które z łatwością można było się nabrać.

- Aż zaczęło wiać...

- Aż zaczęło wiać - zgadza się ze mną, a jakże - a wtedy kapitan zawraca. Trzęsie portkami, ma stacha przed wiatrem, żeby mu czasem nie przetrzepał jego delikatnej dupy. Wiatr nie jest silny, może napędzić stracha, jasne, ale inny kapitan nawet by się nie zasłonił parasolką, stanąłby na czele swych ludzi i mknąłby dalej, bo życie niesie za

sobą ryzyko. Pradziwe ryzyko, którego pokonanie dodaje temu życiu uroku. Natomiast kłapanie gębą niesie w sobie inne ryzyko, ryzyko nabrania obrzydzenia do samego siebie. I utraty szacunku u otoczenia.

- Masz rację synu. To wszystko ja. Byłem do niczego. Zamiast działać wołałem głądzić, czepiać się wszystkiego dokoła, obgadywać, niczym znudzona życiem stara przekupa na targu. Nie miałem umiejętności twardego stania przy swoim zdaniu, przy realizacji swoich pomysłów. A teraz jeszcze to. Dałeś mi szansę na zastąpienie ciebie w naszej podróży, a ja po pierwszej oznace prawdopodobnej porażki od razu się poddaję.

Śmieje się. Znowu się śmieje.

- I nawet nie zdajesz sobie sprawy, że trochę ci się udało.

- Słucham?

Tu mnie zaskoczył, ale i tak nie wiem o co mu chodzi.

- Udało ci się. Przecież nie ja wymyśliłem tę historię o statku, nie ja wygłosiłem te wszystkie mocne słowa o twoich słabościach, braku konsekwencji w działaniach, czy też na temat powtarzających się od czasu do czasu okresów, kiedy pojawiał się kolejny pomysł na życie i należało o nim mówić. Ja tego wszystkiego nie wiedziałem, tato. Nie rozumiałem większości słów, których używałeś mówiąc na ten temat. Owszem, czasem słyszałem jak odsłaniałeś przed mamą coraz to nowe wizje fantastycznego życia, ale nie interesowałem się tym. Liczyło się dla mnie co innego, nareszcie przestawałeś się czepiać. Byłeś skupiony na czym innym. Nieraz trwało to tydzień, nieraz miesiąc. Cieszyłem się i tym.

- Ale, przecież...

- Co?

- Przecież to ty mówiłeś o tym statku, ty, nie ja.

- Mylisz się. To tylko twoja wyobraźnia. Jak widzisz, wszystko idzie dobrze, więc nie marudź i skup się na celu. Może uda ci się stworzyć z udziałem tych na dole jakąś scenę z przeszłości, bo chociaż coraz lepiej cię poznaję i

coraz bardziej rozumiem, jest jeszcze kilka wątpliwości, które mam wobec twojego życia. Kiedy je rozwiejesz, dam ci wreszcie wieczny spokój, do którego tak się pośpieszyłeś, i mądrzejszy o to doświadczenie, zabiorę się ze zdwojoną energią za własne życie. Teraz już będę wiedział co robić, a raczej czego zaniechać. Za życia nie potrafiłeś być nauczycielem, jednak teraz nadrabiasz wszystkie zaległości z procentem. Niepotrzebnie wstydziłeś się ukazywać uczucia. I jeszcze ta twoja szczerość, z której byłeś taki dumny. Nie potrafiłeś znaleźć balansu między szczerością a ukrytą kpina. To dlatego musiałeś pozostać na uboczu. Ludzie nie są nauczeni tolerancji dla ukrytych kpiarzy, którzy potrafią tylko komentować zachowanie i przyzwyczajenia innych, jakby byli jakimiś mędrkami, czy najwyższym sądem ludzkim, podczas gdy tak naprawdę są tylko małymi, zakompleksionymi robakami.

To doprawdy fantastycznie, że syn rozumie targające mną uczucia, kiedy to zdecydowałem się kupić sznur i wybrać drzewo. To, co kiedyś było nadzieją, teraz powoli zaczyna przeistaczać się w pewność – on da sobie radę i nie skończy jak jego ojciec. Zbyt odważne podejmuje decyzje, żeby stchórzyć, zbyt kocha życie i siebie, żeby zrezygnować z dalszego rozwoju, teraz już wolnego od nieźrównoważonego ojca, pozbawionego tego irytującego hamulca.

Inne myślenie nie ma sensu. Któż miałby wiedzieć to lepiej ode mnie?

Nie mogę go teraz zawieść. Zbyt wiele razy robiłem to za życia. Teraz czas się pozbierać.

Jak on to mówił? Niby to ja sam, siłą własnej wyobraźni wkładałem swoje myśli w jego usta; porównania do statku i jego tchórzliwego kapitana, ucieczka przed wichurą, wszelkie coraz to nowe pomysły i tak dalej.

Każde słowo przepojone nieco tandetną ornamentyką, przesadną nadętością. To nie mogą być jego słowa. A więc nieświadomie zacząłem mieć wpływ, mogę teraz zacząć

poruszać naszą rodziną, która tak dzielnie do tej pory odgrywała przed nami scenki z przeszłości. Wszyscy razem i każde z osobna.

- Synu, spróbuję jeszcze raz. Ostatni raz, jeżeli nic z tego nie wyjdzie, zostawię tę zabawę tobie.

Najlepiej jak umiem skupiam myśli i patrzę na naszą trójkę na dole.

Stoją tak, jak ich zostawiliśmy. Obok stołu. Na stole list. Wciąż się nie poruszają, nie są w stanie. Przymrużam oczy, by siłą wzroku zmusić ich do działania. Wciąż nic. Jedyne co się zmienia, to światło w pomieszczeniu, w którym stoją. Wszystko na nic. Nie potrafiłem za życia i nie potrafię teraz. Wyraźne twarze moich bliskich są jakby wyprane z emocji, blade, upiornie przemęczone. Przez tyle lat czekali dnia, kiedy będą mogli zacząć normalnie żyć, dnia, w którym stojący obok człowiek przegoni toczące nim sprzeczne uczucia, nauczy się ich słuchać, przestanie nareszcie forsować swoje własne zdanie, jako to najpierwsze, najważniejsze. I nie istotne, że oni zaczęli z czasem robić to samo, że zostali zmuszeni do stania twardo za swoim zdaniem, bo przecież nie są w gruncie rzeczy podobni do niego, to tylko otaczająca go aura jakiegoś szaleństwa kazała im postępować podobnie, nie chcieli być poddanymi, chcieli być równouprawnionymi członkami tej rodziny.

Stoją i nie wiedzą, co dalej.

- Nie masz tyle siły, tato.

- Chyba nie. Za życia także jej nie miałem. Nawet z twoją pomocą nie może się to zmienić. Widzisz, jak ktoś się chwastem urodził, po uschnięciu nie będzie różą. Cóż, przynajmniej się starałem.

- Nie masz na tyle silnej woli, jedyne co udało ci się dokonać to włożyć trochę myśli w moje usta. To tak wyglądało, jakbyś się bał albo wstydził, jedno z dwojga, sam je wypowiedzieć. Ten przykład znowu mi uzmysławia jakim byłeś tchórzem.

Oczy same mi się zamykają pod naciskiem tych twardych słów. Tylko to, że on ma rację powoduje moje milczenie, chociaż język aż mnie świerzbi do ciętej riposty. Nie potrafiłbym powiedzieć mu teraz niczego złego, czy, jak mi się zawsze wydawało, szczerego. Muszę przyjąć krytykę syna, chociaż nie robi ona już dla mnie żadnej różnicy. Mogę się nią nacieszyć jeszcze tylko ułamek sekundy, a potem nareszcie wszystko się skończy.

- Musisz mi coś obiecać, synku - mój głos drży.

Obejmuje mnie ramieniem, ale niczego nie czuję. Mimo to jestem zadowolony z tego gestu.

- Co to takiego, tato?

- Nie spodziewałem się, że to kiedykolwiek powiem, lecz za twoją sprawą otworzyły mi się oczy. Teraz, po tym wszystkim co razem zobaczyliśmy, potrafię trzeźwo ocenić swoje życie i chcę ci dać radę. Wiem, jeszcze się nie rozstajemy, chociaż, szczerze mówiąc, tak bardzo tęsknię już za wiecznym spokojem, że z trudem przyjdzie mi jeszcze to ciągnąć, ale z drugiej strony zostanę tak długo jak zechcesz, dlatego posłuchaj co ci powiem, nie chcę o tym zapomnieć, więc powiem to teraz. Otóż, co może wydać ci się dziwne, chciałbym żebyś, kiedy tylko sobie wspomnisz swojego ojca, nigdy nie kierował się tym co robiłem, a tylko i wyłącznie tym co mówiłem. Z jakiegoś powodu bowiem moje słowa były o wiele mądrzejsze niż czyny. Teraz widzę to wyraźnie. Musisz wyłączyć z tego wszelkie marudzenia i zwracanie uwagi, nie o takie słowa mi chodzi. Mówię tylko o radach dotyczących nauki, skupienia się na pracy, walce o własne racje, mówię o tych wszystkich radach, które potrafiłem dawać, ale których sam nie umiałem stosować we własnym życiu. Przemyśl to, i ilekroć będziesz miał dosyć, ilekroć poczujesz zmęczenie życiem i pracą, wspomnij ojca, a wtedy, mam co do tego pewność, nabierzesz nowej siły i nie dasz się pokonać własnym słabościom. Ja tego nie potrafiłem, dlatego przegrałem.

- Przykro mi - szepcze.

- Nie martw się, synu. Wszystko przed tobą.
- Będzie mi trudno, bardzo trudno.
- Śmieję się z tego. Tylko taką radę ci mogę dać.
- Co z nimi zrobimy? - wskazuje palcem na naszą trójkę.

Wciąż tam stoją, trzy zawieszony w pustce dusze, czekające na rozkazy.

- Musisz zdecydować. Oddaję ci stery.

Czuję nagły przypływ energii. Jednak nie napływa ona do mego wnętrza, nie jest we mnie, o nie, to raczej poczucie bycia blisko jakiegoś źródła ciepła, delikatnego, miłego, które potrafi wspaniale ogrzać, ale nie daje się okiełznać, jest trudne do zdefiniowania. Jeżeli na samym początku spotkania z synem przyjmowałem wszystko bez mrugnięcia okiem, to teraz już tak nie jest. W tej chwili nachodzą mnie wątpliwości, nasuwają się pytania. Na razie jednak nie potrafię się nad tym zastanawiać. Co innego przykłuwa moja uwagę. Syn wyraźnie wyczuwa moje napięcie i zdziwienie, ale tylko uśmiecha się półgębkiem i milczy. Ciepło staje się coraz przyjemniejsze, jakby ktoś wyregulował idealną temperaturę.

Nagle coś się zmienia. Nie jestem tu tylko z synem. Nie jest to jeszcze pewność, ale zaraz nią będzie, niech tylko pokonam opory. Ale nie jest to łatwe, brakuje mi siły, odwagi. Nie da się uciec przed narastającą przemocą ciepła, chociaż ciepła czuć nie potrafię. Synowska wyobraźnia pozwala sobie na zbyt wiele, przez co utrudnia zrozumienie zaistniałych zjawisk, jest jednocześnie zbyt potężna, żeby ją zignorować.

Dlaczego doprowadza mnie do takiego zagubienia?

Naraz czuję bliskość kogoś jeszcze.

Siedzę pomiędzy dwoma źródłami wyobraźni, a ich sygnały gnają wokół, niczym frywolne iskry, to gasnąc, to rodząc się na nowo.

Zaczynam rozumieć, ale jeszcze boję się odwrócić głowę. Syna miałem po prawej i to się nie zmieniło, jednak w tej chwili jest ktoś także po lewej, teraz już wiem to na pewno.

Zaczynam się domyślać prawdy.

A taki byłem pewien, że jej tu nie będzie, taki byłem pewien. Nawet powiedziałem to synowi, dawno, jeszcze na samym początku, kiedy to nakazał mi zleźć z drzewa. Nie pierwszy raz doświadczam parszywego uczucia, że nic nie dzieje się w sposób tożsamy z moimi wyobrażeniami czy chęciami. Nie umiałem za życia przewidywać skutków swoich działań, ani działań moich najbliższych, a teraz, już po śmierci, nie umiem tego nadal. Skoro jednak jestem tu tylko i wyłącznie za sprawą wyobraźni syna, nie powinno mnie to dziwić.

Powoli nabieram odwagi, żeby spojrzeć w lewą stronę. Siedzi tu moja żona.

Bezwiednie zerkam szybko na dół, na moją rodzinę, którą zostawiłem w bezruchu, nie potrafiąc wykorzystać nadanej mi przez syna mocy by, za jego przykładem, użyć ich w celu pokazania scen z naszego życia, które z kolei mogłyby stać się podstawą do dalszych wyjaśnień. Bo najwyraźniej on jeszcze nie ma dosyć, chce więcej, chociaż dostał już tak dużo. Stoją tam wszyscy troje, tak jak poprzednio, kiedy na nich patrzyłem. Żona także.

Znów patrzę na żonę, siedzącą po mojej lewej.

Ona nie patrzy w moją stronę. Przypomina mi to nasze milczące dni, kiedy to potrafiliśmy tygodniami nie zwracać na siebie uwagi, przemykając sobie tylko znanymi ścieżkami, pilnując ich anonimowości, żeby zawsze były pod ręką w razie potrzeby.

Dlaczego na mnie nie patrzy?

Ale teraz przychodzi mi do głowy ważniejsze nawet pytanie.

Czy ona wie, co zrobiłem?

Jeżeli jest tylko wyobraźnią syna, jak ja, to może nie wie, może sprowadził ją tu tylko w jakimś określonym celu, na razie nie przychodzi mi do głowy w jakim, żeby później, kiedy już wykorzysta jej obecność, pozwolić jej zniknąć. Jeżeli tak jest, to może nie zadał sobie trudu na

powiadomienie jej o mojej samobójczej śmierci. Nie chcę go o to pytać, zaraz wszystko się samo wyjaśni.

Twarz żony jest twarda, bez wyrazu. Ścisnęła usta w wąską kreskę, a palcami obu dłoni skubie włosy.

- Mamo, musisz nam pomóc - mówi nagle mój syn.

Niby patrzy prosto na mnie, jednak jego wzrok przenika mnie i szuka dalej, aż wpada na wzrok matki. Czuję dla odmiany chłód.

Ona nie odwraca głowy. Patrzy przed siebie.

Zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, że ona bardzo dobrze wiem, dlaczego tu jest i co ma robić. Wie, ale chce jeszcze trochę poudawać. Tylko w jakim celu?

- Czy ty wiesz, o co mu może chodzić? - zwracam się bezpośrednio od niej.

Podnosi na mnie wzrok. Oczy ma duże, bez wyraźnej barwy, ale ich wielkość rekompensuje brak konkretnego koloru. Nie pamiętam, co takiego miała napisane w dokumentach w rubryce oczy, coś jednak musiało być zapisane. Jednak wątpię, żeby zapisano, że jej oczy są duże, albo nieokreślone. Nie wiem. Jedyne co pamiętam to wielkość i ten ironiczny blask z nich bijący.

- Nie wiem... - Jej głos jest niepewny, ostrożny, jakby stąpała po trzeszczącym lodzie, a każde zbyt pewnie wypowiedziane słowo mogło stać się tym, co może spowodować powstanie przerębli.

Zawiesiła rozpoczęte zdanie, więc czekam. Dam jej moment, żeby mogła zdecydować co do dalszego postępowania.

- ... Dopiero co się dowiedziałam o tym, co zrobiłaś. Gdybyś tylko dał jakiś znak, głupcze. - Może będzie płakać? Tak właśnie wyglądała zawsze tuż przed upuszczeniem łez. Ale nie, wytrzymuje to. Nie zanosí się na scenę rozpacz. Pewnie jest zbyt dezorientowana niespodziewana wiadomością, by móc reagować zgodnie z logiką i zdrowym rozsądkiem.

- Dlaczego ściągnęłaś tu mamę?

Syn patrzy na mnie. Wzrusza ramionami.

- Bo chciała - rzuca krótko.

- Chciała? Znaczy co, powiedziała ci, że chce? Co to znaczy chciała?

- Nie, nie. Nic mi nie powiedziała. Ja to po prostu wyczułem. Wyobraźnia to wielka siła. Nasze wyobraźnie połączyły się, przez krótką chwilę były jednością i stąd wiedziałem. To proste.

Proste. Szkoda, że nie jest proste dla mnie.

Nie tak wyobrażałem sobie śmierć. Nie tak sobie wyobrażałem spokój wieczny. Wciąż jestem narażony na życie, chociaż fizycznie nie żyję. Podobno.

- Niedługo będziesz miał spokój. - To ona. Głos ma twardy jak żelazo, słyhać w nim wyrzuty i pogardę. - Tylko czy to na pewno jest rodzaj spokoju, jaki będzie ci odpowiadał?

- Co masz na myśli?

- Nic specjalnego. Pomyślałam tylko, że zareagowałeś za nerwowo, mogłeś dać sobie jeszcze jedną szansę, trochę więcej czasu. Mogłeś dać szansę własnemu synowi, mnie. Zawsze można zrobić to, co zrobiłeś, na to jest mnóstwo czasu. Jutro, pojutrze, za tydzień.

- Jutro, pojutrze, za tydzień... Żarty. Czy uwierzysz, że ja to zrobiłem za niemal dwa lata? Jutro, nie żartuj sobie.

- Jak to się stało, że niczego nie zauważyłam?

Chyba jednak zauważyła. Nie dałem nigdy wyraźnego znaku, to prawda, nie potrafiłbym się zdobyć na słowne ostrzeżenie, ale nie powiedziałbym, że nie mogła zauważyć. Przecież od dłuższego czasu chodziłem bokiem, pod ścianą, nie chcąc się pchać, narzucać. Częściej niż kiedyś zamykałem się w pokoju, niby to mając coś ważnego do zrobienia, podczas gdy tak naprawdę leżałem na plecach, z zamkniętymi oczami. Był czas przemyśleć jeszcze raz wszystko na spokojnie, uspokoić rozedrgane nerwy. Ale nawet o tym nie myślałem. Leżałem i wyobrażałem sobie jak to jest nie istnieć. Zamknięte oczy pomagały tylko

trochę, ale nie dawałem się nabrać, to była ciemność na niby.

Staralem się wtedy wrócić pamięcią do pewnych wizji, jakie nachodziły mnie w dzieciństwie. Od czasu do czasu, leżąc już wieczorem w łóżku, nachodziła mnie pewna myśl. Było to raczej przerażające doświadczenie, dlatego tak dobrze zapadło mi w pamięć. Otóż myśl owa krążyła wokół jednego tematu – że nigdy już nie będzie. Zamykałem oczy i wyobrażałem sobie, że nigdy już nie będzie. Mnie, domu, ziemi. Nigdy, nigdy, nigdy... Oddalam się od ziemi, oddalam się od siebie. Nigdy już nie będzie. Nigdy. I potrafię patrzeć na to oddalanie się z wysoka, jakbym uniósł się w kosmos. Widać tysiące gwiazd, błyszczą na granatowym tle nieba, a ja wiem, że nigdy już nie będzie. Z daleka widzę ziemię, znam tę planetę dobrze; zarys lądów, czerń oceanów, znajome to i pewne. Ziemia się zmiejsza, bo przecież nigdy już nie będzie.

I wtedy czułem strach. Czy to możliwe, że nigdy już nie będzie? Otóż, tak. Nigdy już nie będzie.

Wzdygam się na tamto wspomnienie.

- Może byłaś zajęta czymś innym? - Wracam do żony.

Drgnęła. Dałbym sobie obciąć za to palec, gdybym fizycznie istniał.

- Co masz na myśli? - Ale ją wzięło.

- Nic szczególnego. Może nie zwracałaś już na mnie takiej uwagi jak kiedyś, minęło dużo czasu.

- Nie tak strasznie wiele. Ja się jeszcze nie znudziłam, prędzej ty.

Prawda jest taka, że znudziliśmy się oboje. I na pewno pamięta, jak o tym głośno mówiliśmy. Nie raz, nie dwa. Ja pamiętam. Ileż razy twierdziła, że nie wierzy w miłość. Dwa, trzy lata, tyle według niej trwa miłość. Pamiętam jak dziś.

Sytuacja jest trochę niezręczna, biorąc pod uwagę umiejętność syna czytania moich myśli. Na pewno jest zdziwiony i może jest mu przykro. Chciałbym jakoś

przerwać rozmowę z żoną, mieć szansę na ostrzeżenie jej, że mamy słuchacza, ale to niemożliwe. Ten słuchacz przecież nami rządzi, ona nas tu sprowadził, on rozdaje karty.

- Nie przejmuj się, tato - wtrąca.

Można się było spodziewać. Pięknie kontroluje sytuację.

- Nie chcę żebyś tego słuchał. - Staram się mówić ostro, ale on tylko parska śmiechem.

Żona wychyla się z za mojego ramienia.

- Czego on od ciebie chce? - Zwraca się do dziecka. A więc ona nie potrafi czytać moich myśli. To dziwne, bo wcześniej wtrącała się w odpowiednim momencie, jakby właśnie odpowiadając moim myślom. O co tu chodzi? Czyżby i ona była podłączona do synowskiej wyobraźni? Cholera ich wie.

Zaczynam być zły. Niepotrzebnie ją tu przywołał. Teraz wszystko będzie tylko jeszcze bardziej skomplikowane, tak jak za życia. Nasza trójka uwielbiała komplikować proste sprawy. Moglibyśmy startować w teleturnieju - Rodzinne brudy. Pierwsza nagroda murowana.

A teraz nowe komplikacje tylko spowodują opóźnienie zakończenia mojej spowiedzi do syna. Pozostaje mieć nadzieję, że żona nie zostanie tu do samego końca.

- To nic mamó. Tato wstydzi się rozmawiać z tobą przy mnie na pewne tematy. Ale nie ma wyjścia. Za chwilę to zrozumie i będzie grzeczny.

To małe gównó za dużo sobie pozwala. Nie potrafię jednak przywołać go do porządku. Czyli znowu tak samo jak za życia. Ostatni rok był szczególnie trudny, nie działały prośby ani groźby, nic. Potrafił przybrać płaczliwą minę i przyrzekać poprawę, by za pół godziny robić to samo. Cholernie wkurzający nawyk. Robrykał się do garnic możliwości. Nie tylko w domu, ze szkoły także zaczęły przychodzić niepokojące sygnały.

- Wstydzi się, co? Zawsze się wstydził, to nic nowego. Nawet nigdy nie powiedział, że mnie kocha. I wiesz dlaczego?

- Bo cię nie kochał?

- Może dlatego, tego nie wiem. Ale mi mówił, że się wstydzi.

- A wiesz, że i mi nigdy niczego podobnego nie powiedział.

To może ja już sobie stąd pójdę? Tak sobie ładnie rozmawiają, nie będę przeszkadzał. Jeżeli dobrze pamiętam, to na ten temat już z nim rozmawiałem, wyjaśniłem, że takie słowa były zbyt duże na moje wąskie gardło, dusiłem się podczas próby ich wymawiania. Nasz rodzina wykreśliła to słowo ze słownika, nie ma, koniec kropka.

Postanawiam zignorować na jakiś czas syna i nawiązać do słów niedawno wypowiedzianych przez żonę.

- Znudziłyśmy się oboje, nie watro zaprzeczać. Może i były próby ratowanie resztek przywiązania, bo tylko ono zostało, ale i to nie szło zbyt dobrze. Trudno walczyć o coś, w co się nie wierzy. Oboje dobrze o tym wiemy.

Milczy. Nieprzejednany charakter pewnie każe jej zaprzeczyć, rzucić się na moje słowa i je rozszarpać, ale nic takiego się nie dzieje. To duża odmiana.

- Nie musiałeś tego robić. Mogłeś poczekać. Pamiętasz, co ostatnio mówiliśmy. Mieliśmy poczekać, aż on dorośnie, pójdzie na swoje i wtedy się rozstać. Ile to lat zostało? Pięć, sześć. Niewiele. Można tyle wytrzymać. Ja chciałam.

- Dla dobra dziecka, tak? - Wpadam jej w słowo. Nie jestem zły. W moim stanie ducha nie istnieją uczucia. Dzięki temu wszystko widzę wyraźniej, jestem bezduszny. - Nigdy nie uważałem takiego rozwiązania za dobre dla dziecka. To bzdura. Bycie ze sobą na siłę nie uczyni jego życia łatwiejszym. Ileż to razy ci powtarzałem, że lepiej byłoby, gdyby widywał ojca raz na tydzień, ale zadowolonego, niż dzień w dzień oglądać znudzonego, nerwowego człowieka, który nie ma w sobie krzty radości życia. Nie przyjmowałaś tego do wiadomości, a ja nie miałem dość siły, żeby

postawić na swoim, żeby mimo wszystko odejść i żyć gdzieś z boku.

Prycha z niechęcią.

- Więc jakim cudem znalazłeś odwagę, żeby odejść na zawsze?

- To musi być efekt długotrwałego działania wielu czynników. Można tu zaliczyć cokolwiek, pole manewru jest szerokie. Nie było cię tu wcześniej, już o tym z nim rozmawiałem. Patrzymy na obrazki z naszego życia, a ja na ich podstawie przypominam sobie myśli i wrażenia, jakich wtedy doznałem, dzielę się z nim, staram się wytłumaczyć.

- Po co?

- Bo chce tego.

Za życia nienawidziłem się tłumaczyć. Uważałem to za oznakę słabości. Odkąd spotkałem syna, nic innego jednak nie robię, toteż nie mam nic przeciwko, żeby tłumaczyć się żonie.

Jednak muszę najpierw powiedzieć słowo do syna, póki wypłynął temat tłumaczenia się.

- Synu, to może być dosyć ważne. Jeśli dobrze pamiętam, poświęciłem nawet temu tematowi pół strony w liście pożegnalnym do ciebie.

- Na jaki temat?

- Wiesz, nienawidziłem się tłumaczyć. Już od dziecka widziałem w tym coś nienormalnego. Z czasem ta nienawiść tylko się pogłębiała, co wielokrotnie pokrzyżowało moje plany zawodowe. Wiesz, kiedy musisz pracować z ludźmi, kiedy masz nad głową przełożonego, zawsze prędzej czy później będą od ciebie tłumaczenia się z przeprowadzonych działań. Nie uciekniesz od tego. Po prostu przyjmij ten fakt do wiadomości. Pomyślałem, że zwrócę na to twoją uwagę, bo uważam to za ważne. Nie chciałem, żebyś popełnił ten sam błąd.

- Przecież on już taki jest. Też nie ma zamiaru się tłumaczyć. Co ty, ślepy jesteś... byłeś?

- Ale ma jeszcze czas, żeby się zmienić.

- Mam nadzieję, bo inaczej to ja z nim zwariuję. Ty sobie postanowiłeś mieć to gdzieś, zostawiłeś mi wszystko na głowie. Jezu, co ty w ogóle sobie myślałeś?

Nic nie mówię. Pewnie powinienem czuć się jak szmata, lecz skacząc z gałęzi pozbawiłem się tej przyjemności, nie czuję naprawdę, jestem tylko wyobraźnią. Teraz mogę myśleć swobodnie.

- Mogłeś poczekać. Uzbroić się w cierpliwość. To tylko kilka lat.

Ona dalej swoje. Nie bierze pod uwagę stanu, w jakim się znalazłem. Nawet jeżeli poczekałbym te kilka lat, czego i tak nie uważałem za możliwe, to przecież nie miałbym dokąd odejść. Ja nie chciałem żyć, nie chciałem szukać szczęścia gdzie indziej. Nie znalazłbym. Przestałem w szczęście wierzyć. Och, nie chce mi się powtarzać tego wszyskiego po raz drugi.

- Słuchaj, nie brałem pod uwagę zakładania drugiej rodziny. Jaki miałoby to sens? Według mnie żaden. Ja się nie nadawałem do życia w rodzinie, dawno powinnaś to zauważyć. Nie byłaś ślepa. Wiedziałaś. Jednego razu chciałem odejść, to prawda, ale nie do kogoś innego. Nigdy nikogo innego nie było. Chciałem zostać sam, bo tylko w ten sposób widziałem swoje życie.

- Żadne wyjście.

- Zawsze to powtarzałaś. I nie miałaś racji. To właśnie było jedyne wyjście. Niestety, nie miałem wystarczającej odwagi, a może byłem zbyt leniwy na dokonanie tak poważnego kroku. Jedno jest pewne, rzucając rękawicę na ring, poddając się, zostając z wami wyraziłem zgodę na powolne dążenie do tego, co się ostatecznie stało. Wina leży tylko po mojej stronie.

- I co ja mam teraz robić?

Nie mam odwagi spojrzeć jej w twarz. Ale przynajmniej wiem, co chcę powiedzieć.

- Ty musisz żyć dalej, dla naszego syna, a przede wszystkim dla samej siebie. Jesteś jeszcze młoda,

atrakcyjna, masz kawał czasu do przeżycia. Mezczyźni ogladają się za tobą, wzbudzasz ich zainteresowanie, wielokrotnie byłem tego świadkiem. I wiesz, co? Lubiłaś to, jak każda kobieta. Nawet wiedząc, że masz obok siebie męża, pokazywałaś tamtym, że zauważyłaś ich zainteresowanie. Puszyłaś się i stroszyłaś piórka, może nawet wysyłałaś jakieś samicze zapachy, nie znam się na tym. Jednak miałem oczy, widziałem to wszystko. Twoje zachowanie było pewnie normalne, a ja z trudem bo z trudem, ale przechodziłem nad tym do porządku dziennego. I teraz na pewno bez trudu znajdziesz kogoś, bo przecież nie będziesz sama. Jesteś z innej gliny niż ja, potrzebujesz towarzystwa, jesteś stworzona na żonę, ale dla odpowiedniego faceta. Ja nim nie byłem, natura ukierunkowała mnie na osobę wciąż szukającą, pragnącą zmian, za wszelką cenę chcącą coś przestawić, zamieszać, przemeblować. Ale i to do czasu. Ostatnio się zmieniłem, prawda?

- Nic cię nie obchodziło! Nie szukałeś. Tak, to zauważyłam.

- No właśnie. Dlatego musiałem zniknąć. Masz teraz szansę na rozpoczęcie prawdziwego życia, nie takiego złudnego, jakie prowadziłaś przy moim boku. Zaslugujesz na dużo, dużo więcej.

- Byłam zadowolona.

- Tak, mówiłaś tak czasem.

- Dlaczego nie wzięłaś tego pod uwagę?

- Posłuchaj, kobieto. Twoje słowa niczego nie mogły zmienić. Słowa, słowa, one są tanie, mało kiedy obrazują faktyczny porządek rzeczy. Ja umiałem czytać twoje gesty, miny, znajdowałem ślady prawdy w twoich oczach. Słowa mnie nie przekonywały. Okłamywałaś samą siebie. A jeżeli ktoś okłamuje samego siebie, okłamuje cały świat. Teraz masz okazję przestać kłamać. Żyj i ciesz się.

Może się wydawać, że moje słowa są jak razy kijem, gdyż ona za każdym razem, kiedy jedno z nich wypowiadałam kuli

się w sobie, brakuje tylko krzyku i błagalnego składania rąk. Ona jest sprawiedliwa, przyzna mi rację. Nieświadomie kłamała, inaczej nie potrafiła. Kiedy tylko dostrzeże swoją szansę w nowych warunkach, natychmiast ją wykorzysta, bez zastanowienia, taka jest spragniona miłości, w którą już podobno nie wierzy i czułości, której nie zaznała wystarczająco.

Cisza. Pewnie potrzebuje wszystko przetrwać.

Strasznie dużo tu ciszy. Co tylko wypłynie jakiś temat, co tylko się go omówi, wyciśnie wszystkie soki, wykorzysta jak dziwkę, a potem porzuci, zaraz potem następuje cisza. Jest czas na podsumowania i refleksje. Komu się uda, będzie ho, ho, ho mądrzejszy.

Zwracam się do syna.

- Oni nadal tam stoją, czekają na dalszy ciąg. Pewnie zapuścili korzenie.

- Wiem. Kiedy rozmawiałeś z mamą, cały czas miałem ich na oku. Śmiesznie wyglądają, jak manekiny.

- Kontynuujmy więc naszą podróż.

Mam wrażenie, że i on jest już znużony tym wszystkim. Jak ja sam. Pewnie zmęczyło go przysłuchiwanie się mojej rozmowie z jego matką. Za życia często musiał być świadkiem podobnych rozmów, więc każda następna może go tylko nudzić. Zapewne ma wyrobione zdanie na stosunki, jakiego panowały między jego rodzicami. Nic nie będzie dla niego nowością. Nuda i powtórki.

- Tato, a co z mamą? Zostawić ją z nami? - W tym konspiracyjnym szepcie nie brakuje nadziei. Chce ją zostawić. Od zawsze, jak daleko sięgam pamięcią, zawsze chciał mieć nas oboje przy sobie, jakby bał się, że zostanie sam. Lękał się samotności. Co wieczór przeciągał moment udania się na spoczynek do osobnej sypialni. A jeszcze parę lat do tyłu, trzeba było leżeć obok niego aż nie usnął. Jakoś trudno mu było odnaleźć radość bycia sam na sam ze sobą.

Żona zostanie?

Nie mam nic przeciwko temu. Dlaczego miałbym mieć?

-Tak. Niech zostanie.

Już nie potrzebuję się przed nią chować, poznikały powody, dla których nie potrafiłem mówić jej różnych rzeczy.

Największą porażką naszego małżeństwa było to, że nie zostaliśmy kumplami. Takimi do wszystkiego; do poważnych rozmów, do wypitki, plotek i śmiechu, wspólnego odwiedzania barów i do życia w grzechu. Krążyliśmy wokół siebie, ale po różnych orbitach, inne mając zainteresowania, inaczej pragnąc spędzić wolny czas, uciekając od siebie, jeżeli to było możliwe.

A syn nas do siebie przyciągał. Nie, nie mnie do niej, czy ją do mnie. Przyciągał ją i mnie do siebie. Mały magnes o dużej sile. Chociaż wiedział, jak to się zwykle kończy, zawsze i wszędzie chciał nas mieć obok siebie. Taki jego prywatny sposób psychicznego masochizmu. Autodestrukcja małego człowieka, parafrazując klasyka.

- Dziękuję ci, tato.

- Nie ma za co. Na zdrowie.

Ci to nie wyjdzie, ma się ochotę powiedzieć.

- To co, rozruszamy tych troje? Już za długo czekają.

- No, dalej, jazda.

Odchodzą od stołu, przechodząc do przedpokoju, ubierają buty i już się zaczyna. Weź się posuń, na łeb mi wejdiesz, co, za mało miejsca, autobus by tu jeszcze wjechał, a ty co, weź te łapy ze ściany, zaraz trzeba będzie malować, co ja, bank narodowy, pożyczki bez poręczycieli, nie będę malował tylko dlatego, bo ty nie masz ochoty się schylić, całe ściany już szare. Nie czepiaj się go, i tak trzeba będzie malować przy przeprowadzce, jakbyś zapracował na swój dom, to by się dało dechy i by dziecko mogło się opierać ile by chciało, wychodźcie już, spóźni się do szkoły. Nie mogę się spóźnić, stary, podaj plecak, nie będę w butach łaził. Zawsze to samo, weź i idź se weź sam, ja muszę zawiązać drugi but, jak byś nie był taki leniwy, to byś od razu się schylił, zabrał plecak, nigdy nie możesz zorganizować sobie

wszystkiego jak należy, trzeba za ciebie nosić i podawać. Możesz synowi podać plecak, coś taki wredny. Daj spokój, idź, otwieraj samochód, odjeżdżaj, my dojdziemy zaraz, tylko go pogonię.

Siedzimy w trójkę i oglądamy tę scenę z ciekawością. Każde z nas myśli zapewne to samo – jak idiotycznie zachowują się ci na dole. Ale to my, nikt inny. Patrzę na żonę. Nie wierzy własnym oczom, tak właśnie wygląda, jakby wypatrzyła ósmy cud świata.

Cała trójka w samochodzie. Słysząc pierwsze warknięcie silnika, zaczyna pracować nie wyłączona poprzedniego dnia wycieraczka, wieje z nastawionych na maksimum wywiewów powietrza, zaczyna grać radio, jakaś bzdurna muzyka, bez krzty uczucia czy sensu. Moja, tego na dole, dłoń wystawia palec i naciska jeden z wielu przycisków, muzyka milknie, pojawia się głos męski, poważny, czyta wiadomości. My nie lubimy gadania, niech leci muzyka, przynajmniej można pośpiewać, nie jesteś tu sam. Żona naciska inny przycisk, wraca durna muzyka. Wy też nie jesteście sami, trzeba posłuchać wiadomości, zobaczyć co się dzieje na świecie, zamachy są, bomby wybuchają, pogodę podadzą, powiedzą co na drogach, może korki jakieś, a nie te durne piosenki, pedalskie zespołiki, co to nawet głosów nie mają, tylko piszczą i jęczą, o, ten jak jęczy, jezu, jakby go żyłką krajał, daj spokój. Przyciskam przycisk. Wraca głos męski, głęboki. Mamo, weź daj co było, rano jest, niech muzyka leci, albo sidi włącz, to wszyscy lubią. Żona przełącza, znowu ta jej muzyka. Ale nie o ósmej rano, dziecko, lepiej dowiedz się czegoś ciekawego, tu mówią same ciekawe rzeczy, a nie grają jakieś durne piosenki. Ja prowadzę, i ja słucham, teraz będzie muzyka, ty prowadzisz z powrotem. A wzięliście ten list, nie, trza zawracać. A gdzie ja teraz zawrócę, jutro się zanieś. Jutro nie można, pani w szkole kazała na dzisiaj. Weź i zawracaj na tym podwórku. Tam nie wolno wjeżdżać, prywatny teren mają. Nie marudź, jedź, przecież nie wjeżdżasz im do

sypialni, uważaj, walniesz w bramę i będziesz na nogach tydzień chodziła. Zamknij się, bo nie mogę się skoncentrować. Mamo, ja wyskoczę, daj klucze, tato. Tylko pozamykaj dobrze. Ile razy mówiłam, żeby klucz dziecku dorobić duży już jest, trzeba mu zaufać. Jutro dorobię. Nie dorobisz, zapomnisz. Może nie, czasem nie zapominam. Przestań, i tak zapomnisz. Pozamykałeś dobrze, to wsiadaj, już jesteśmy spóźnieni, ja do roboty nie zdążę. E tam, kto ci co powie, oni się nie przejmują. Ale ja się przejmuję. Ocho, już się korek zrobił. Nie dawaj chociaż tak głośno, boże, jak słyszę ten głos to mi się rzygać chce, jakby mu kto jaja urwał, i to w radiu puszczają. Cicho, dziecko słucha. Ja już nie jestem dziecko, mam trzynaście lat, sam mam jaja, nawet zarośnięte. Przestań tu kląć, co ty, w szkole nie jesteś, my z matką nie klniemy, skąd ci się to wzięło. Nie klniecie, co ty gadasz stary, klniesz gorzej niż moje koleżki, mama też nie lepsza, wczoraj mówiła, że chuj ją strzela, jak zaczynasz marudzić. Weź nie podjeżdżaj tak blisko, wjedziesz mu w dupę i zabulisz, ile razy ci trza mówić, weź skup się jakoś, nie patrzysz w ogóle na lusterka, one nie są dla ozdoby, jak możesz wiedzieć co się dzieje na ulicy. Siedzisz to siedź, ja se poradzę. Jakiej cholery te korki tu są, zawsze zczynają się za mostem. To nie most, to wiadukt jest, byś się zastanowił zanim klapniesz szczęką, nawet jej nie myjesz, szczękę trzeba w wodzie moczyć, a nie szczotką parę razy, nie dziwota, że ci z paszczy podaje. A z twojego paszczura to niby szanel namber fajw, albo rumianek i zielone jabłuszko. Starzy już się robimy, nie będzie pachnieć, a ty za dużo mięsa jesz, do dentysty trzeba zarejstrować, dziecko nie było już pół roku, w jego wieku szybko się psuje. Mnie nic nie boli, nie będę jeszcze szedł. Ojciec też nie chodził, to teraz musi szczękę nosić. Jezu, co ta kretynka robi w tym samochodzie, weź trąbnij, niech się poruszy. Skąd wiesz, że to baba, może nie baba. To kretynka jakaś, chłop by już jechał. Tato ma rację, to babsztyl jakiś stary, w ogóle nie umie jeździć. Zaraz się

ruszy, te głupki światła tam postawili, i to teraz, jak największy ruch, co za idioci. No to teraz jedź szybciej, szlag mnie tu już trafia. Uspokój się, albo wyłaź i idź pieszo, ja nie pofrunę, nie prześcignę ich przecież. Kierunkowskaz włącz, ile razy ci mam przypominać. Przecież nie skręcam jeszcze. Ale zaraz będziesz, migacz nie włącza się przy skręcaniu, tylko przed, jaki ciul cię uczył jeździć, zabrałbym mu prawko na dwa lata. Ty byś wszystkim wszystko pozabierał, jakiś durny jesteś. Jak ktoś nie umie robić, co do niego należy, to niech idzie deszcz odgarniać. Śnieg się odgarnia. Śniegu by nie umieli odgarniać, jak nie umią roboty robić, to by za trudne było. A ty przestań stukać tą nogą, co sikać ci się chce. W szkole się wysikasz. Nie chce mi się sikać, nudno. To se bajkę opowiedz w myślach, o czerwonym kapturku. Ale ty durnoty gadasz, odczep się od dziecka. O, znowu bez migacza, kiedyś zabiorą ci prawo jazdy, ja bym ci zabrał. Ty nie zapomnij ziemniaków obrać, my będziemy o czwartej, to niech będzie gotowe, siedzisz w domu, to rób coś. Ja zawsze coś robię, nie zaczynaj swojej durnej gadki. Tato przecież pracuje w domu teraz, przez komputer. Przez komputer to on tam gołe baby ogląda. Ale ty pieprzysz, do dziecka takie głupoty. Idź do normalnej roboty, jak ja. Nie będę pracował z durniami, na chleb ci nie brakuje, ani na ciuchy, czepiasz się bez powodu. Mama ma orgazm, na pewno. Nie orgazm tylko okres, pomyliło ci się. Ale wiedziałem, że coś z nią nie tak. Ładnie syna wychowałaś, klnie jak jakiś pijus. A ty to nie klniesz, o, tu bym chciała przyjść na kolację kiedyś, mówią, że dobry kucharza, jakiś Farnucz albo Włoch. Najlepiej samemu gotować, czy ty widziałaś kuchnię w restauracji, oni tam rąk nie myją, plują do garów. Ciekawe, to dlaczego na całym świecie ludzie chodzą do restauracji, jakoś się nie brzydzą. Ludzie to lenie i pozerzy. Nic dziwnego, że ty kumpli nie masz, kto by z tobą wytrzymał, jak nikogo nie lubisz. Bym lubiał, jakby się zachowywali jak człowiek. Jak ludzie chyba. No, jak ludzie też. Tato ma kumpla, przecież

chodzi czasem do tego starego pana za miasto. Bo on mu bimbru podlewa, poza tym jest niemową. Większość ludzi powinno być niemowami. I pewnie ja też, co? - ja też powinnam milczeć. Przestań marudzić od rana. O, nareszcie szkoła. Synek, daj stary cię w czułko pocałuje na do widzenia. Weź, daj spokój tato, nie przy ludziach. Zawsze wstyd dziecku musisz robić. Jezu, przecież nikt nie słyszy, w samochodzie jest jeszcze. Ale ja mam okno otwarte, o, tamci się już odwracali.

- To naprawdę my? - Żona jest poruszona.

- Nie kto inny. Popatrz, to ja, a to ty. A tam, widzisz, dzieciak idzie w stronę szkoły, ogląda się za nami, jakby się wstydził. Niezła rodzina, co?

- Przeróżające.

Zgadzam się z nią. Patrzę na syna. Wyciąga kciuk. Zawsze tak robił, kiedy chciał się upewnić, że wszystko gra. Wyciągam swojego kciuka. Kiwa głową.

- Faktycznie, trochę to nieciekawie wygląda. Zdawałaś sobie z tego sprawę?

- Nie. A ty?

- Czy ja wiem. Może trochę. Nie byliśmy podobni do innych rodzin. Zresztą, ja nie miałem porównania, nie chodziłem w odwiedziny...

- Zawsze potrafiłeś się wykpić.

- ... Przeczynałem jednak, że można inaczej, że żyjemy na opak, do góry nogami.

- Człowiek powinien mieć umiejętność popatrzenia na swoje życie z boku, jak my teraz. Co powiesz? Raz na tydzień stanąć sobie z boku i pooglądać własne zachowanie. To mogłoby uczynić nasze życie lepszym. Chyba bym coś takiego polubiła.

- Niektórzy to potrafią.

- Naprawdę?

- Może nie dosłownie, nie o to mi chodzi. To nie ma nic wspólnego z tym, co my przeżywamy teraz, nie. Wiesz, oni mają umiejętność szerszego widzenia siebie, mogą oceniać

każdy krok, są uzbrojeni w coś, co pozwala im właściwie oceniać własne postępowanie, wyciągać z tego wnioski. I tacy ludzie dwa razy pomyślą, zanim powiedzą jedno słowo, nie mielią ozorami na lewo i prawo.

- To dlatego przeważnie milczałeś?

- Pewnie chciałem być taki, jak oni. Imponowali mi spokojni, małomówni ludzie, którzy jak już otworzyli usta, to mieli coś naprawdę ważnego lub interesującego do powiedzenia, potrafili kilkoma słowami przekazać tyle, na co ja i ty potrzebowalibyśmy milionów słów. Była w nich siła. Wiele razy łapałem się na tym, że nie potrafię zrozumieć, jak można być tak spokojnym, jaką siłą wewnętrzną trzeba dysponować, żeby z uśmiechem na ustach pracować ciężko i nie narzekać przy tym.

- Nie znałam takich ludzi.

- Ja także nie. Nie osobiście. Ale czasem ich widywałem.

- Musieli być okropnie nudni.

- Może i tak, ale, jak wiesz, nigdy nie lubiłem clownów, którzy na każdym kroku próbują dowcipkować, bałem się ich. Takie zachowanie na pokaz zwykle ukrywa jakiś defekt we wnętrzu, ranę na umysłowości. A tamci? Nudni? Ważniejsze jest to, że byli diabelnie skuteczni.

- Skuteczni?

- W dziewięciu przypadkach na dziesięć osiągnęli sukces.

- Myślałam, że nie potrzebujesz do życia sukcesu, wydawałeś się gardzić sukcesem. Kłamałeś...

- Zaraz, zaraz. Sukces nie dla wszystkich oznacza to samo. Dla jednych będzie to forsa i dwadzieścia samochodów w garażu, a dla innych spokojne życie z kochającą rodziną. Nie możesz wszystkich pchać do jednego worka.

- A ty się zabiłeś, bo nie dostałeś ani jednego, ani drugiego.

Oto żona, jaką pamiętam; ironizuje, kpi w żywe oczy, wyśmiewa. Pewnie robi to nieświadomie, bo przecież, jak sama powiedziała, nie potrafi oglądać siebie z boku, nie

umie ocenić własnego postępowania. Nie będę jednak się z nią kłócił w tym miejscu, jesteśmy tu na wezwanie syna i powinniśmy to uszanować. Niczym sobie nie zasłużył na takich rodziców. Nie, nie powiem nic więcej.

Tylko jedno słówko:

- Zabiłem się z powodu braku bodźców do dalszego życia. Albo jeszcze inaczej, nie było już powodów do śmiechu.

Chyba zrozumiała, że sprzeczki nie mają w tym miejscu podstaw.

Przez moment spogląda w dół, na nas, siedzących w samochodzie i patrzących za oddalającym się w stronę szkoły synem. Wydaje się wzburzona i zdezorientowana. Najwyraźniej miała całkiem inne spojrzenie na własną rodzinę, siebie samą. Pewnie wyobrażała sobie, że jest dobrą matką i żoną, że jej wpływ na syna jest pozytywny, przy niej może się rozwijać i rosnąć. Wierzyła w swoje działania. A teraz zobaczyła je z boku i nie jest już taka pewna.

Ja potrafiłem to dostrzec za życia, ale zabrakło mi siły, żeby się tym z nią podzielić. I tak nie chciałyby mnie posłuchać. Widziała lepiej, o czym mogliśmy się razem przekonać, oglądając poprzednią scenę z życia rodziny. Na każde moje słowo miała w zanadrzu dwadzieścia swoich.

- A ty nie byłeś inny, tato.

No tak, zapomniałem o synu. Siedzi i słucha. Ciekawym, czy mu się podoba. Pewnie tak, dzieciaki lubią podsłuchiwać rozmowy dorosłych. A ten dzieciak zawsze był w tym mistrzem, wiedział gdzie stanąć, w którym momencie zwolnić kroku, żeby uszczknąć jak najwięcej.

- Aleś ty złośliwy - wzdryga się. - Masz zły humor.

- Nie miewa się humorów po śmierci, ha, ha, ha, jest takim, jakim każe mi być twoja wyobraźnia, jak sobie mnie pamiętasz.

- Czyli w większości w złym humorze.

- Mylisz się. To nie był zły humor, nie, to był mój zwyczajny nastrój, naturalny dla mojej świadomości. Na

takim poziomie żyłem, nie miałem na to wpływu.

Oboje wybuchają nagle perlistym śmiechem. Pamiętam ich takimi. Często potrafili parsknąć jednocześnie, jakby na rozkaz. Rzadko łapałem powód nagłej radości, trzeba to przyznać, jak i to, że nieczęsto mieli ochotę na wyjaśnienia. W pewnych sytuacjach nie byłem jednym z nich, tajemnicą musiała zostać tajemnicą. Prawda jest taka, że wielokrotnie nawet nie zadawałem sobie trudu zadawania pytań, przemykając tylko pod ścianą, uciekając do bezpiecznej kryjówki. Szczur najlepiej czuje się w kryjówce, może tam planować kolejne wyprawy na śmietnik. Śmiech potrafił mnie przestraszyć nie gorzej niż najpotężniejsza burza z dzieciństwa. Jedynym wyjściem była szybka ewakuacja. W głośnym śmiechu przeszkadzała mi przede wszystkim jego lekkość.

- Śmiech jest lekki, tato.

Żona zgadza się skinieniem głowy.

- To są właśnie różnice między nami. Do was nie dotarła jeszcze beznadziejność ludzkiego życia, wciąż mieliście w sobie odporność na panujący wokół bezsens. Róbcie wszystko, żeby tę odporność zachować do starości, nie pozwólcie dać się omotać beznadziejności życia. Wtedy zostaje tylko ucieczka. Jak w moim przypadku.

- Mogłeś do nas dołączyć, wiele razy cię zachęcałam. Musiałeś to zauważyć.

- Za bardzo się bałem.

- Ale czego? Czego, do cholery?

- Każdego następnego dnia.

Każdego kolejnego dnia, który zacznie się tak samo; pierwsza myśl - znowu to samo, druga - szlag by to trafił, a potem będzie tylko gorzej. Niepotrzebne działania, nieistotne myśli; żeby szybko przebrnąć nerwowy poranek w domu, a potem jak najszybciej rozpocząć i zakończyć pracę, załatwić bzdurne sprawy, przeważnie byle jak, nie myśleć o nich, byle prędko i niedokładnie, niedbale, a potem przebiec pod ścianami miasta schylonym przed

bombardowaniem ludzkich oczu, niezauważonym przez nikogo, słodko anonimowym, i zniknąć w domu, gdzie trzeba jeszcze trochę pocierpieć, przeczekać z zaciśniętymi zębami, stoczyć kolejne tysiąc walk, poudawać zainteresowanie, nabrać ich i na koniec przemówić wciąż zaciśniętymi zębami trzy słowa, żeby nareszcie zasłużyć na małą nagrodę, móc odkręcić dwie wody, splukać z siebie całodniowy szlam niezadowolenia, a na koniec założyć słuchawki, zamknąć oczy i słuchając opowieści o prawdziwym życiu złożyć razem powieki, za którymi kryje się ta odrobina zadowolenia, dzięki której jeszcze można było przez ułamek sekundy wierzyć w siebie, chociaż bez wielkiej nadziei na lepsze.

- To straszne, tato.

- Synu, do tej pory powinieneś już sobie wyrobić opinię na temat swojego ojca.

- Tato, my mogliśmy ci pomóc, wierzę, że mogliśmy. Och, to wszystko twoja wina. Myśmy nie mieli szans, bez twojego pozwolenia. Nie dałeś nikomu szansy.

Przytula się matki. Ona obejmuje go czule. Ten widok jest dobry, pokazuje więź, która pomoże im przetrwać najgorszy czas. Nie powinno to potrwać długo. Wnet dotrze do nich, jak bardzo im ciążyłem, w jak idiotyczny sposób zatruwałem ich codzienne życie. Znajdą w sobie dosyć siły, żeby zacząć od nowa. Jest między nimi porozumienie, jakiego mnie nie udało się nigdy z żadnym z nich zawrzeć.

To pocieszające. Mimo wszystko, nawet jeżeli wybrałem niewiedzę na temat ich przyszłości, miło jest widzieć, jak poważnie traktują siebie. Niechby im się udało. Życzę im tego.

Tutaj coś mi się przypomina. Jest to wspomnienie tak straszne, że aż wzdrygam się na samą myśl o nim. Niestety, już się urodziło, istnieje i przeraża. Jak mogłem coś takiego w ogóle brać pod uwagę? Sam nie wiem. Nie można nic zrobić, żeby syn nie słyszał tej myśli, to niesprawiedliwe. Są myśli, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego, bo

nadają się wyłącznie do szybkiego umarcia, do zniknięcia w gąszczu galaktyk, żeby nie mogły stać się pożywką dla drugiego człowieka. Są niczym zaraza.

O czym ja tu? Mam. Ileż bym dał, żeby syn tego nie słyszał. Tego wspomnienia nie znalazłby w moim pożegnaldnym liście, nie potrafiłem być aż tak szczery, więc tym trudniej przejść mi do porządku, że jednak, tylko i wyłącznie za sprawą swojej niecierpliwości, musi się tego dowiedzieć. Nie powinien.

To było jakiś rok przed samobójstwem. Przechodziłem wyjątkowo podły okres; milczące dni w domu, ciągłe starcia z synem, do tego jeszcze doszło kilka problemów mniej osobistych, prawie zawodowych, które w ogóle nie powinny się jawić jako problemy, ale dla mnie już wtedy wszystko było problemem. Jeżeli mnie pamięć nie myli, był to okres, kiedy po raz trzeci w życiu pomyślałem o samobójstwie. Nerwy w strzępach, kumulacja nienawiści. Słowem - dno.

I o czym zaczęli którejś nocy mówić faceci w radio? W radio, które było ostatnim chyba bodźcem do kontynuowania bezsensownego bytu. O czym więc? O pladze samobójstw. Ale, ale, nie były to zwyczajne samobójstwa, nic z tego. O, to była długa noc, wstrząsająca. Na zawsze zapamiętałem widok nieprzeniknionej czerni, z taką uwagą się w nią wtedy wpatrywałem przez całą noc. Całą noc, choć sama audycja nie trwała dłużej niż pół godziny. Trzydzieści minut mające wszelkie predyspozycje, żeby doprowadzić do tragedii.

Co jednak było niezwykłego w omawianych przez dziennikarzy przypadkach, a było ich przynajmniej pięć, może osiem? Otóż ci nieszczęśni mężczyźni-samobójcy, w każdym przypadku byli to mężczyźni, nie poprzestali na klasycznym odebraniu sobie życia, o nie, mieli więcej wyobraźni, oni najpierw pozabijali swoich bliskich. Już wcześniej słyszało się o takich przypadkach, to jasne, jednak tym razem trafiło na podatny grunt. Coś mi zaczęło świtać, zapaliła się w głowie czerwona lampka

ostrzegawcza. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo zaczynam być niebezpieczny, skoro w ogóle tego słucham, skoro ani jeden palec nie fatyguje się do zmiany rozgłośni.

Czyżby mój syn tego nie słyszał? To niemożliwe. Jak do tej pory słyszał każdą moją myśl. A żona? Czy ona słyszy? Nie. Ona nie ma jego mocy. Niestety nie potrafię odgonić od siebie tamtego wspomnienia, pragnę tego ponad wszystko, ale nie jestem w stanie.

Tamta noc głęboko zapadła mi w pamięć, kilka kolejnych tygodni chodziłem niczym lunatyk, zastanawiając się, czy potrafiłbym coś podobnego zrobić. Co do siebie byłem niemal pewien, lecz co z nimi. Skoro jesteśmy skazani na wspólne życie, aż śmierć nas nie rozłączy, to czy nie jest to najlepsze wyjście, najbardziej sprawiedliwe? Czerwona lampka nie przestawała świecić ani na moment, mało tego, miałem wrażenie, że co jakiś czas się rozświecła, jakby uzupełniano w niej energię. Często przywoływałem z pamięci jeden przypadek po drugim, niemal mogłem widzieć jak ci ludzie wstają na nogi, oczy im płoną, usta zaciśnięte w wąską kreskę, żeby ruszyć w ostatnią w życiu, okrutną podróż.

Szczególnie jeden przypadek wywarł na mnie ogromne wrażenie. Była to, jak wyraźnie podkreślano, na pozór szczęśliwa rodzina; stosunkowo młodzi, on - dobrze zapowiadający się pracownik agencji nieruchomości, ona - kasjerka w banku. Mieli dwoje dzieci. Dwóch chłopców w wieku osiem i sześć lat, uczęszczali do tej samej szkoły. Sąsiedzi mieli o rodzinie dobre zdanie; nigdy nie widziano ich kłócących się, nie pili, dzieci były zadbane, w szkole nie sprawiały kłopotów. Jednym słowem - sielanka. I oto ta rodzina przestała jednego dnia istnieć. Znalazła ich matka kobiety, która co dzień rano odprowadzała chłopców do szkoły. Jak ustalono, mężczyzna najpierw zakłuł nożem synów, potem podciął żonie gardło, by na koniec powiesić się w garażu ich małego, otoczonego kwiecistym ogródkiem domku. Dlaczego ten przypadek szczególnie utkwił mi w

pamięci? Cóż, ten nieszczęśnik był moim rówieśnikiem. Zaczynał być, wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, także inspiracją.

Lampka nie przestawała świecić.

Dobrze pamiętam dzień po tamtej nocy. Jest ku temu szczególnie powód. Dałbym głowę, że żona coś zauważyła w moim zachowaniu, coś, co musiało dać jej do myślenia, bo wielokrotnie tamtego dnia przyłapałem ją, jak przygląda mi się ukradkowo, zamyślonymi oczami, z poważną miną, jak gołąb przygląda się kotu. Nie uważałem, żeby odgadła, co chodzi mi po głowie. Nie tak, wróc to tempo. Nie odgadła całości, to mam na myśli. Może i zdradzałem już oznaki szaleństwa, całkiem możliwe, że zobaczyła na mojej twarzy ten wyraz bezsilności, właściwy ludziom dążącym do samounicestwienia, to bardzo realne. Jednak nie mogła dopowiedzieć sobie reszty, w to nie uwierzę.

A potem? Czas mijał, a ja dumałem.

Czy? Jak? Kiedy?

Kiedy?

Nie było daty. Ciągałem się za życiem na połamanych nogach, ramionami bolącymi od wzruszania, z oczami pełnymi nudnych obrazków. Jednak nie udało się ustalić daty. Daty przestały cokolwiek oznaczać.

Jak?

Tutaj rozmyślenia przybrały konkretny wymiar, widziałem narzędzie zbrodni - inne dla nich, inne dla mnie. Błyszczące ostrze wkłada się szepczącym ślizgiem w śpiące ciało i obraca o sto osiemdziesiąt stopni. Na palcach do drugiej sypialni, powtórka. A potem ja. Dwie garści tabletek. Zmiana planu. Trzy garści. Nie mam trzech garści. Niech będzie sznur.

Czy?

Tak. Nie. Nie. Tak. Jak to w życiu. Za i przeciw, liczenie zysków i strat, dobijanie się do lochu zamieszkanego przez czerwone ze wstydu sumienie, błagalne śpiewy na cześć zdrowego rozsądku, ballada dla oświeconego umysłu, i na

koniec najważniejsze - modły do diabła, tego piewcy
dobrego życia. Nie! Nie! Nie! Zwycięstwo!

Czerwona lampka zgasła.

Słaby człowiek potrafi wygrać z samym sobą. Ale tylko jeden raz. Po tym zwycięstwie ma aż dwa wyjścia - żyć albo umrzeć. Inna alternatywa nie istnieje.

Z gęstej ciszy wyłaniają się drgające dźwięki wzdychania. Syn zareagował pierwszy. To jego westchnięcie spowodowało rozfalowanie powietrza, to na jego reakcji cisza przemienia się w pełen ekspresji huragan. Żona jeszcze nie rozumie, nie posiada umiejętności mojego syna. Jest tutaj bardziej jako widz, i choć może brać udział w naszych rozmowach, to nie do końca zdaje sobie sprawę ze złożoności tego wszystkiego. Patrzy na syna z przestrachem wymalowanym na twarzy, chciałaby dostrzec powód jego nagłej reakcji, lecz nie jest w stanie. Jej zaciśnięte usta wyrażają złość, ona nie lubi pozostawać w nieświadomości, nigdy nie lubiła. Zbyt dociekliwą naturą została narodzona.

- Zrobiłbyś to, tato?

- Nie.

- Czy taka myśl przyszła ci do głowy tylko i wyłącznie za sprawą audycji, o której myślałeś?

- Gdybym tak powiedział, skłamałbym. Nie będę ci kłamał. Myślałem o tym już wcześniej. Taka jest prawda. Ale...

- Poczekaj, poczekaj. - Unosi do góry dłoń. Jest wyraźnie wzburzony. - Chciałeś, żebyśmy zginęli razem z tobą?

- Co!?

Tylko brakowało, żeby i ona się o tym dowiedziała. Dlaczego nie wyłączył jej na tę chwilę? Pewnie umiałby - to jego wyobraźnia.

- Mama też powinna wiedzieć.

- O czym powinnam wiedzieć, co miały znaczyć twoje wcześniejsze słowa, synu, kto miał zginąć z kim?

Nie dała mi dojść do słowa, nie byłem dosyć szybki. Teraz leżę na całej linii. Zmuszanie człowieka, nawet jeżeli już nie

jest człowiekiem z krwi i kości, a tylko wytworem wyobraźni drugiego człowieka, do aż tak szczegółowych, tak dalece osobistych wynurzeń, uważam za lekkie przegięcie. Wolałbym się tłumaczyć tylko z czynów, nie zaś z myśli, chociażby były i plugawe, godne potępienia. Żaden sąd nie interesuje się potencjalnymi przestępstwami, liczą się tylko złe uczynki, a nie fakt, że przyszło człowiekowi do głowy ich dokonanie.

- Tato ma brzydką tajemnicę.

Czuję się fatalnie. Coś ściska mnie od środka. Nigdy nie potrafiłem z nią rozmawiać o ważnych sprawach, ciężko przychodziło otwieranie się, na dobrą sprawę w ogóle nie zwierzałem jej się z najgłębszych uczuć czy przemyśleń, a teraz muszę odsłonić najgłębiej skrywaną, najczarniejszą tajemnicę.

- To nie jest tak naprawdę tajemnica - zaczynam niepewnie.

- Nieważne, chętnie posłucham.

Rozsiada się wygodniej i rękami podpiera brodę.

I tutaj wtrąca się mój syn. Nie zmienia co prawda tematu, ale postanawia wziąć inicjatywę w swoje ręce. Nie znam powodów jego działania, lecz jestem mu naprawdę wdzięczny.

- Mamo - mówi - pozwól, że ja ci to powiem.

Patrzy na niego zaskoczona. Potem przenosi wzrok na mnie. Nie jestem w stanie tego udźwignąć i ze zrezygnowaniem wpatruję się w przestrzeń pod nami, gdzieś, gdzie i tak nie ma dla mnie ratunku.

- Dobrze.

- No to, jakby... No, tato kiedyś pomyślał, że chciałby żebyśmy zniknęli razem z nim, że zabierze nas ze sobą.

- Jezu... - szepcze bardzo dziwnym głosem, jakby głośne mówienie było zakazane pod groźbą najwyższej kary - ... to jakaś bzdura.

- Nie, mamo. Tato jest tutaj, bo ja chcę wszystko wiedzieć. Nie kłamie mnie, obiecał mówić tylko prawdę.

- I prawdę mówię - wtrącam.

Chyba za cicho.

Taka prawda, to, co ona w sobie zawiera, nie jest nadaje się do opowiedzenia, nie można z niej zrobić baśni dla słuchacza w żadnym wieku, czy nawet wiersza. To dlatego nie potrafię podnieść głosu i powiedzieć tej prawdy wprost. Są tu tylko, jak mniemam, dwa wyjścia - albo bić się z myślami o morderczych zamysłach, samemu cierpieć, skoro już coś podobnego zaległo się w wypaczonym umyśle, albo, co już jest wynikiem całkowitej degeneracji funkcji umysłowych, wprowadzić je w czyn.

Ona nie może w to uwierzyć.

Na pewno jest wstrząśnięta, nie udaje. Może jednak pomyliłem się co do tamtego dnia po wysłuchaniu nocnej audycji, kiedy pomyślałem, że coś wyczytała z mojej twarzy. To tylko pokazuje, jak mało o niej wiedziałem, nie umiałem czytać wyrazu jej twarzy, nie chciałem zadawać odpowiednich pytań, wmawiając sobie tylko to czy tamto.

- Pomyślałem o tym naprawdę - mówię nieco głośniej.

Oboje czekają. Ja także. Nie chcę na razie mówić niczego więcej.

Syn wydaje się być całą tą historią zafascynowany, pewnie nie dociera jeszcze do niego cała jej groza. Dzieci są niewolnikami ciekawości i niesamowitości, wszystko jest dla nich niezwykle, przez co łatwo można przemycić do ich myślenia najbardziej nawet absurdalne zdarzenia czy pomysły. I musi minąć sporo czasu zanim zaczną widzieć je takimi, jakimi są naprawdę.

Na co czeka ona, nie wiem. Powinna krzyżeć, klnąc, wyzywać mnie od idiotów, skurwysynów, walić w pysk pięściami, kopnąć w krocze, uciec wreszcie, zabrać dziecko, żeby nie musiało mieszkać z psychicznym. Albo inaczej. Mogłaby zamknąć się na wiele tygodni w sobie, nawet wzrokiem nie odpowiadając na zaczepki, mogłaby uciec w swój normalny świat, zupełnie nie zważając na mężczyznę w domu, ale pozwalając mu przebywać obok syna,

ryzykując wiele, jednocześnie po kryjomu mogłaby umówić mężczyznę na wizytę u specjalisty, i nie byłaby to wizyta kurtuazyjna, tylko ratująca życie całej rodziny.

Mogłaby zrobić to wszystko, gdyby tylko wiedziała, gdyby się rzeczywiście domyśliła. Strzęp informacji odbijający się z twarzy człowieka tylko dla niektórych jest czytelny. Dla nas nie był.

Teraz zna prawdę. Nie jest istotne co z nią robi. Byłbym głupcem, jeżeli spodziewałbym się nagrody za poniechanie morderczych planów. Nazywanie morderczych instynktów planami jest może pójściem na skróty, ale jakże przyjemniej jest potem wmawiać sobie, jakim to twardzielem było się, rezygnując z wprowadzenia ich w życie. Jak już powiedziałem, nie spodziewam się za to nagrody.

- Zawsze wiedziałam, że z tobą nie wszystko jest w porządku.

- Nie było, masz rację. Toczyła mnie choroba, której zdiagnozowanie nie jest łatwe. Jeżeli dobrze się rozejrzeć, jest na świecie wielu takich jak ja. Niby zachowują się normalnie, niby nie ma powodu do patrzenia na nich podejrzliwym wzrokiem, jednak od czasu do czasu potrafią zaskoczyć innych. Nazywa się ich wtedy delikatnie ekscentrykami, ale, na litość boską, to słowo jest jak baśniowe nowe szaty cesarza - złudne. I na dodatek niebezpiecznie banalne.

- Co konkretnie sobie myślałeś? Musiałeś przecież w jakiś sposób usprawiedliwiać ewentualny czyn przed samym sobą, przed swoim zmutowanym sumieniem.

- Też chciałem cię o to zapytać - wtrąca się syn.

Wytłumaczyć niewytłumaczalne - oto zadanie godne szaleńca.

Nie ma przepisu na podobne zwierzenie. Każde słowo będzie nietrafione, nawet jeżeli przyniesie choćby ułamek prawdy. Ileż to razy już mówiłem o utracie radości życia. Jest to pojęcie tak pojemne, że można do niego zmieścić wytłumaczenie dosłownie każdego negatywnego

zachowania. Nie inaczej jest z tym, którego wytłumaczenia teraz się spodziewają.

Jak będę wyglądał w oczach mojego chłopaka, jeżeli wypowiem tylko te dwa słowa, które i tak już słyszał podczas tego spotkania pewnie ze sto razy? Wyjdę na słabiaka, małego frustrata, nie potrafiącego dać synowi jasnego obrazu swojego własnego życia.

Przecież nikt inny nie wie o nas więcej niż my sami. Dlatego muszę się z tym zmierzyć, muszę dać mu chociaż jeden powód do tego, żeby wspominał ojca, jeżeli nie z dumą, to przynajmniej bez obrzydzenia i zażenowania.

Jedno jest pewne. Trzeba mówić otwarcie, nie kluczyć. Przede wszystkim zaś nie bać się, bo przecież nie mam nic do stracenia. Już nie. Jest natomiast coś, co oni mogą zyskać na mej szczerości - nowe doświadczenie, które da im siłę.

Przeraża prawdopodobieństwo pomieszania szczerości z prawdą. Różnica jest łatwa do zdefiniowania, lecz nie wiem, czy oni to wiedzą, nigdy nie rozmawialiśmy na naprawdę ważne tematy. Nasze wspólne życie zamykało się w małym okręgu nieistotnych spraw, przekroczenie granicy którego nie wydawało się możliwym.

Dostaną i prawdę i szczerość.

- Jeżeli potraficie, wyobraźcie sobie taką sytuację. Budzicie się któregoś ranka i jesteście gotowi do rozpoczęcia codziennej rutyny; ścielenie łóżek, mycie zębów i tak dalej. Od razu wiadomo, że coś jest nie tak. Brakuje mnie. Może być kilka wyjaśnień mojej absencji, od razu odrzucacie najpierw pięć, a potem kolejne dziesięć. Jedenasta też okazuje się być nieprawdą. Gdzie on jest? Kiedy wyszedł? Przecież wieczorem był z wami.

Żona porusza się niespokojnie.

- Ja bym się wystraszyła, wiesz o tym.

- Ja też - potwierdza chłopak.

- Widzicie, pomyślałem o tym. Nie chciałem zostawiać was w takiej sytuacji. Ale to nie jest dobry powód, dla

którego chciałem was zabrać ze sobą. Żeby nie przedłużyć, przejdę do sedna. Uważałem, że nie jesteście szczęśliwi. Objawy były nad wyraz wyraźne; od rana zły humor, sprzeczki, naburmuszone miny. Na dobrą sprawę takich dni było ze trzysta w roku. Wydawało mi się, że musicie czuć się tak samo jak ja. Pomyślałem o ciężarze, jaki musicie dźwigać, a było to tym łatwiejsze, iż sam nosiłem dokładnie taki sam. Nie wiem jak radziliście sobie w życiu codziennym poza domem, nie rozmawiało się o tym za wiele. Każdy z nas był strasznie tajemniczy, jeżeli chodziło o życie pozadomowe. A w domu? Wszyscy pamiętamy, jak to wyglądało, zresztą, wiele widzieliśmy tam, na dole.

- Mamo, tato powiedział wcześniej, że nasza trójka nie powinna się nigdy spotkać.

Ona wybucha śmiechem.

- Dlaczego się śmiejesz? - pytam.

- Bo teraz widzę, że ty niczego nie rozumiałeś.

- Jak to?

- Wiesz, już jakiś czas temu zdałam sobie sprawę, że wyszłam za nieodpowiedniego człowieka. Teraz zbieram tylko dowody, nabieram przekonania; patrząc na idiotyczne sceny, słuchając twych chorych wywodów, dowiadując się na dodatek co zamierzałeś z nami zrobić. Zrozum, to, że jeżeli tobie nie podobało się życie, że nie potrafiłeś porozumieć się z bliskimi nie oznacza, że miałeś moralne prawo odbierania im życia, zabierania ich ze sobą, jak to wcześniej nazwałeś. Zaczynam odczuwać ulgę, bo to się już skończyło. Popatrz, ludzie nawet nie wiedzą, w jakim niebezpieczeństwie się znajdują. Powiedz mi, jak blisko byłeś spełnienia tego chorego pomysłu.

- Pewnego wieczoru byłem bardzo blisko. Był już nawet gotowy plan. Zostało tylko działać. Stchórzyłem.

Kręci głową. Przyszło jej coś do niej.

- Przyszło mi coś do głowy - wtóruje moim myślom - coś, co zaskoczyło mnie swoją prostotą.

- Aż boję się zapytać, co to takiego.

- Powiem ci. Może nie będziesz zadowolony z tego, co usłyszysz, ale mnie samej spadnie ciężar z serca. Nie byłam tego pewna jeszcze niedawno, lecz teraz już tak. I nie boję się mówić. Zaczynam odczuwać ogromną ulgę. Mam swoje życie z powrotem. Co za odkrycie. Jestem w szoku. Mogę naprawdę żyć. Bez obciążenia. Żal mi ciebie, muszę to przyznać. Ale, do licha, już nie masz na mnie wpływu. I jeszcze jedno, to jest dopiero odkrycie, od dzisiaj na nowo zacznę wierzyć w siebie. Słyszysz? Będę wierzyć w siebie.

- Nigdy ci tego nie broniłem.

- Może nie dosłownie. Przypomnij sobie jednak, ile razy zwróciłeś uwagę na moje działanie, ile razy je pochwaliłeś? Odebrało pamięć? Przypomnę ci - nigdy. Zawsze tylko wzruszenie ramion, mruknięcie, szukanie dziury w całym. Byłeś niedoścignionym mistrzem szukania dziury w całym. Nigdy jednak żadnej nie znalazłeś. Z prostego powodu - szukałeś nie tam gdzie trzeba. Zawsze u innych, nigdy u siebie. Tak łatwiej, co? Kobieta potrzebuje oparcia, odważnego mężczyzny, który będzie potrafił zapewnić jej bezpieczeństwo, w każdym aspekcie życia.

Czy nie działa to w obie strony? Czy i mężczyzna nie potrzebuje oparcia? Potrzebuje, jak najbardziej. Może oparcie to nie jest dobre słowo, może lepiej byłoby użyć innego. Inspiracja świetnie tu pasuje.

Nie byłem oparciem, ona nie była inspiracją. Dobraliśmy się wyjątkowo pechowo. Pewnie nie my pierwsi i nie ostatni.

- Nie odpowiadasz - przerywa mój tok myślenia.

- Co? A, tak. Przepraszam, zamyśliłem się.

- To ci się zawsze pierwszorzędnie udawało.

Złośliwa jak zawsze.

- A ty, co? Nie potrafisz odmówić sobie przyjemności rzucenia jakiejś złośliwości, co? Byle tylko zganić, dogadać. A najlepiej jak byłby obok ktoś obcy, wtedy smakuje jeszcze lepiej.

- O czym ty mówisz?

- Zdziwiona? Byłaś złośliwa, nie oszukujmy się. Takie zachowanie w stosunku do najbliższej osoby szybko potrafi ostudzić wszelkie ciepłe uczucia. Nie dziw się więc, że nie byłem tu wyjątkiem.

Zdziwienie na twarzy maluje się zawsze tak samo; otwarte usta, rozszerzone powieki, zmarszczki na czole.

Znowu cisza. Strasznie dużo tu tej ciszy. Co tylko padną mocniejsze słowa, zaraz musi zapaść cisza, jakby tylko w jej zimnie można było ostudzić emocje. Na pewno żadne z nas nie chce ranić drugiego, nie świadomie, jednak zawsze wychodzi odwrotnie. Jak na złość. Często szukaliśmy winnych tego naszego nieszczęsnego losu, ale nie znajdowaliśmy. A oni byli tak blisko, siedzieli naprzeciwko nas, ja na przeciwko niej, ona na przeciwko mnie.

Tym razem ciszę przerywa nasz syn. Jest zdenerwowany.

- Cisza! - krzyczy. - Mam tego po dziurki w nosie. To miała być spokojna wycieczka w twoje życie, tato. Tak to sobie wyobraziłem. Czy wy nawet teraz nie potraficie dać sobie spokoju z tym ciągłym udowadnianiem sobie, kto ma rację? Mamo, czy tobie to sprawia przyjemność? Dostyc tego! Mam ochotę porządnie was nakopać. Boże, dlaczego nigdy tego nie zrobiłem?

Nic nie odpowiadamy.

- Słuchajcie! - Ale jest nabuzowany. W tym stanie na pewno byłby w stanie rzucić się na kogoś. - Od teraz zabraniam wam się sprzeczać. Nie ma już wiele czasu, a ja jeszcze mam parę pytań do taty, więc zachowujcie się rozsądnie. Obiecujecie?

- Tak.

- Tak.

- Dziękuję. A ty, mamo... jest jeszcze coś. Proszę, postaraj się nie przerywać tacie. Niech się dowiem jak najwięcej.

Ona tylko kiwa głową.

- Nie gniewaj się. To ważne dla mnie. Muszę się dowiedzieć jak najwięcej.

- W porządku, nie musisz się tłumaczyć, dobrze cię rozumiem.

- Dobrze. - Chłopak wyraźnie się rozluźnia, napięcia znika z jego twarzy. - Teraz, co do dalszego ciągu. Chciałem żebyśmy wrócili do tematu twojej izolacji towarzyskiej, tato. To jedna z tych rzeczy, których nie potrafię pojąć. Mówiłeś, że nie lubiłeś towarzystwa ludzi. Czy bałeś się ich?

Tak bardzo zmienił temat, że z trudem udaje mi się przegonić z wyobraźni ostatnie wydarzenia. Szczególnie niektóre spostrzeżenia żony mocno we mnie wniknęły, dając tematy do głębszych rozważań, na które niestety nie ma teraz czasu, i może nigdy już nie będzie.

Czy bałem się ludzi? Łatwa odpowiedź na łatwe pytanie.

Tak, bałem się ludzi. Z przerażeniem myślałem o spędzaniu z nimi czasu, o dłuższej rozmowie. Z upływem czasu ludzie stali się dla mnie tak dalece niezrozumiali, że zastanawiałem się nad sensem ich istnienia. Na dobrą sprawę ludzkie istnienie jest dla obcej jednostki jedynie tłem dla ich własnego, również bezsensownego życia. Teraz wiem, że dojrnięcie do podobnych wniosków jest niczym stanięcie nad skrajem przepaści, a wtedy pozostaje tylko jeden krok ku zgubie.

- Mogłeś zostać pustelnikiem, tato, zamieszkać gdzieś w lesie, w zgodzie z naturą, skoro tak bardzo przeszkadzali ci ludzie. Słyszałem o takich przypadkach.

- Kiedyś tak robiono. Jeżeli ktoś nie potrafił albo nie chciał żyć pośród ludzi, znajdował sobie jakieś zaciszne miejsce, w lesie, na pustyni, pośród kamiennych grot, nieraz w opuszczonym kościele i tam, oddalony od ludzkich oczu dokonywał żywota w sposób, jaki uznawał za właściwy swojemu charakterowi.

- Dlaczego i ty tego nie uczyniłeś?

Zdaje się, że on nie potrafi postawić się na miejscu drugiego człowieka, a to oznacza jedno - nie będzie mu w życiu lekko. Ten tylko bowiem będzie żył pełnią siebie, kto nauczy się rozumieć innych.

- Czy nie mówiliśmy już na ten temat?

- Może... Jednak... To dla mnie bardzo interesujące.

- Dobrze, niech ci będzie. Powód, dla którego nie zostałem pustelnikiem jest prosty. Nie potrafiłem wytrzymać już nawet sam ze sobą. Jeżeli byłem okropny dla innych, to dla siebie byłem okropny po tysiącokroć. Nienawiść do samego siebie to nieuleczalna choroba. Możesz sobie wmawiać co chcesz, możesz udawać zdrowego, nazywać to niechęcią do rodzaju ludzkiego, cokolwiek, to bez znaczenia, jednak prawda jest taka, że gardząc sobą, tracisz ostatnią deskę ratunku, zaczynasz spadać.

Co według ciebie miałbym robić całymi dniami, pozostając całkiem na uboczu, kiedy nawet nie umiałbym już skupić się na niczym, bo przecież nic mnie nie interesowało. Po co miałbym wstawać rano? Żeby jeszcze bardziej pograżać się w ciemności, chociaż wokół świeciło by słońce. Żeby patrzeć na drzewa i nie potrafić ich zrozumieć? Żeby wreszcie zamykać wieczorem oczy tylko po to, żeby zostać sam na sam ze swoimi czarnymi myślami? Czy według ciebie to byłoby wyjście dla mnie, synu?

Zastanawiam się, czy nie za wiele tego wszystkiego dla tak młodego chłopaka. Jak sobie poradzi w życiu, mając w świadomości tak ogromny bagaż ojcowskich skarg? Wciąż uważam, że nie powinien mnie tu ściągać. Jest jeszcze taki niedojrzały, niewinny. A tymczasem skazał się na przedwczesny koszmar wynurzeń samobójcy. I nic tu nie ma do rzeczy, że to jego ojciec. Może to w ostatecznym rozrachunku okazać się nawet jeszcze większą pomyłką, niżby poznawał wspomnienia obcego człowieka. Nie byłby wtedy podchodził do tego z pozycji osoby bezpośrednio związanej z tematem. Sam nie wiem. Pewnie tak myślę tylko dlatego, bo już chciałbym odejść.

- Cierpliwości, tato. Już jesteśmy bardzo blisko

To podłość z mojej strony, że ciągle myślę o zniknięciu, chcąc jak najszybciej dostać to, o czym tak długo marzyłem – nieświadomość. Lecz brak tu złej woli. Brak tu nawet mojej własnej woli. Te myśli ukazują się same z siebie, nie potrzebują dodatkowego bodźca. Jeżeli mój syn potrafił samą tylko wolą wyobraźni spowodować nasze ostateczne spotkanie, spotkanie niezwykle, trzeba zaznaczyć, to chyba i moja wyobraźnia ma tu coś do powiedzenia. Widocznie skok z drzewa, a co za tym idzie śmierć fizyczna, nie spowodował całkowitego jej zniknięcia. Gdzieś kiedyś nawet czytałem o tym, że niby to praca mózgu trwa czas jeszcze jakiś po tym, jak nie bije już serce, kiedy zamiera ruch krwi i proces oddychania. Całkiem możliwe, że coś takiego właśnie teraz przeżywam. To by nawet wszystko tłumaczyło. Ależ tak, to nie wyobraźnia mojego syna, to nie ona gra tu pierwsze skrzypce. To ja sam. To ginące resztki mojej świadomości podają mi wszystkie te wydarzenia. Chyba nareszcie doszedłem prawdy, tak przynajmniej sędzę.

- Nie łudź się, tato.

Zbyt dobrze słyszę ten głos, żebym mógł wątpić w jego istnienie tuż obok. To jest głos mojego syna. Odwracam głowę i widzę go wyraźnie, a jednak nie potrafię oprzeć się wrażeniu, iż oto patrzę na zjawę. Synowskie rysy zdają się poruszać, jakby targały je ruchy wiatru. Niektóre z tych rysów odrywają się od jego twarzy, jedne od czoła, inne od nosa, policzków. Odlatują w dal. Jednak na ich miejsce zaraz odrastają nowe, tylko po to, by także zaraz oderwać się i odlecieć. Nie jest mi teraz do śmiechu. Dałbym wiele, żeby tylko to się już skończyło. Ale nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Ta niewiara nie jest bezpodstawna. O nie. Ona opiera się na solidnych fundamentach. Dość powiedzieć, że oprócz rysów synowskiej twarzy w przestrzeń lecą także fragmenty jego włosów. Nie koniec na tym. Widzę jak moja żona wychyla się z naszego dziecka i próbuje coś powiedzieć. W tej samej chwili jej język odrywa się, by

podążyć za fragmentami twarzy dzieciaka. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Ona rzuca się w tamtą stronę i jakimś sposobem łapie różowy jęzor, wkładając go sobie w tej samej chwili do ust. Uśmiecha się.

- Patrzcie na dół! - krzyczy naraz mój syn.

Oboje staramy się spojrzeć we wskazanym kierunku, jednak przy tej wicherze nie idzie to dobrze. Pamiętam, jak moja babka mawiała, że kiedy się ktoś wieszka to zawsze zrywa się wichura oraz wyją psy. Wichurę mamy, wycia jednak żadnego nie słychać. Więc ta wichura to chyba nie na moją cześć.

Koncentruję wzrok na scenie w dole dole, gdzie wieki temu zostawiliśmy naszą trójkę. Wstrzymana rodzina, biedne kukielki bez przewodnika, zmuszone cierpliwie czekać w nieskończoność na wyczerpanych bateriach, aż ktoś sobie o nich przypomni. Widać tyle, co nic. Wietrzyko przyciągnęło ze sobą ciemnych chmurzysk, jakieś opary, czy co to tam jest. Czuję się, jakbym wlaź w środek pożaru, jednak te opary nie duszą, to nie jest dym. Ale przecież ja i tak nie mógłbym się dusić. Nie jestem już ludzką istotą, jestem wytworem wyobraźni - synowskiej albo swojej. Może nawet obu naraz.

Coś zaczynam widzieć.

Tam, w dole, nasza trójka wychodzi ze sklepu. To duży sklep, supermarketowy. Masa ludzi i masa towaru, coś, czego nie znoszę. Miny mamy takie, jakbyśmy mieli zaraz rzucić się na siebie z nożami w rękach. W rękach mamy jednak coś innego, siatki z zakupami. Zakupy. Dlaczego akurat taki obraz przywołał mój syn? Przecież dobrze wie, że wspólne zakupy zawsze kończyły się awanturą. Czyżby znajdował jakąś szczególną przyjemność w pokazywaniu co wstydlivszych fragmentów z naszego rodzinnego życia? Jeżeli w ogóle można to było nazwać rodzinnym życiem. W zwyczajnej rodzinie, nikt nie skrada się pod ścianą, nie idzie do toalety na palcach, żeby tylko nie być usłyszany przez innych, bo gdyby go usłyszeli, gdyby jego kroki

zostały zidentyfikowane, musiałyby się ujawnić, pokazać, musiałyby otworzyć usta i coś powiedzieć. Nikt tego nie chciał.

Wychodzimy z tego sklepu, wściekli na samych siebie i na cały świat. Żadne z nas nie próbuje nawet owej wściekłości maskować przed innymi ludźmi. Inni ludzie nie mają znaczenia, są tylko dekoracją. Ale ta dekoracja jednak żyje, obserwuje. Ja idę z przodu. Nie czekam na nich, chcę jak najszybciej zniknąć w samochodzie, a potem w domu. Tylko tam, w osobnym pokoju potrafię jeszcze jako tako egzystować, tylko zamknięty w czterech ścianach nie muszę żyć. Mogę położyć się na łóżku, by z zamkniętymi oczami marzyć o wiecznym nieistnieniu.

Wspólne zakupy ujawniały całą prawdę o nas. Czas spędzany pośród innych ludzi, w poszukiwaniu rzeczy, których ładowanie do wózka było dla mnie niczym godzenie się z życiem wbrew sobie, to był prawdziwy koszmar. Dla mnie, dla mojego syna. Tylko żona lubiła tam chodzić. W niej było jeszcze życie, ona wiedziała, że tylko robienie normalnych rzeczy, życie w zwyczajny sposób, może ją uratować. Ona chciała się uratować, w niej była siła, której nie było we mnie. Synowi było niby obojętne, lecz przebywanie z nami w tak ekstremalnych warunkach, jak duży dom towarowy, uwydatniało jego najgorsze instynkty. Wstydził się nas. Nienawidził, jak sądzę. Wstydził się przed innymi ludźmi, że jego rodzice nie potrafią się uśmiechać, że nie rozmawiają ze sobą, że nigdy nie rozmawiają z innymi, bo nie mają znajomych, nikogo nie znają i nikt na nich nie zważa. Musiał czuć się wyobcowany.

Wsiadam do samochodu, a minę mam doprawdy straszną. Jak ci milczący faceci z filmów, co to za moment mają dać komuś łupnia.

Patrzę na idącą z tyłu żonę. Jest wściekła i zarazem smutna. Pewnie miała nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Ma w tej chwili twarz przegańca, na której dodatkowo odbija się ponury cień jakiegoś mocnego

postanowienia. Coś jak noworoczne postanowienie. W jej jednak przypadku należy mieć na uwadze to, że będzie to spełnione postanowienie.

Co sobie wymyśliła?

Cóż, pewnie dotyczy owo postanowienie tego, żeby już nigdy nie wmawiać sobie czegoś, co i tak nigdy nie nastąpi, w tym wypadku chodzi pewnie o nadzieję na wspólny miły dzień w centrum handlowym. To nie mogło się udać, jednak ona w swojej naiwności nie potrafiła tego zrozumieć.

Nie mogę być pewien co do istoty tego przemyślenia, to wszystko zgadywanie, jednak tak je z jej twarzy odczytuję.

A teraz postanowiła sobie już więcej nie próbować, nie brać nas ze sobą. I nie brała. Zawsze potrafiła tak wszystko załatwić, żeby jechać samej. I wszyscy byli z tego zadowoleni.

Scena krótka, niewiele niosąca ze sobą informacji, banalna, ale z jakichś powodów mój syn ją przywołał. Nie wiem, co chciał osiągnąć. Tak w ogóle, to coraz mniej tam na dole scen z mojego życia, od jakiegoś czasu zajmujemy się tylko naszą rodziną. Owszem, jej wpływ na moje zachowanie jest niezaprzeczalny, jednak należy spojrzeć z drugiej strony. Na sposób, w jaki moje zachowanie wpływało na naszą rodzinę. Uważam zresztą, że ten temat i tak został w pewnym stopniu wyczerpany. Ileż można powiedzieć o rodzinie tak ubogiej duchowo, niewiele rozmawiającej, nie mającej wspólnych zainteresowań, wspólnych planów na przyszłość?

Od pewnego czasu, co już zostało powiedziane, czekaliśmy aż syn się usamodzielni, opuści nas, zacznie żyć na własny rachunek, i wtedy będziemy mogli i my to zrobić. Ta rodzina nie mogła dłużej istnieć w taki sposób. Ja nie doczekałem momentu na który czekaliśmy, ale ona miała nadzieję doczekać. I doczekałaby pewnie, gdyby nie moja niezapowiedziana akcja. Nawet po śmierci wszedłem jej w paradę. Ależ musi mnie nienawidzić, to znaczy, ona, która jest tu z nami, która jest naszą wyobraźnią, albo swoją

własną wyobraźnią. Nawet nie chcę sobie wyobrazić jak prawdziwa, nie wiedząca jeszcze o mojej śmierci, jak bardzo znienawidzi pamięć po mnie, kiedy tylko się dowie co zrobiłem.

Na razie, póki ona jest tu z nami, mamy do czynienia tylko z naszymi wyobraźniami. Jej uczestnictwo w tej zabawie jest tylko wytworem naszych wyobraźni, dlatego pewnie nie odpowiada tak, jak by chciała, tylko tak, jak my sobie to wyobrażamy. Ja i syn.

Budząc się rano, odkrywając stopniowo prawdę, nabierając pewności co do prawdziwości zaistniałej sytuacji, wtedy dopiero wyrazi swoje uczucia, wtedy dopiero pokaże prawdziwe oblicze. Ja tego nie zobaczę. Nie będę miał takiej możliwości. To, co sobie teraz wyobrażam, co wyobraża sobie mój syn, to tylko taka niewinna zabawa z naładowanym pistoletem.

- Uważasz tato, że powinienem bardziej skupić się na twoim życiu? - słyszę pytanie, dotyczące dawno już wyrażonego zdania.

- Naszą rodzinę dosyć szczegółowo omówiliśmy, czyż nie?

- Pomyślałeś sobie, że już więcej nic nie można dodać...

Niech się zastanowię.

Jeżeli coś nadaje się tylko do zlikwidowania, nie należy temu chyba poświęcać zbyt wiele czasu. Na śmietnikach całego świata pełno takich odpadków, leżą odłogiem po obszczanych bramach, pijąc na potęgę alkohol i awanturując się z panem Bogiem, jeżeli akurat nawinie im się pod rękę, albo śpiewają sobie pod nosem, czekając, aż ktoś im poda pomocną dłoń. To są odpady, produkty uboczne źle założonych rodzin. Na innych śmietnikach leżą inne odpady. Te drugie są zbyt młode, żeby rozumieć, nie potrafią jeszcze pić, nie są w stanie zrobić awantury panu Bogu, bo ciągle jest w nich dziecięca ufność.

- Synu, gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy pastwić się nad naszą rodziną bez końca, wiele w jej życiu było momentów godnych tego, żeby je pokazać tam na dole,

moglibyśmy przywoływać wciąż nowe, bez końca. Tylko po co? To byłoby nudne; powtarzane w kółko rozmowy, mnóstwo nadąsanych min, tygodnie milczenia. To wszystko już widziałeś. Myśmy nie potrafili robić nowych rzeczy, bo brakowało nici porozumienia. To z tego powodu przestaliśmy gdziekolwiek jeździć, kogokolwiek odwiedzać. Nie potrafiliśmy się dogadać, ustalić jakiegoś harmonogramu, wobec czego życie stało się banalne i przewidywalne. Nie było w nim niczego podniecającego. Powinieneś już wiedzieć.

- Wiem, przecież wiem. Ale tak trudno mi się z tym pogodzić.

Widzę, że ma ochotę płakać. Mimo wszystko to jeszcze dzieciak.

- Dasz radę.

To są zwykłe słowa. Nic nie kosztują. Prawdopodobnie także nic nie pomogą. Tak to już jest ze słowami, że zbyt często zostają wypowiedziane bez zastanowienia, nie ponosi się za nie odpowiedzialności.

- Dam radę. Tylko co to znaczy?

- Nie wiesz?

- Nie potrafię odpowiedzieć, jestem skołowany.

- To całkiem naturalne. W życiu każdego z nas przyszedł taki moment, że byliśmy skołowani. Ta karuzela kręciła nas zbyt prędko, bez kontroli, no i w końcu ktoś musiał z niej wypaść. Wyszło na mnie.

- Czyżbyś próbował szukać usprawiedliwienia wszędzie, tylko nie u siebie?

- Nie szukam usprawiedliwienia, to nie tak. Ktoś szukający usprawiedliwienia, ktoś starający się zwalić winę na innych, nie odszedłby w ten sposób, musiałby zostać, by za wszelką cenę oczyścić swoje sumienie, by podstępnie przerzucić jego brudną zawartość na inne barki. Dopiero wtedy mógłby zacząć od nowa. Ja tego nie chciałem. Trudno w to może uwierzyć, lecz nie do końca się zezmaciałem. Nie potrafiłbym wstawać rano ze

świadomością, iż oto ktoś inny musi teraz zmagać się z moimi błędami. Może nie należałem do tych szlachetnych facetów, potrafiących swoimi czynami dawać pożywkę dla wszelkiej maści gawędziarzy, ale nie byłem również ślepym samolubem.

- Twoje samobójstwo jest właśnie dowodem, że byłeś samolubem. Całe twoje życie o tym świadczyło. Sam zresztą wcześniej mówiłeś w podobnym tonie. Nie bardzo rozumiem do czego teraz dążysz. Zaczynasz chyba zmyślać, albo, co też jest możliwe, straciłeś umiejętność wyciągania wniosków.

Wszystko wokół wiruje. Synowska wyobraźnia nie potrafi poradzić sobie z natłokiem informacji. Miesza się tam wszystko razem - przeszłość, teraźniejszość, przyszłość.

Podobne wrażenia nie są mi obce. Wielokrotnie w ostatnich miesiącach życia odczuwałem podobnie. Trudno było wyznaczać granice, odmierzać czas. W jednej chwili byłem panem samego siebie, by za chwilę upaść na twarz i błagać o litość. A potem biegłem przed siebie, pragnąc dogonić najlepsze chwile, a te uciekały, nie chciały dać się dogonić. Wtedy przychodziło otrzeźwienie, głośnie głosy tłumaczyły i łajały, żeby przestać patrzeć wstecz, nie gonić tamtych chwil, bo są tylko i wyłącznie rysunkiem, z dnia na dzień coraz bardziej tracącym kolory, aż do bladego końca.

- Milczysz.

- Im częściej ktoś milczy, tym więcej dzieje się w jego głowie, synu.

- Sam na to wpadłeś?

- Oczywiście, że nie. Przecież wszystko już było. Nie da się już wymyślić nic nowego.

Zastanawia się na tym.

- Bzdury gadasz! - Parska niczym koń.

Zbyt długo się zastanawiał, już myślałem, że uwierzył.

- Jak możesz tak myśleć? Jest jeszcze wiele rzeczy do wymyślenia, przed człowiekiem zawsze są nowe cele, nowe zadania. Znajdą się tacy, którzy będą potrafili popchnąć

ludzkość dalej, wskazać nową drogę dla przyszłych pokoleń. Powstaną lekarstwa na wszystkie choroby, nawet na te mentalne, które pchają ludzi do samobójstw.

- Nie wierz w to, synu.

- A dlaczego nie? Cóż ty albo ja możemy wiedzieć. Pamiętam jak mówiłeś że jesteśmy za mali, że niczego nie wiemy, bo nasze życie jest zamknięte w granicach, których nie da się przekroczyć, nazywałeś je granicami dziedzicznymi. Mówiłeś, że moźni tego świata prędzej wywołają wojnę, niż ową granicę otworzą. Zapamiętałem sobie te słowa, bo mną wstrząsnęły. Chciałbym, żebyś się mylił, ale zaczynam rozumieć co masz na myśli.

- O, na pewno. Nie trzeba być tęgim umysłem, żeby to zauważyć. Jeżeli dobrze się rozejrzysz, zastanowisz, na pewno z czasem będziesz potrafił dostrzec jak bardzo jesteśmy, my, zwykli ludzie, manipulowani. Otwórz szeroko oczy, przystań na chwilę i zacznij myśleć. Wnioski przyjdą same.

- Niezbyt to pocieszające.

- Nie, ale nie masz się co przejmować. Przejdź nad tym do porządku dziennego i rób swoje. To chyba najlepsza rada, jaką ci mogę dać.

- Rada, do której ty sam nie potrafiłeś się dostosować.

No właśnie, przynajmniej wiem, o czym mówię. On to z czasem doceni.

Mnie nikt nie dawał takich rad, musiałem sam wszystko odkrywać. Całe moje otoczenie z młodości ochoczo dawało się manipulować, jakby niczego innego nie pragnęli, tylko wtapiać się w cholerne tło, na którym wyglądali wszyscy tak samo, mówili to samo, tym samym się podniecali. Brakowało takich, którzy pragnęli by stanąć na czele i pokazać inne możliwości.

- To dlatego twierdziłeś, że urodziłeś się w złych czasach, tato?

- Może i dlatego.

Nie wiem, czy to prawda. Podobno wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Jeżeli ktoś wychodzi z takiego założenia, to równie dobrze może dać sobie spokój z życiem, bo nigdzie nie zazna spokoju, gdziekolwiek by się udał, zawsze coś będzie nie tak.

- Więc twoje zainteresowanie historią nie było podyktowane tylko i wyłącznie pasją poznawania zwyczajów panujących w starych czasach, wyciągania wniosków z poznawanych faktów.

- Co masz na myśli?

- Prawdopodobnie starałeś się, świadomie lub nie, zbudować wokół siebie świat złożony z marzeń i iluzji, świat, w którym byłbyś jednym z tych, o których z taką pogardą wcześniej mówiłeś, jednym z możliwych tego świata. Czy aby wszystkie twoje problemy nie wynikały z tego, że urodziłeś się w tym a nie innym ciele? W tym a nie innym miejscu, będąc takim a nie innym członkiem społeczeństwa?

Jego wyobrażenia na moją, mieszają się i walczą. Sam tego nie wymyślił, nie ma mowy. Coraz więcej faktów wskazuje, iż to moja wyobrażenia jest odpowiedzialna na nasze spotkanie.

- To ja, tato. Przestań sobie wmawiać nieprawdę.

Jeżeli mówi to z taką pewnością siebie, muszę w to wierzyć. Ale nie wierzę do końca. Wolno mi.

- Zawsze wierzyłeś, że wszystko ci wolno, tato.

- Myliłem się.

- Ale mnie każeś myśleć w ten sam sposób, każeś mi wierzyć w siebie i robić swoje.

- Na przekór wszystkiemu!

- Czy nie będzie to powtarzanie twoich własnych błędów?

- Ale przecież nie ma innego wyjścia. Wóz, albo przewóz.

- Nie chciałbym skończyć tak jak ty.

- Może nie skończysz, może będziesz miał więcej szczęścia.

- Może, może, może. Nie za dużo tu tej słonej wody?

- Od tego nie utoniesz. Może, to od tego słowa wszystko się zaczyna. Cokolwiek robisz - m o ż e się uda, w cokolwiek wierzysz - m o ż e da ci siłę. Nic nie jest pewne, poza śmiercią, rzecz jasna. Talent, ciężka praca i odrobina szczęścia a m o ż e się uda.

Czekam, aż coś powie, ale on z uporem milczy. Pewnie niezbyt podobał mu się ten kawałek o ciężkiej pracy. Dam mu na razie spokój.

Zerkam poza niego i ze zdumieniem stwierdzam, że nie ma tam mojej żony. Intensywność rozmowy z synem pozbawiła mnie poczucia miejsca i czasu. Trudno teraz coś sobie przypomnieć. Ona mogła zniknąć bardzo dawno, ale mogła i przed sekundą. Pewnie miała dosyć tych moich umoralniających gadek. Kiedyś usłyszałem od niej, że denerwuje ją sposób w jakim przemawiam do dzieciaka, bo robię się wtedy taki ważny, jakbym pozjadał wszystkie rozumy, jakbym był jakimś cholernym omnibusem - nawet nie wiedziałem, że zna takie słowo. Jakoś nie potrafiło przyjść jej do głowy, że tylko w ten sposób mogłem dać dzieciakowi odczuć swoją pozycję osoby wiedzącej wiele o życiu, potrafiącej być drogowskazem. Zawsze starałem się mieć pod ręką garść informacji na każdy temat, żeby mały nie mógł mnie zaskoczyć. Tak się zresztą składało, że w dawnych czasach byłem głodny wiedzy, wszystko mnie interesowało, potrafiłem godzinami siedzieć nad książkami i poznawać, poznawać, poznawać. Poznawałem także podczas nocnego słuchania, dlatego później nie było mi trudno wypowiadać się na większość tematów.

Mogłem być dobrym nauczycielem, ale niestety w momencie, kiedy syn zrobił się świadomy życia, kiedy mogłem zacząć dzielić się z nim doświadczeniem i wiedzą, cóż, wtedy już zatraciłem radość własnego życia i przestałem się interesować czymkolwiek, co trwało bardzo długo, aż do wiadomego końca.

Naraz coś zwraca moją uwagę na dole. Nie ma tam już całej naszej trójki. Jestem sam. Chociaż nie do końca.

Pcham przed sobą dziecięcy wózek, jest to wózek z budką, w biało-zielone pasy. Z trudem przypominam go sobie. Na mojej twarzy, tego na dole, widzę uśmiech. Jest to miły widok, przywodzący na myśl jeden z najlepszych okresów mego życia. Idę z dumnie podniesioną głową, jakbym pchany wózek był jakąś wojenną zdobyczą.

- Dokąd mnie wiozłeś?

- To był zwykły spacer, synu. Bez dokładnie sprecyzowanej trasy. Włączyliśmy się godzinami, ty sobie kimałeś, a ja po prostu szedłem. Takie zwykłe chodzenie, spacerowanie zawsze było dla mnie czymś ważnym. Robiłem to już w młodym wieku, chociaż później i tego zaniechałem, przestało mnie pociągać, jak wszystko inne.

- Popatrz tam. - Wskazuje palcem na naszą dwójkę.

Pchany wózek nagle zawraca, robi kółeczko. Biorę mocny zakręt i robię następne kółeczko. Chłopczyk w środku zaśmiewa się do rozpuku. Nie może mieć więcej niż osiem miesięcy. Jest wesoły, lubi tę zabawę. Chociaż nie potrafi jeszcze mówić wyraźnie daje znaki, żeby zabawę powtórzyć. Powtarzam w nieskończoność, aż dzieciak zasypia. Przechodnie przyglądają mi się z dziwnymi wyrazami twarzy, przystają samochody. Pewnie przychodzi im do głowy, żeby pozbawić mnie praw rodzicielskich, albo zastanawiają się czy nie zawiadomić odpowiednich służb. Jakaś staruszka prędko przechodzi na drugą stronę ulicy.

- Wyglądasz na zadowolonego - mówi chłopak.

- Wtedy jeszcze potrafiłem walczyć, znajdowałem w sobie wystarczająco dużo siły, żeby przeganiać co i raz pojawiające się z każdej strony wątpliwości.

- Wątpliwości co do czego?

- Wszystkiego, już powinienes to wiedzieć; wątpliwości co do konieczności robienia czegokolwiek, co do sensu życia, co do bezsensu życia i tak dalej. Powinienes już wiedzieć.

- No tak, już powinienem.

Fantastycznie jest tak patrzeć na tamtego młodego faceta z wózkiem, fantastycznie jest myśleć, że miał przed sobą

całe życie, że mógł nim odpowiednio pokierować.

- Tato, wejdź w tamto ciało, co?

- Po co?

- Wejdź i powiedz, co wtedy czułeś.

W zasadzie nie mam nic przeciwko temu. To nawet ciekawe. Od tak dawna nie miałem dobrego samopoczucia, że zaczynam odczuwać podniecenie. Przenikam do ciała mnie, tańczącego z wózkiem.

- I co?

- Wspaniałe uczucie, synu. Już zapomniałem jak to jest, kiedy masz w sobie siłę. Możesz wtedy naprawdę wiele; wymyślasz nowe plany, widzisz oczami wyobraźni jak do nich dążysz, wstajesz rano i już samo to wystarczy, żeby dać ci radość. Przepętnia cię młodzieńczy zapał - jesteś mocny.

- Nie znam cię takim.

- Byłeś jeszcze całkiem mały i nieświadomy, kiedy ową cechę zatraciłem, nie możesz więc pamiętać. Może jedynie podświadomie.

Robi dziwną minę, jakby jego policzki miały za chwilę eksplodować.

- Nie pamiętam.

- Widzisz, w pewnym sensie jest to nasz, naszej rodziny dramat. Młody człowiek potrzebuje zadowolonych, silnych rodziców. Ty tego nie dostałeś w odpowiednim momencie. Kiedy tacy jeszcze byliśmy, ty moczyłeś pieluchy i walczyłeś z grzechotką. Potem wszystko zaczęło się pieprzyć.

Kiwa głową, patrząc na scenę na dole.

Mijam z wózkiem kilka ulic i siadam na ławce przy niewielkim trawniku. Poranne słońce wzmagają radość życia. Wyciągam gazetę i zaczynam ją leniwie przeglądać. Dzieciak układa się do snu. Żeby mu pomóc, lewą stopę kładę na kółku wózka i zaczynam nim poruszać. Działa wspaniale, po chwili dzieciak zasypia. Jest to wszystko takie zwykłe, prozaiczne, a jednak w tej chwili wydaje się niezwykle. Tak dalece oddaliłem się od doceniania podobnych obrazków, tak bardzo przestałem je przeżywać,

że teraz nie umiem tego zrozumieć. Rodzi się w mym umyśle pytanie – Czy miałem jakiś wpływ na to, że przestałem lubić życie?

– Musisz wrócić do mnie, musisz opuścić tamto ciało! – Syn jest wzburzony, trzęsie nim, jakby dostał jakiegoś ataku.

– Dobrze, dobrze. Już wracam!

Patrzę na niego i odkrywam strach w jego oczach. Nie rozumiem tego nagłego roztrzęsienia i nagłej konieczności powrotu. W tamtym ciele było tak przyjemnie.

– Nie powinieneś za bardzo się przyzwyczajać – słyszę w odpowiedzi na własne myśli. – Najlepiej będzie, jak nie będziesz już więcej wnikał w swoje ciało z przeszłości, niezależnie od tego, co akurat tamten będzie robił..

– Ależ dlaczego?

Naprawdę jestem zdumiony. Przecież dzięki temu, że mogę w nie wnikać, jestem w stanie tym dokładniej prowadzić relację ze swojego życia. Czy on tego nie rozumie?

– Zaraz ci wyjaśnię. Mnie głównie interesuje twoja ciemna strona, ta, która doprowadziła cię na gałąź. Tu jest odpowiedź na wszelkie pytanie, na które szukam odpowiedzi. Czasy, kiedy byłeś zadowolony z życia na nic się tu nie przydadzą.

– Więc po co do nich wracasz, pytam się ciebie, po co do nich wracasz?

Wzrusza ramionami.

– Teraz widzę, że to chyba był błąd.

– O nie nie, mój drogi. Tak się nie będziemy bawić. Albo lecimy do końca, po kolei, albo ja wracam do siebie.

– To znaczy gdzie?

– No... wracam sobie umrzeć.

– Wariat jesteś, staruszk. Przecież ty już nie żyjesz.

– Myślałby kto! – Parskam, bo chociaż nie powinienem nic czuć, gdzieś z dalekich rejonów wyobraźni promieniuje zdenerwowanie, docierając aż tutaj.

Chłopak znów się zastanawia. Pewnie zaczyna rozumieć, że pozbawianie mnie tej odrobiny przyjemności, jaką jest choćby chwilowy powrót w stare dobre czasy, jest z jego strony niewytłumaczalne, zaszkodzić mu nie może.

- Sam na początku naszej wycieczki mówiłeś, że nie masz zamiaru wracać w szczęśliwe czasy, sam tak mówiłeś.

- Zmieniam zdanie, człowiek od czasu do czasu musi zmienić zdanie, inaczej musiałby przebijać głową mur. - Mądrzę się, jakbym nagle pozjadał wszystkie rozumy.

Chyba zacznam go przekonywać, bo jego oczy zaczynają błyszczeć.

- Dlaczego tak nagle zmieniłeś zdanie? Czy patrząc na sceny z twojej młodości, kiedy jeszcze nie myślałeś o samobójstwie, mogę mnie czegoś nauczyć?

Dokładnie nad tym się teraz zastanawiam. Z jakiegoś powodu zmieniłem przecieź zdanie, więc teraz muszę się z tego wytłumaczyć. Przez całe cholerne życie nienawidziłem się tłumaczyć, a teraz, kiedy już nie istnieję, nie robię niczego innego. Życie i śmierć człowieka to jednak są jakieś żarty. Tylko jakoś nie ma się z czego śmiać.

- Popatrz, dzieciaku - tłumaczę powoli, jednocześnie na szybko, na chybił trafił szukając powodów - przecieź jeżeli zobaczysz mnie w tamtych czasach, kiedy jeszcze mnie nie znałeś, to może inaczej mnie ocenisz.

- Tylko to nie będzie prawdziwe. Co mnie obchodzi tamten okres. Dla mnie istniał tylko człowiek, którego miałem blisko, którego mogłem obserwować. Wątpliwe, żeby tak daleka przeszłość mogła mi dać lepszy obraz ciebie. Ale nie martw się, dam ci trochę powspominać, nie jestem potworem.

- Nie masz racji, synu. Nie znałeś mnie wtedy, dobrze, ale przynajmniej teraz poznaj mnie takiego jakim byłem. Na pewno da ci to trochę do myślenia. Pamiętaj, teraz gramy o twoje życie, o twoją przyszłość. Nie powinienes odrzucać żadnej okazji do nauki, do przyjrzenia się facetowi, którego

życie obok ciebie było złe, ale przecież miał i lepsze okresy. Tamto też się liczy. Inaczej, ale też się liczy.

- Wiesz, co?

- No.

- Chyba przegapiliśmy najważniejszy moment.

- Jaki?

- No, ten, kiedy zacząłeś na poważnie myśleć o samobójstwie.

- Czy ja wiem czy go rzeczywiście przegapiliśmy. Na dobrą sprawę nie można określić takiego momentu. To nie jest coś, co rodzi się w ciągu jednej nocy. Jednego dnia coś ci się nie udaje, chociaż włożyłeś w to całego siebie, jesteś zły, ale przechodzi ci, innego dnia czujesz znużenie codziennością, szukasz czegoś, łazisz z kąta w kąt, nie znajdujesz, ale na drugi dzień zapominasz o tym. Za jakiś czas wszystko się powtarza, klęska plus znużenie, jest niemal tak samo jak poprzednio, prócz jednej rzeczy - tym razem tak łatwo nie zapominasz. Mało tego, to uczucie pozostaje z tobą już na zawsze.

- I nie można się go pozbyć?

- Ja nie potrafiłem. Gorzej nawet, to się nasilało.

Siedzimy z uniesionymi głowami, jak dwaj mędracy, którzy oto wymyślili śmiałą teorię i teraz nie potrafią jej udowodnić. Nie ma na nas mocnych, bo umiemy z taką unізonością milczeć o naszych rewolucyjnych odkryciach.

Ja sam czuję się wyjątkowo spokojnie. Prawdopodobnie nadchodzi kres mojej wycieczki z synem. Nie mam niczego na potwierdzenie tego podejrzenia, jednak wyraz twarzy syna mówi sam za siebie. On wygląda na kogoś, kto albo już wszystko wie, albo wydaje mu się, iż tyle mu wystarczy. Jest zmęczony, wygląda na takiego.

Zapewne nigdy nie dałoby się wyczerpać żadnego tematu do absolutnego końca, lecz gdzieś musi zostać wyznaczona granica, bo w innym wypadku z łatwością można by zabrnąć w ślepy zaułek. A w ślepych zaułkach z reguły bywa bardzo niebezpiecznie.

Co tam na dole?

Czy tylko mi się wydaje, czy rzeczywiście jesteście nieco wyżej?

Postać na dole jest mniejsza niż ostatnio, co dowodzi, że to nie jest tylko wrażenie. Kto jest za to odpowiedzialny? Pewnie wszyscy po trochu. Przerzucając wzrok w stronę syna zauważam obok niego moją żonę, wróciła. Może wróciła na ostatni akt?

Wracam do obserwowania sceny na dole.

Wysokość nie pozwala mi rozpoznać miejsca czy czasu. Wydaje mi się, a jest to tylko na razie wniosek wyciągany na podstawie stroju, który mam na sobie, że ten ja, na dole, to młodzik, ale nie mam pewności. Trzeba się tam zbliżyć. Już samo pojawienie się tej myśli sprawia, że nagle cała perspektywa przybliża się i mogę widzieć siebie całkiem wyraźnie.

Tak, nie myliłem się, to młodzik.

Jestem mniej więcej w wieku dwudziestu dwóch, trzech lat. Po raz pierwszy podczas tej wycieczki, co odnotowuję z niejakim zdziwieniem, cofnęliśmy się w czasy, kiedy mojego syna nie było jeszcze na świecie, a ja nie znałem swojej przyszłej żony.

Dzieje się coś dziwnego. Ja, ten tutaj, siedzący obok syna i żony, zaczynam czuć się nieco inaczej. Przede wszystkim zaczynam odczuwać jeszcze większe zainteresowanie życiem. Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć, bo przecież nie jestem w tamtym ciele, wciąż siedzę obok rodziny. Naraz moja wyobraźnia, jak na zawołanie, przenosi się do tego młodszego ciała.

Wcześniejsze wrażenie innego samopoczucia nasila się, co należy chyba rozumieć tak, że przecież nastąpił powrót o naprawdę sporo lat. Zdążyłem już o tamtym samopoczuciu zapomnieć. Zainteresowanie życiem nasila się jeszcze bardziej.

Spaceruję ulicami rodzinnego miasta, nie mając przed sobą specjalnego celu. Najwyraźniej jest to spacer, bywały

czasy, kiedy dużo spacerowałem, choć tego konkretnego spaceru nie pamiętam i nie mam pojęcia czy był jakiś szczególny, czy po prostu mój syn umiejscowił nas tu bez specjalnego powodu, trafiając na chybił trafił. Jak na razie nic nie mówi, a ja, zafascynowany nagłą zmianą, cieszący się możliwością powrotu w tamte czasy, nie mam na razie zamiaru go przywoływać. Niechże się nacieszę samotnością, może ostatni raz przy pełnej świadomości.

Patrzę na budynki z zainteresowaniem odnotowując poszczególne elementy architektoniczne, umiem je nazwać, umieścić w czasie. Z perspektywy czasu trudno w to uwierzyć. Mijam kilkoro dzieci, które idąc chodnikiem śmieją się wesoło. O dziwo ten śmiech mnie nie drażni, nie klnę ich w myślach, nie wyzywam, co często zdarzało się w późniejszych czasach.

Mam na uszach słuchawki, ale nic nie słyszę. Palcem wskazującym odnajduję w kieszeni przycisk na walkmanie, sprzęt już dziś zapomniany, i naciskam go. Pojawiająca się muzyka oszałamia pełnią brzmienia, jest tak szczerą, że, doprawdy, przez mój mózg przepływają najprawdziwsze ludzkie emocje i tęsknoty. Wszystko to razem powoduje poczucie nadziei i nastawia pozytywnie do życia, coś, czego od dawna nie dane mi było odczuwać.

Ale myliłbyś się synu, gdybyś twierdził, że to tylko przez muzykę. Nie. Jej istnienie tylko przypomina tamte czasy, młodość, której przeminięcie jest tak trudne do zaakceptowania, że aż coś ściska w gardle.

Zwyczajnie idę i nic mi nie dolega. Dusza jest spokojna, świeża, jakby nie znała wcale uczucia strachu. To niesamowite. Ja nie pamiętam tego przedziwnego uczucia, n i e p a m i ę t a m! Coś, co teraz odczuwam, nie jest porównywalne z niczym co znam, to jak urodzić się na nowo, albo coś zupełnie innego, coś, czego jeszcze nie było.

Idę na spotkanie ze znajomymi. Nie mamy w planach nic specjalnego; będziemy szlajać się, rozmawiać godzinami, potem kupimy skrzynkę podłych win i pójdziemy nad rzekę,

żeby przy obrzydliwych trunkach jeszcze mocniej wniknąć w rozpoczęte rozmowy, bo każdy z nas ma wiele do powiedzenia. Potrafimy wyrażać siebie, potrafimy snuć niesamowite wizje dotyczące własnej przyszłości.

Kiedy widzę kolegów przychodzi mi, temu nieżyjącemu, do głowy pytanie, a nawet kilka pytań – Ilu z nich teraz, po wielu latach, potrafi jeszcze pamiętać o tych spotkaniach? Ilu z nich miło na tyle szczęścia, żeby nie kończyć jak ja? Nie można tego wiedzieć, ani ja, jako wezwana przez syna świadomość, ani ja, przebywający tu i teraz.

Póki co, patrzę na nich. Ciężko mi patrzeć im w oczy, kiedy wiem coś, czego oni w tej chwili wiedzieć nie mogą. Chciałbym być tu z nimi bez tego drugiego ja, tego, który od własnego syna dostał szansę na ostatnie widzenie.

Próbuję wydostać się z tych okrutnych pęt własnych win, lecz nie ma tak dobrze, kto raz wybrał ostateczne rozwiązanie jest zmuszony godzić się ze wszystkimi tego kroku konsekwencjami.

Przebywanie w starym ciele, w tym konkretnym miejscu i czasie daje satysfakcję. Dobrze pobyc znowu w towarzystwie ludzi, których istnienie niegdyś dodawało tyle sił, tyle optymizmu.

Jest ich kilku, nie chce mi się liczyć, zresztą, nie byłoby to łatwe, ich ciała gęstnieją, mieszają się ze sobą, nikt nie stoi w jednym miejscu, panuje ruch. Nie tylko ciała się poruszają, także ich, nasze myśli; dotykamy wielu spraw, wielu uczuć. Nikt tu nikogo się nie wstydzi, rzeczy nazywane są po imieniu, bez ozdobników, bez zbędnych ograniczeń.

Niby nie robimy nic szczególnego, nie ma w naszych działaniach żadnych specjalnie złych czy dobrych zamiarów. Nikt z nas nie ma jednoznacznych marzeń, to na razie tylko przymiarki do przyszłych przemyśleń. Chcemy dobrze wykorzystać czas, póki jest go jeszcze dużo, przynajmniej według terażniejszych norm. To czas przeznaczony na nieśmiałe jeszcze wychodzenie z nor rodziców, na

poznawanie najbliższego otoczenia, naukę samodzielności i pierwsze świadome próby wyszukania miejsca dla siebie. Towarzystwo innych młodziaków pomaga o tyle, że w stadzie jest łatwiej. Takie są prawa natury, wszyscy to rozumiemy.

Naraz coś się zmienia.

Na wezwanie syna wydostaję się z tamtego ciała i znów jestem przy nim.

- Mogłeś dać mi tam jeszcze pobyc, podobało mi się. - Nie mogę powstrzymać wyrzutu.

- Nie, nie powinieneś zbyt długo tam przebywać, bo to może mieć skutki uboczne.

- Skutki uboczne, synu? A jakie skutki uboczne może mieć przebywanie w gronie przyjaciół?

Już drugi raz wzywa mnie do siebie, kiedy akurat jestem na tropie pewnych ważnych odkryć. Właściwie może to i lepiej, nie powinienem zbyt wiele sobie pozwalać, mógłbym niechcący poprzeinaczać fakty. Jednak nie bardzo wiem o jakie skutki uboczne może chłopakowi chodzić. Mnie już przecież nic nie zaszkodzi.

- Znowu myślisz przede wszystkim o sobie - mówi z wyrzutem - ma się wrażenie, że niczego się podczas tej naszej podróży nie nauczyłeś. Nie o ciebie mi chodzi, a o wpływ tamtych czasów na moje życie. O to teraz mamy grać, jak to sam wcześniej ująłeś.

- Nie widzę związku - odpieram z niejakim zdziwieniem.

- Krótkowzroczny ojczy - prychna - przyjmij do wiadomości, że ja mogę przejąć tamte twoje niekoniecznie pozytywne zafascynowanie włączeniem się z koleżkami po mieście. Widzę, że bardzo bezkrytycznie do tego podchodzisz, niemal dorabiając do swych znajomości filozofię.

- Co w tym złego?

- Bardzo dużo.

- Co na przykład?

- Już ci mówię. Popatrz jak wiele czasu traciłeś przebywając w ich towarzystwie, czasu, który mogłeś wykorzystać na jakieś pożyteczne działania.

- Przebywanie z nimi było pożyteczne, synu.

- Mylisz się. W pewnym momencie każdy z was powinien zabrać się za własne życie, przerwać ten nierozzerwalny krąg, którego członki wydawały się ze sobą zrosnięte.

- Uważasz, że młodzi ludzie nie powinni mieć przyjaciół?

- Myliłeś pojęcia, stary ojcze.

- Jak to?

- Chyba sam powinienes to zauważyć. Spędzałeś z nimi zbyt wiele czasu, a oni z tobą. Przyjaźń nie oznacza wcale ciągłego przebywania ze sobą, bezsensownego łązenia wokół miasta i tak dalej. Nie widzisz różnicy między przyjaźnią a nałogowym przebywaniem z podobnymi sobie lekkoduchami. Ty i twoi przyjaciele - leniwi i wiecznie mający nadzieję, że jakoś to będzie.

Skąd on może to wiedzieć? Wygłasza tu mądre rady, komentuje, krytykuje, przypominając mi w tym moją matkę. Bardzo ją przypomina. Ona także uważała, że pierwszorzędnie marnuję czas, włączając się z przyjaciółmi.

Teraz, po latach, mądrzejszy o upływający czas, o swoją śmierć, jestem gotów się nią, z nimi zgodzić. Marnowałem czas, błędnie myśląc, iż tamte przyjaźnie będą wieczne, że można na nich budować przyszłość. Czas pokazał, jak bardzo byłem naiwny.

A jednak trudno było tak po prostu to zostawić, zabrać się za poważne życie, cokolwiek to miało wtedy znaczyć.

- Ojcze, ojcze, to miało znaczyć dokładnie to, do czego mnie usiłowałeś przez cały czas zdopingować, to miało znaczyć robić swoje. Wyznaczyć cel i dążyć do niego, zamiast pozostawać niepoprawnym marzycielem, nawet wtedy, kiedy marzenia wydawały się już bardzo odległe. Stracony czas to coś, czego już się nie da nadrobić.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Od ciebie samego, tato. Cały czas siedzę tutaj i słucham. Słuchając zaś wyciągam wnioski. To proste. Ty jednak tego nie potrafiłeś.

- Nie...

- Poczekaj - przerywa bezceremonialnie - jeszcze nie skończyłem. - Uniesiona w górę dłoń ma mi być kneblem. - Patrząc na ciebie i twoich przyjaciół, jak łazicie bez celu, słuchając waszych słów, doszedłem do pewnego wniosku. Otóż, sam mi zaraz przyznasz rację, wszyscy robiliście ten sam błąd.

- Jaki?

- Nawet teraz tego nie wiesz, co?

Chyba nie wiem. Człowiekowi zawsze ciężko przyznać się do błędu, szczególnie samemu sobie, nawet jeżeli w końcu potrafi ów błąd odnaleźć. Jeżeli nie potrafi - cóż, wtedy i tak nie ma to żadnego znaczenia.

Jaki błąd robiliśmy my, nierozłączni w swych nadziejach?

- Nie wiem, synu.

- Nie musisz się tego wstydzić, wielu ludzi robiło przez całe wieki dokładnie to samo, nie byłeś w tym odosobniony, ani ty ani twoi znajomi.

- Powiedz to nareszcie!

- To proste. W wieku dwudziestu kilku lat nie potrafiliście pojąć, że szczęście nie powinno być odległym celem, lecz każdy kolejny dzień powinien być szczęśliwy. Aż tyle i tylko tyle.

- I ty to wszystko wiesz po obserwacji naszego życia?

Wzrusza ramionami.

- Dorosłem do tego, przegoniłem cię o całe dziesięć lat, a może i o znacznie więcej, bo tak na dobrą sprawę, ty nigdy tego nie pojąłeś, do samego smutnego końca.

Czy to aż tak proste? Czy sama świadomość powyższej tezy wystarczy, żeby życie przestało jawić się jako czas oczekiwania na coś, czego nigdy możemy nie doświadczyć? Aż robi się za późno i trzeba będzie zwijać manatki,

skurczyć się do garści prochy i wspomnienia w głowie kilku osób. Może to jest właśnie takie proste.

Jak to możliwe, że spędzając ze sobą tyle czasu, mówię w tej chwili o moich przyjaciółach, żaden z nas nie potrafił czegoś takiego wymyślić? Dlaczego musieliśmy nieprzerwanie trwać w grupie, które to trwanie nie miało, teraz to widzę, żadnego usprawiedliwienia, prócz może takiego, iż kiedy przebywa się w grupie nic nie jest straszne, bo żyjąc chwilą uważa się, że zawsze jest czas na działanie, bo każdy z osobna i wszyscy razem dodajemy sobie animuszu, coraz to nowszych powodów do dalszego szukania, ciągłego czekania.

A więc nie tędy droga?

Tamtędy?

Na początku tej podróży to ja tłumaczyłem dzieciakowi co powinien robić, żeby nie powtórzyć mojego losu, myślałem, że wiem jak to zrobić, nawet jeżeli nie robiłem tego z własnej woli, lecz zostałem przez niego podstępnie zmuszony. Teraz sytuacja nieco się odwraca. Wygląda na to, że chłopak w lot pojął wszelkie tłumaczenia, przyjmując do wiadomości zawile drogi moich myśli. Nie tylko przyjmując do wiadomości – on najwyraźniej zaczął nad nimi panować, potrafi robić z nich użytek, żonglując nimi z iście mistrzowskim kunsztem. Do tego stopnia nawet, iż jest w stanie wziąć na siebie odpowiedzialność za przeistaczanie moich myśli w swoje własne, rzecz jasna, po uprzednim ich przekwalifikowaniu z myśli chorych na myśli ogólnie uznane za niegroźne.

- Synu, synu, synu – powtarzam się – nie masz nawet pojęcia, jak bardzo ucieszyły mnie twoje słowa. Ulga to dla mojej skonanej wyobraźni, gdy wyglądasz na świadomego swojej drogi młodzieńca. Kamień spada mi z serca i leci z impetem na samo dno piekieł. Wiesz co? Nie chcę już wracać do przyjaciół. Niby oni nie są niczemu winni, ale wolę popatrzeć na siebie, kiedy jestem sam.

- Lubieś być sam – podpowiada mi z ironią w głosie.

- Mówiliśmy już o tym, nie chcę się powtarzać.
- Popatrz tam.

Idę wiejską drogą. Droga nie jest utwardzona, każdy mój krok wzbija chmurkę kurzu. Patrząc na siebie zastanawiam się, ile mogę mieć lat. Prawdopodobnie nie więcej niż dwanaście, sądząc po fryzurze, ubraniu i gładkim licu.

Obserwuję spokojnie z góry, na razie nie decydując się na wejście w tamto ciało. Chciałbym najpierw zrozumieć powód, dla którego moja wyobraźnia podjęła decyzję pokazania tej właśnie sceny.

Wcześniej myślałem, że może mój syn ma na to jakiś wpływ, ale teraz uważam to za niemożliwe. Jeżeli chodzi o wcześniejsze, to znaczy późniejsze czasy, bo przecież patrzymy na wszystko wstecz, to faktycznie mógł decydować o dobieraniu scen, w większości z nich uczestniczył, a przynajmniej już istniał, mając ze mną kontakt na co dzień. Co się zaś tyczy czasów mojej młodości, tutaj główną rolę musi grać moja wyobraźnia. Chyba się nie mylę.

- Nie mylisz się - słyszę potwierdzenie.

Młody ja, idę sobie dalej, z wysoko uniesioną głową, kroki stawiając pewne, unosząc z drogi coraz więcej kurzu. Droga skręca poza zabudowania sąsiadujące z posiadłością moich dziadków, u których spędzam wakacje. Zaczynam rozpoznawać otoczenie. Po lewej mam stary ogród, a po prawej łąkę, na której pasą się czerwono białe krowy. Daleko przede mną majaczy spora góra, na której stoku stoi kilka domów. To jeden z moich ulubionych widoków, znakomicie porusza młodą wyobraźnię. Chciałbym w przeszłości na takiej górze zamieszkać. Być wysoko i ponad wszystkim. Jestem teraz dosyć zadowolony, o tyle, o ile jest to właściwe mojej naturze.

Zaraz, przecież zupełnie o tym nie wiedząc wszedłem w tamto młode ciało. Czuję niezdrową lekkość bytu, łatwość myślenia, jednocześnie mając ochotę na zrobienie czegoś zwariowanego, nie wiem, może zerwania się do szaleńczego

biegu biegu, a może by tak przesadzić płot i porwać jedną z krów. Jest w tym młodym człowieku energia, która mogłaby rozwałać góry i zawracać rzeki.

- Czy to był dobry czas, tato? - Ponownie jestem obok syna. Żona także jest znowu z nami, ale jakaś taka odmieniona, jakby ubył jej dziesięć lat. Wzrok ma ciężki i srogi.

Wpatrują się w mnie. Oboje mają na twarzach dziwne uśmieшки, jak ludzie którzy właśnie się z kogoś podśmiewają. Nie podoba mi się to, bardzo nie podoba.

- O co wam chodzi? - pytam ostrym tonem, jakiego pod koniec ziemskiego życia używałem zdecydowanie zbyt często.

Uśmieшки wydłużają się. Zwykle w takich chwilach tracę grunt pod nogami i zaczynam odczuwać rozdrażnienie. Oni to wiedzą.

- O nic, o nic, tylko... No, odpowiedz. Czy to był dobry czas?

Co on kombinuje?

Patrzę na żonę, jest wyraźnie rozbawiona. Zniknęła z jej wzroku srogość, oczy błyszczą teraz niczym szlachetne kamienie.

- Co się tak szczerzysz? - pytam się do niej, bo już mnie cała sytuacja denerwuje. Znowu zaczynam być tamtym starym sobą; nerwy, niezadowolenie, złość.

- Ja? Nic podobnego. - Kłamie jak z nut.

O co tu chodzi, do cholery?

Milczą, oczekując odpowiedzi. Milczę także, wciąż próbując doszukać się jakiejś podpowiedzi co do natury ich zachowania. Zawiesili się w ironii i czekają. Często widywałem ich w podobnych humorach, szczególnie kiedy mocno ich zdenerwowałem, co zdarzało się nad wyraz często.

- Tato...

- Co?

- Może odpowiesz, wiesz, kończy się nam czas.

Kończy się czas? Czas nie ma końca.

- Czas nie ma końca, ale nasz czas ma. Twój już minął i teraz kończy się czas współpracy naszych wyobraźni. Niedługo będziesz mógł odpłynąć, żeby do woli zabawiać się w otchłani wieczności, do której anonimowości tak tęskniłeś. Wielbicielu bycia w cieniu, wielbicielu cienia, ojcze. Zostawiłeś nas, zdanych na pastwę losu. My jednak będziemy żyć; mama, ja - my nie czujemy strachu obcowania z ludźmi, potrafimy ich doceniać. Twoje bezmyślne samolubstwo już nie będzie nam podcinać skrzydeł.

- To choroba, synu, a nie świadomy wybór. Sprawa czysto wewnętrzna. Mogłem odwracać od tego uwagę, ale to tylko się pogłębiało, wygrywała pogarda do wszystkiego i wszystkich. Nie istniał sposób unieszkodliwienia zwycięskiej choroby. Nic by nie pomogło.

- Mogłeś jednak zostać, oboje tak uważamy. Wykorzystalibyśmy tę chorobę w jakiś szlachetny sposób, mógłbyś służyć jako przykład dla innych...

- Żeby mnie pokazywali?

- ... Czemu nie? To mogłoby pomóc innym, którzy jeszcze mieli szanse wyzdrowienia.

- Uważasz, że mógłbym zgodzić się na podobną bzdurę? Synu, twoje słowa dosłownie zwalają mnie z nóg. I tak nie robi się takich rzeczy, nie pokazuje się chorych ludzi zdrowym.

- W niektórych przypadkach się robi - stawia się - na przykład pokazuje się ludziom otyłym jeszcze większych grubasów niż oni sami, żeby mogli zobaczyć co ich czeka jeżeli się nie opamiętają. Podczas terapii odwykowej, w ramach wstrząsu, pokazuje się narkomanom ludzi, których narkotyki popchnęły na samą krawędź. Tak samo z alkoholikami.

- Ale nie robi się tak z ludźmi nieszczęśliwymi, chyba to rozumiesz.

Jakim dziwnym sposobem gra teraz mój dzieciak. Nie dałbym się w to wplątać, nie ma mowy. Zawsze stroniłem od bycia na pierwszym planie. Dziwne, że nie potrafi tego zrozumieć. Do tej pory nasza zabawa wyglądała obiecująco, uważałem, iż dociera do niego sens moich słów, bezsens działania.

Chciałby mnie pokazywać innym. A co ja? Królik doświadczalny?

Wyobraźnia pokazuje kolejny obrazek, jakby chciała mi dać szerszy obraz problemu. Nie jest to obrazek z mojego prawdziwego życia. To jest zwykłe gdybanie.

Proszę drogiej wycieczki, drodzy chorzy i nieszczęśliwi, popatrzcie sobie tutaj, na ten oto beznadziejny przypadek, wskazuje na mnie. Czy widzicie ten obłąd w oczach, ów histeryczny uśmiech człowieka wiecznie niezadowolonego? Zwróćcie proszę uwagę, że wygląda prawie jak każdy z was. Prawie. Niby nic go od was nie odróżnia, a jednak jest coś, czego wy jeszcze nie macie, lecz za chwilę mieć możecie, jeżeli w porę nie odrzucicie wstydu, jeżeli nie zdobędziecie się na zmiany. Cóż to takiego? Nie widzicie? Przypatrzcie się dobrze! Ciągłe nic? Więc wam powiem. Słuchajcie dobrze! To naiwne poczucie wyższości, to przeświadczenie o własnej mądrości i niechęć do innych. Ten tu przypadek jest o krok od granicy, uratował go syn, żeby mógł być pomocą dla innych. Patrzcie uważnie i zastanówcie się, czy i wy chcecie w ten sposób skończyć.

Idą i patrzą. Jest w ich oczach strach, są ślady nienawiści. Człowiek potrafi rozpoznać podobnych sobie, przyciągają się przeciw. Idą i patrzą. Jest ich tysiące, każdy podobny drugiemu i następnemu. Potencjalni samobójcy, mordercy własnych rodzin, jednostki społecznie nie przystosowane, którzy boją się własnego cienia. Toczy ich choroba, nieuleczalna z ich własnego punktu widzenia, uleczalna z punktu widzenia przewodnika.

Mijają mnie, mając wszystko gdzieś, są na krawędzi. Gdyby tylko przewodnik się odwrócił, złapali by pierwszą

lepszą linę i polecili poszukać jakiejś solidnej gałęzi. Ale przewodnik-lekarz czuwa. Nie ma przy sobie broni, jego siłą jest umiejętność mówienia. Wszyscy ci ludzie, ze mną włącznie, zawsze bali się prowadzenia rozmowy, uważamy się ponad to, ponad kontakty z innymi. Sami sobie jesteśmy słuchaczami, sami sobie rozmówcami. Nic się z tym nie może równać, bo tylko w kontaktach z samymi sobą jesteśmy w stanie jako tako się odnaleźć.

Ja już wiem, że to kłamstwo. Prawdopodobnie największe kłamstwo, jakie człowiek może sprzedać samemu sobie.

Zaczynam mieć tego dosyć. Czego się tak gapicie? Samym patrzeniem nie można się nauczyć, potrzeba jeszcze wiary w siebie i chęci. Żaden z nich nie okazuje chęci, są jak poruszające się po taśmie gotowe do montażu elementy. Ja jestem elementem, który już odpadł, nie nadaje się do użycia.

Przewodnik-lekarz wydaje się być czułym facetem; pogłaska, przytuli, uśmiechnie się. Pewnie chce dobrze, jest w stanie pomóc, jeżeli trafi na podatny grunt. Ilu jednak tu obecnych podda się jego woli? Jeden na milion? Jeden na milion to pewnie sukces, ale brzmi tak mało poważnie.

Żona i syn siedzą obok. Milczą, przypatrując się przechodzącym. Przewodnik-lekarz kiwa w ich kierunku głową, jakby chciał dać im znać, że bardzo im współczuje. Tacy jak on zawsze potrafią współczuć, jest to poniekąd ich cecha zawodowa. Nie uczą się tego w szkole, prawdopodobnie już się z tym rodzą. Tylko czym jest okazywane współczucie, jeżeli nie tylko poprawianiem humoru samemu sobie. Każdy adresat współczucia wzruszy tylko ramionami, bo cóż może go obchodzić tak zbędny pokaz nic nie znaczących uczuć.

Nagle wszystko znika. Znowu zostają tylko z synem i żoną.

Nie możemy ze sobą wytrzymać, lecz coś nas ciągle trzyma przy sobie. Jakbyśmy byli postaciami na wielkim obrazie, którego ramy są nie przekraczalnymi granicami.

Ręka malarza pewnie dobrała barwy i cienie, lecz jednego pan malarz nie potrafił, mianowicie ustawienia naszych dusz na tym samym paśmie odbierania. Pewnie był słabym panem malarzem, ech, gdyby tylko był dobry... A tak, płacz i zgrzytanie zębów. Walka i cierpienie. Cholerne ramy trzymają nas razem.

Ale to już było. I tak na dobrą sprawę wszystko już było, niczego dodawać nie trzeba. Kręcę się w kółko, bez celu. Mój syn chyba powinien mnie już zwolnić, pozwolić odejść na zasadach, które sam wybrał. Zaakceptowałem to. Obiecał mi. Ja spełniłem swoją rolę, pokazałem mu siebie, pokazałem powody kreujące mój, wedle jego pojęć, upadek.

W moich oczach nie jest to jednak upadek, lecz tak się ogólnie przyjęło, że nazywa się takich jak przegrańcami, rozbitkami życiowymi. Upadek. Niech i tak będzie. Nie trzeba się spierać o słowa, które i tak niczego już nie zmieniają.

Jest mi trochę przykro, nie przeczę. Szczególnie, kiedy patrzę na nich z boku. Ona - zmęczona kilkunastoma latami małżeństwa, z oczami niby smutnymi, lecz z których wydziera nowa nadzieja, on - młody człowieczek, może odrobinę pogubiony za sprawą przebywania pod jednym dachem z chorym mentalnie ojcem, lecz objawiający radość bytu i mocne postanowienie wypracowania sobie dobrego sposobu na życie.

Kiedy minie trochę czasu zapomną. Nie, nie o to chodzi. Tak na prawdę to nie zapomną, tylko że ich pamięć o mnie z upływem czasu przestanie być ważną częścią ich życia, może będą w stanie wspomnieć te nieliczne chwile, kiedy potrafiliśmy razem coś zdziałać bez obrzucania się błotem. Od czasu do czasu przypomną sobie także całą resztę. Co wtedy będą czuli? Nigdy się tego nie dowiem.

Uważam także, iż podjąłem dobrą decyzję, nie zabierając ich ze sobą. Taki czyn nie byłby w porządku.

Przyszędł mi ten pomysł z zabieraniem ich ze sobą do głowy z bardzo prostego powodu. Uważałem, iż jako

rodzina, jesteśmy zmuszeni razem zniknąć, tak jak razem żyliśmy. Całkiem idiotyczne myślenie, a jednak człowiek będący na granicy obłądu nie może się jej pozbyć. Jest jeszcze coś, jeżeli bym nie umarł tylko zwyczajnie odszedł, nie potrafiłbym patrzeć na nich jak żyją gdzieś obok, w innym mieście, z innym mężczyzną, ta myśl była nie do wytrzymania. A potem przyszła kolejna myśl – jak umrę, to oni to właśnie zrobią; będą żyli gdzieś, w innym mieście, z innym mężczyzną, to dlatego chciałem ich zabrać. Byliśmy sobie przecież przeznaczeni, nie istnieliśmy bez siebie. Ze sobą jednak także nie. Nie szukam usprawiedliwienia, nie. Tamta myśl przyszła sama i sama odeszła. Nie dałbym rady jej wprowadzić w czyn, nie byłem bowiem do końca złym człowiekiem, jednak do końca pozostałem człowiekiem tragicznym.

Zabranie ich ze sobą równało by się zbrodni. Jedyłą moją zbrodnią niech zostanie permanentny brak uśmiechu na twarzy i w duszy.

- Tato... - To jest szept. Brzmi głucho i jakoś tak niepewnie.

- Tak, synku.

Patrzę na jego poważną twarz. Jest na niej wypisane postanowienie. Mogę tylko się domyślać, czego ma ono dotyczyć. Uznał swoją misję za zakończoną. Pozostaje na odchodnym wierzyć w jego siłę i chęć życia. Ze swojej strony zrobiłem co mogłem, żeby dowiedział się jak najwięcej, żeby poznał powody mej drastycznej decyzji.

Czy zrozumiał? Pewnie sam przez dłuższy czas nie będzie umiał tego rozstrzygnąć; to nie jest coś, co można po prostu zrozumieć. W to trzeba się wczuć, podjąć próbę zmierzenia się z własnymi wspomnieniami, powalczyć z własnymi słabościami, które każą wybielać rzeczywistość.

Czekam na syna.

Wymówił to jedno słowo i nic.

- Tak, synku - powtarzam nieco głośniejsze.

Moja wyobraźnia zaczyna wariować, nie potrafię już myśleć. Coś się zaczyna zmieniać, lecz trudno mi to wytłumaczyć. Nie ma się czego uchwycić, jakbym po omacku szukał punktu zaczepienia – taka ciuciubabka z otwartymi oczami.

Nieoczekiwanie odzywa się żona:

- Będę uciekać, dosyć się dowiedziałam.
- Dasz sobie radę. – Tylko tyle mogę jej powiedzieć.
- Nic tobie do tego. Jeżeli nie chciałeś z nami zostać, nie masz prawa się tu mądrzyć.

Zawsze taka sama; dumna i twarda. Wielokrotnie się o tę dumę odbijałem jak od bandy, a ta jej twardość po stokroć stawała na drodze naszego porozumienia. Oczywiście ma rację, nie powinienem tu wygłaszać banałów, ale tylko tyle mogę powiedzieć. Jak ktoś nie wie co powiedzieć to wali zasłyszczanymi banałami, taki świat.

- Masz rację. Już więcej nic nie powiem. Żegnaj.

Kiwa tylko głową i znika. Rozpływa się po prostu. Naprawdę musiała mnie mieć dosyć.

Przypomina mi się pewna scena; dwa tygodnie przed moim samobójstwem byliśmy we trójkę na spacerze. Ot, taka niedzielna przechadzka. Robiliśmy to głównie dla syna, nie dla własnej przyjemności. Dla niego moglibyśmy zrobić niemal wszystko. Właśnie – niemal. Przez całą drogę żadne z nas nie odezwało się do drugiego ani słowem, chociaż nie był to okres otwartych kłótni, wielkiego milczenia, nic takiego. Ale doszliśmy już do takiego punktu, kiedy musieliśmy się omijać, stać od siebie daleko. Nawet nie szukaliśmy się wzrokiem. Dzieciak był przybity tym wszystkim, także niewiele mówił, większość spaceru kiwając tylko głową.

Piętnaście lat razem, a człowiek po raz ostatni widzi bliską, kiedyś kochaną osobę w takich przykrych okolicznościach, i nawet nie usłyszy słowa pożegnania. Może jestem sentymentalny, lecz trochę paskudne to wszystko.

- Tato...

Znowu jest ze mną, to pocieszające. Gdyby milczał jeszcze chwilę, pewnie zacząłbym panikować. Z jakiegoś powodu nie czuję się w tej chwili zbyt pewnie. Świadomość, że zaraz zniknę i że tym razem będzie to już na zawsze, nieco mnie rozbraja. Czuję teraz siłę nadchodzącej nieświadomości. Niby jest niepokojąca w swej wieczności, ale tego przecież chciałem.

- Słucham cię.

- Też to przed chwilą miałem, to uczucie - mówi z podnieceniem.

Nie mam pojęcia, o czym on mówi. Jakie uczucie? Czyżby chodziło mu o moją wizję nadchodzącego stanu wiecznej nieświadomości?

- O to chodzi! - Niemal krzyczy. - Niedawno opowiadałeś o takim dziwnym stanie, pamiętasz? Że zamykasz oczy i... Zaraz, jak to mówiłeś? Już nigdy nie będzie... Już nigdy nie będzie... Tak, chyba tak to było... Miałem to samo. Dokładnie to samo. I wiesz co? To było takie okropne! Jak bym leciał w kosmos, mijałem chyba nawet gwiazdy. Wszędzie tylko cisza. I nie było końca. Przestraszyłem się tego, naprawdę przestraszyłem, tato. Zupełnie nie rozumiem, jak mogłeś chcieć tego, jak mogłeś tęsknić za tym niekończącym się lotem w nicość. - Widzę, że się przejął. Zagryza wargi, wyłamuje palce. Jest wystraszony. - Ja zrobię wszystko, żeby nie musieć przed swoim czasem się tam dostać. I nie mam zamiaru nigdy więcej doświadczać tego całego „już nigdy nie będzie”.

- Więc nie myśl o tym. To nigdy nie przychodzi samo, przynajmniej tak było w moim przypadku. Zawsze musiałem tę wizję przywołać samemu.

- Po co, ojciec, po co?

- To było dosyć zabawne. I wciągające.

Wzdryga się tak mocno, że i mnie się trochę udziela.

- Nie mówmy już na ten temat.

- Dobrze, synu.

Patrzymy sobie w oczy. Często to robiliśmy w przeszłości. W rzeczywistości, pomimo dzielących nas różnych spojrzeń na pewne rzeczy, byliśmy dosyć blisko. Wiem, że od czasu do czasu mnie nienawidził, pragnął, żebym umarł albo odszedł, gdzieś się na parę dni zgubił. Ale potem to mijało. Znowu mógł do mnie mówić, mogliśmy spojrzeć sobie w oczy, jak dwaj faceci, którzy należą do siebie.

Aż znowu nadchodził czas, kiedy jego ojciec pokazywał swoje prawdziwe oblicze; chodził zły jak osa, klnąc na czym świat stoi wszystko i wszystkich, każąc się wszystkim zamknąć i mu nie przeszkadzać, albo leżał pół dnia na sofie, uciszając każdą cholerną muchę, która akurat przeleciała obok niego. Gdyby nie zostało w nim tej odrobiny człowieczeństwa, jaka jeszcze kazała mu się pilnować, wziąłby nóż i poszedł na polowanie.

W synowskich oczach widzę teraz tylko pustkę; są wyschnięte i spękane. Ciemnieją z każdą chwilą, jakby bardzo prędko nadchodziła noc.

- Nadchodzi noc, ojcze. Twoja wieczna noc. Za chwilę wszystko się skończy, to znaczy dla ciebie. Ja zostaję z mamą. Będziemy teraz żyć bez ciebie - milknie, żeby przełknąć ślinę. Jego wargi drgają nerwowo. - Będzie trudno, diabelnie trudno. Ale, wiesz co? Oboje mamy przed sobą wiele minut intensywnego życia i będziemy się każdą z tych minut cieszyć, także dla ciebie, bo mimo wszystko zasługiwałaś na szacunek.. Swego czasu dałaś nam sporo radości, potrafiłaś być podporą i godnym zaufania przewodnikiem. Boże drogi, tato, gdzie się popieprzyło?

- Nie wiem, syneczku.

Nic już nie widzę. Panuje ciemność. Po omacku szukam synowskiej dłoni, by móc ją po raz ostatni uścisnąć. Znajduję ją; jest ciepła i taka miękka. Jestem w tej chwili jednym wielkim ciężarem. Coś strasznie ciągnie mnie w dół.

- Masz zimną dłoń, tato.

- Wiem. Cały jestem zimny. I nic nie widzę.

Słyszę jednak. Ciągle jeszcze słyszę. Zawsze wolałem ciemność, niż ciszę. W ciemności lepiej słyszeć ludzki głos, o czym przekonywałem się każdego wieczora, zakładając słuchawki i znikając pod pościelą, żeby w skupieniu wsłuchiwać się w życie planety.

- Nie widzisz nic, bo nie możesz. Nasze spotkanie dobiega końca. Jesteś już jedną nogą po drugiej stronie.

- Czuję się ciężki, synu.

- To ciężar, który spadł z naszych ramion, mamy i moich. Mnie jest teraz bardzo lekko, choć z drugiej znowu strony nie mogę pozbyć się uczucia ogromnego żalu.

- To chyba normalne, kiedy umiera ktoś bardzo bliski, najbliższy. Musisz być silny.

- Będę.

- Mam nadzieję - słowa z trudem wydostają się z moich ust - że nasze spotkanie poszło po twojej myśli i będziesz umiał właściwie je ocenić. Czy wyrobiłeś już sobie jakieś zdanie?

- Tak, ojcze. Wiem, co chciałem wiedzieć. I chcę ci podziękować.

- To nic takiego. Lepiej powiedz, jak nasze spotkanie wpłynie na twoje dalsze życie, co zamierzasz robić, kim być.

Cisza.

- Synu...

Cisza.

Nieoczekiwanie dłoń mojego syna wysuwa się z mojej. A więc jest tu jeszcze, chociaż nie mówi ani słowa, jakby go moje pytanie wystraszyło.

- Synu - ponawiam próbę.

- Niestety, tato, nie będę mógł ci opowiedzieć o swoich planach. Przykro mi.

- Ależ dlaczego? O co chodzi? Czyżbyś się mnie wstydził?!

- Mówię teraz głośno, z trudem łapiąc powietrze. Z jakiegoś powodu zaczynam czuć się niepewnie. Na dodatek to tajemnicze milczenie dzieciaka.

- Przecież to twój własny wybór, ojcze. Nie chciałeś wiedzieć, więc wiedzieć nie będziesz. Sam tak wybrałeś. Uszanuj to.

No, tak... To jest oczywiście, prawda. Lecz przecież jest tutaj, mamy ze sobą kontakt. Mógłby chociaż uchylić rąbka tajemnicy. Z większym spokojem byłbym wtedy odszedł.

- Ależ ty już odszedłeś. Nie ma cię. Zrozum, to tylko moja wyobraźnia.

- I trochę moja - rzucam obrażonym tonem

- Więc ją na odchodnym trochę wysił! Użyj jej mocy do zajrzenia w przyszłość, jak ja użyłem swojej do zajrzenia w przeszłość. Trochę wysiłku, ojcze!

Nie jestem w stanie tego zrobić. Nic już nie czuję. Nie wiem, w jakim stanie się obecnie znajduję, lecz wszystko wskazuje na to, że to już niemal koniec. Tylko jeszcze ten synowski głos, coraz jednak cichszy, mniej zrozumiałe słowa...

- Żegnaj, tato. Dziękuję, żeś nas ze sobą nie zabrał.

Szept, gdzieś bardzo, bardzo daleko. Ledwo słyszalny. Brzmi w nim szloch.

- Synku, jeszcze chwilę, proszę...

Cisza.

- Będę o tobie pamiętał, tato...

Szept, gdzieś na krańcach świadomości.

- Pamiętaj, syneczku...

Chłopak otworzył oczy bardzo nagle, jakby coś go przestraszyło. Musiało tak być. Może jakiś dźwięk - krzyk albo płacz. Nie. Kto mógłby tu krzyczeć? Ani matka, ani ojciec. Poza nimi nikogo tu nie ma.

W pokoju obok, matka chłopca przebudziła się w ten sam sposób. Jednak ona wiedziała co ją obudziło. Miała lżejszy sen, szczególnie nad ranem, i potrafiła mniej więcej kojarzyć zdarzenia z ostatnich dwóch, trzech kwadransów. Obudził ją pędzący na sygnale samochód. Nie wiedziała które to służby. Nie mogłaby odróżnić straży pożarnej od policji, policji od ambulansu.

Do jej sypialni wszedł syn.

- Co to było, mamo?

Odwróciła głowę w jego stronę.

- Nie wiem, może straż pożarna.

Chłopak pokiwał głową, gdy nagle jego wzrok padł na miejsce obok kobiety. Było puste.

- Tato już wyszedł? - zapytał niepewnie.

- Wiesz, jaki jest twój ojciec. Zawsze rano idzie położyć. Wiesz, on lubi być sam. Nikt go wtedy nie denerwuje. - Zaśmiała się.

- Nie musisz mówić o nim w ten sposób - obruszył się dzieciak.

- Dobrze, dobrze. Idź lepiej zrób herbaty.

- Zaraz zrobię. Mamo... - zawahał się - ...A co dzisiaj robimy?

- Zobaczymy. Może ojciec wymyśli coś wesołego?

- To byłoby fajnie.

* * *